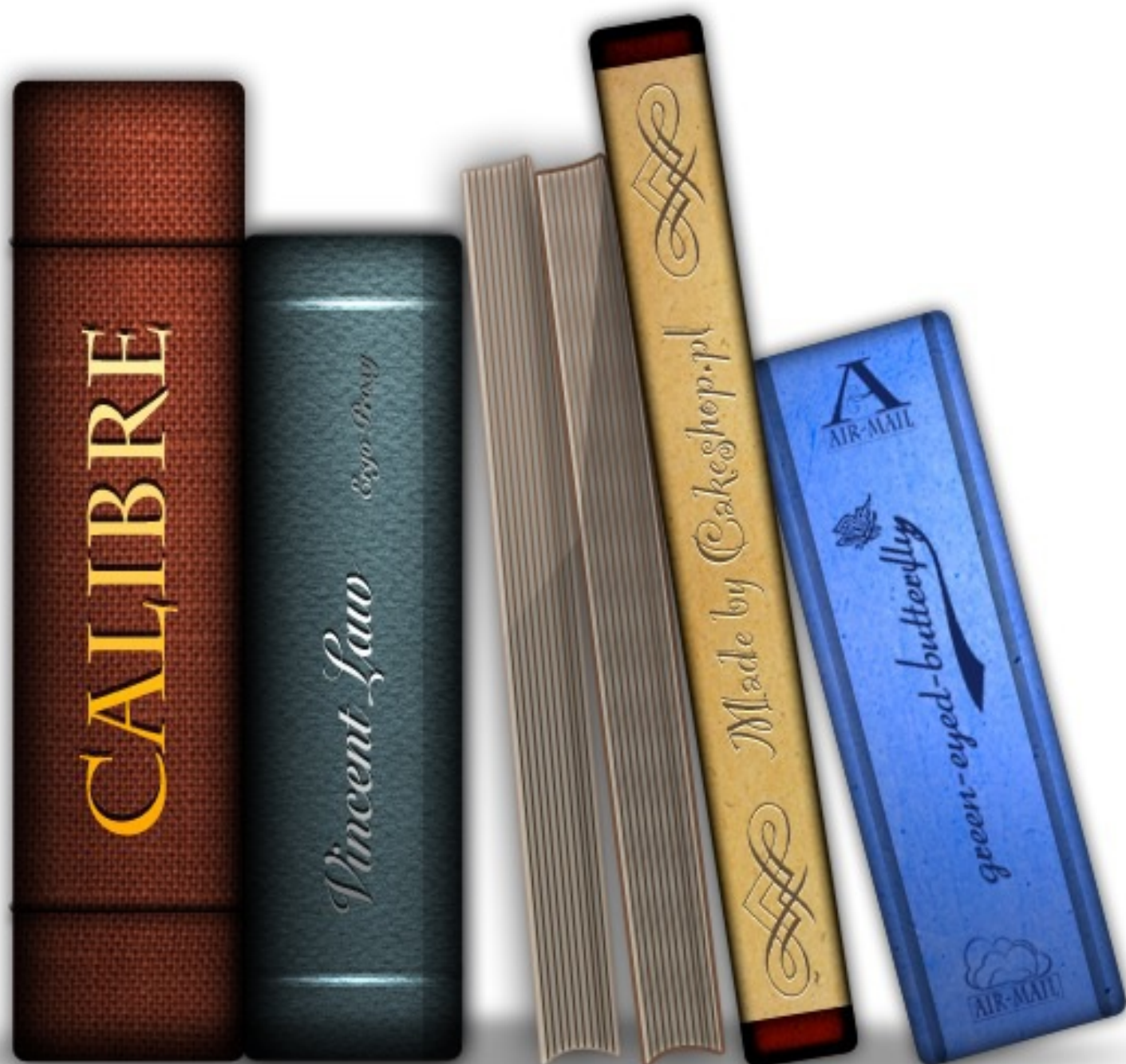


Klatwa Zarsthora

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Klatwa Zarsthora

(Tłumacz: MONIKA ZIEMKIEWICZ)

I

Nikły poblask słońca oświetlał dalekie krance zachodniej górskiej doliny, ku której przywiódł Briksje jej tulaczy szlak. To miejsce, odległe od leżących na wschodzie Ziemi Spustoszonych, mogło dać odrobinę wytchnienia i przynajmniej złudzenie poczucia bezpieczeństwa, choć tu także trzeba się było mieć na baczności. Siedząca w kucki dziewczyna z grymasem niechęci przypatrywała się napływającym z oddali, z kierunku wschodniego, chmurom zapowiadającym niepogodę. Przesuwała cienkim ostrzem noża tam i z powrotem po kamieniu, coraz to z niepokojem spoglądając na polyskująca srebrzyscie sfatygowana stal. Ileż razy ta klinga była już ostrzona! Choć solidna i mocna, wykuta została przed wieloma laty - jak wieloma, Briksja nawet nie próbowała sobie teraz przypomnieć. Wiedziała, że musi postępować ostrożnie, inaczej ten nie szerszy od palca kawałek metalu gotów się złamać, co pozbawiłoby ją narzędzia i broni zarazem. Rece miała ogorzale od słońca i pokryte bliznami, a pod polamanymi paznokciami zalegały obwodki brudu, którego nie mogło usunąć do końca nawet szorowanie piaskiem. Pomyslała z goryczą, że kiedyś te dłonie były po to, by trzymać wrzeczono lub tkackie czolenko, albo też za pomocą igły i kolorowych nici wyczarowywać misterne obrazy na grubych materiałach mających zdobić ściany wieży. Dziewczyna, która przed przybyciem najeźdźców prowadziła w High Hallack tak spokojny, bezpieczny żywot, wydawała jej się teraz kims zupełnie obcym. Kims, kto umarł już dawno - a nastąpiło to w czasie ciągnącym się za Briksją niczym długi korytarz, którego daleki koniec zaledwie majaczył się w jej umyśle, toteż z trudem przychodziło jej przypomnieć sobie cokolwiek.

Przeżyła, zdołała uciec przed wrogami, którzy wdarli się do wieży będącej dotąd jej domem - to uczyniło ją twardą i wytrzymałą jak ten kawałek metalu, który teraz miała w reku. Nauczyła się, że czas to jeden dzień, któremu musi stawić czoło od wschodu słońca aż do chwili, gdy zdoła znaleźć dla siebie jakieś schronienie przed nadejściem zmroku. Nie było dla niej świat, nie używała nazw kolejnych miesięcy - istniał jedynie czas upału i czas chłodu, kiedy bolały ją wszystkie kości, kiedy zanosila się kaszlem, kiedy przenikliwy ziąb odbierał nadzieję, że kiedykolwiek znów będzie jej ciepło.

Ruchowi Briksji nie krepował nadmiar ciała; była szczupła i mocna jak cieciwa luku. I - w swoisty sposób - podobnie śmiercionośna. To, że kiedyś chodziła w szatach z delikatnych wełnianych tkanin, że nosiła bursztynowy naszyjnik, a na palcach miała pierścienie z jasnego, pochodzącego z zachodu, złota - to wszystko teraz wydawało jej się snem, snem trudnym do zniesienia.

Ostatnio nie odstępował jej na krok strach, do którego w końcu tak przywykła, że gdyby

ja nagle opuscil, poczulaby sie osamotniona i zagubiona. Niekiedy, na widok skalnych scian jaskini albo wyginajacych sie ponad jej glowa galezi drzew, przymykala tylko oczy, gotowa wyrzec sie swojej zelaznej woli przetrwania i pogodzic ze smiercia, ktora podazala jej tropem niczym ogar za zraniona juz przez myśliwego, opadajaca z sil zwierzyna.

A jednak wciaz tlilo sie w niej owo zdecydowanie, bedace dziedzictwem rodu - nie na darmo w jej zylach plynela krew Torgusa! Wszyscy w poludniowych dolinach High Hallack znali Piesn Torgusa i dzieje jego zwyciestwa nad Moca Kamienia Liana. Dom Torgusa nie mial moze licznych ziem i bogactw, ale na pewno nikt nie moglby odmowic jego czlonkom wielkiego hartu ducha i ciala.

Podniosla reke, by zgarnac nieposluszny kosmyk splowialych od slonca wlosow, nierowno obcietych przy szyi. Zlote sploty, tchnace atmosfera niewiesciej komnaty, nie byly przeznaczone dla oczu prozniakow walesajacych sie po tym odludziu. Ostrzac noz nucila pod nosem Wyzwanie Liana - tak cichutko, ze jedynie ona mogla wyłowic uchem melodie. Ale i tak nie bylo w poblizu innego sluchacza - spenetrowala dokladnie okolice, gdy tylko wstal swit. Chyba zeby uznac za audytorium czarne ptaszysko kraczace groznie z wierzcholka pochylonego od zimowych wichrow drzewa.

No, niech bedzie - sprawdzila efekt swoich staran na owym niesfornym pasemku wlosow, ktore wciaz wchodzilo jej do oczu. Naostrzona stal bez trudu przeciela pukiel, pozostawiajac pomiedzy palcami Briksji slomkowitzoty pierścien. Dziewczyna rozwarla dlon i kosmyk natychmiast porwal wiatr. Nagle znow wstrzasnal nia spazm strachu. W tej obcej krainie bezpieczniej bylo spalic taka czastke wlasnego ciala. Jesli wierzyc starym opowiesciom, zle moce moglyby skwapliwie przechwycic wlosy albo tez paznokcie badz sline i wykorzystac je do swoich niecnych czarow.

Jednak tu nie trzeba sie tego obawiac, pomyslala zaraz. W bliskim sasiedztwie Odlogow zachowaly sie bowiem pamiatki po niegdysiejszych wladcach tej krainy - Dawnych Ludziach. Pozostawili oni po sobie osobliwe kamienne bloki, stanowiace badz zaproszenie, badz ostrzezenie dla ludzkiej duszy.

Ale byly to jedynie martwe swiadectwa prastarej mocy wszystkich mocy. Ci, ktorzy sie nia poslugiwali, juz dawno odeszli. Czarne ptaszysko, jakby chcac zaprzeczyc tym mysloom Briksji, znow zaskrzeczalo chrapliwie.

-Hej, ty, czarnopiory - dziewczyna przerwala spiew, zeby popatrzec na ptaka. - Nie badz tak zuchwaly. Mialbys odwage zmierzyc sie z Uta? - Briksja znow przykucnela i sciagnawszy usta wydala niezbyt glosny, ale przenikliwy gwizd.

Ptaszysko zakrzyczalo gwałtownie, jak gdyby wiedzialo dobrze, ze Briksja mowila do niego. Naraz zerwalo sie, by runac na ukos w dol, a potem przeleciec nieomal dotykajac skrzydlami ziemi.

Spomiedzy kep zielonej trawy - na wzgorzachnie bylo owiec, ktore wyskubalyby kazde zdzbllo - wylonil sie puszysty koci lepek. Zwierze nagle prychnelo, a po chwili oczy zwezily mu sie w szparki i blysnely gniewnie, gdyz ptak odbil raptownie i odlecial, kraczac jeszcze z oddali.

Po chwili, z wlasciwym swemu rodowi dostojenstwem, kotka przydreptala do Briksji. Dziewczyna podniosla dlon w gescie powitania. Juz od dawna wedrowaly razem, sypialy na jednym poslaniu i w glebi duszy Briksji schlebialo, ze Uta zdecydowala sie jej towarzyszc w tej beznadziejnej tulaczce.

-Czy polowanie sie powiodlo? - spytala kotke, kiedy ta, ulozona na wyciagniecie reki, zdawala sie byc bez reszty pochlonieta lizaniem tylnej lapy. - A moze szczury wyniosly sie stad, bo w tej wyludnionej okolicy nie mialy komu podkradac jedzenia? - Rozmowy z Uta dawaly jej jedyna okazje uslyszania wlasnego glosu w tej samotnej wloczedze, w ktorej tylu rzeczy musiala sie wystrzegac.

Usadowiwszy sie wygodnie, Briksja zwrocila spojrzenie na rozlozone ponizej zabudowania. Pozostalosci swiadczily o tym, ze niegdys ta dolina byla dobrze zagospodarowana. Warowny dwor z wieza obronna - teraz pozbawiony dachu, noszacy slady pozzaru na rozpadajacych sie scianach - musial byc kiedys calkiem przytulnym gniazdkiem. Naliczyla dwadziescia chat (rozpoznawala je jedynie po zarysach scian, bo tylko tyle z nich zostalo), a ponadto dostrzegla stos kamieni, ktore mogly byc kiedys karczma. Pomiedzy chatami wila sie wstega goscinca, wiodacego - jak domyslala sie Briksja - ku najblizszej przystani rzecznej. Wszyscy kupcy, skoro juz zawitali w tak odlegle okolice, musieli podazac ta droga. Zas ci obcy, niezbyt mile widziani wloczedzy, ktorzy walesali sie po Odlogach i w poblizu siedzib Dawnego Ludu poszukiwali kruszcow, mieli tutaj targowisko, gdzie mozna bylo dogodnie sprzedac swoj urobek.

Briksja nie wiedziala, jaka nazwe zyjaczy tu niegdys ludzie nadali swojej osadzie. I mogla jedynie zgadywac, co bylo przyczyna takiego spustoszenia. Najezdzczy, ktorzy obrocili w perzyne cale High Hallack, nie zapuszczaliby sie tak daleko w glab kraju. Ale wojna zrodzila inne jeszcze zlo, ktorego zrodlem nie byli ani sami najezdzczy, ani sama Dolina, ale ktore powstalo z obu tych stron naraz.

Odkad Dolinianie musieli wyslac do walki swoj kontyngent wojska, dwunozne hieny - zbojcy z Odlogow - lupily i rownaly wszystko z ziemia bezkarnie. Briksja nie miala watpliwosci, ze gdyby zeszla na dol i pogrzebala troche, znalazlaby slady mowiace, dlaczego ta osada przestala istniec. Zostala spladrowana; mozliwe nawet, ze potem i ruiny przeczesywano nieraz. Nie ona jedna tulala sie po tych bezdrozach. Miala jednak nadzieje, ze zostalo tam jeszcze cos przydatnego, chocby jakis sponiewierany garnuszek.

Briksja zmarszczyla brew, gdy, wycierajac w pewnej chwili dlonie o spodnie, zauwazyla, ze na jednym kolanie material jest juz tak cienki, iz przeswituje przezen cialo. Minelo sporo czasu, odkad zamienila niewiescie szaty na wygodniejszy stroj lesnego zwiadowcy.

Trzymając w jednej ręce noż, sięgnęła po swoją drugą broń - mocna myśliwska włócznia. Jej grót również został niedawno naostrzony. Briksja wiedziała dobrze, jak się tym przedmiotem posługiwać.

Tobolek postanowiła zostawić ukryty w zaroślach. Nie było potrzeby bawić długo wśród ruin; zdawała sobie sprawę, że szperanie tam może się okazać zwykłą stratą czasu. Uta ostrzegłaby ją, gdyby wyczuła, że w rumowiskach kryje się coś większego niż szczur albo skoczek lakowy, więc Briksja miała jednak nadzieję, że coś znajdzie. W końcu jej włócznia też pochodziła z pewnej zburzonej wieży.

Mimo że, jak okiem sięgnąć, w dolinie nie było śladu żywego ducha, Briksja niezmiennie zachowywała ostrożność. Na nieznanym terenie zawsze mogą czekać jakieś przykre niespodzianki. Ostatnie trzy lata nauczyły ją, że między życiem a śmiercią przebiega bardzo cienka granica.

Nie chciała myśleć o przeszłości. Nie chciała pamiętać. Osłabiało to jej ducha. Przyszły czas, w którym żeby przetrwać, trzeba było mieć bystry umysł i być czujnym. Za to, że przeżyła i bez szwanku dotarła aż do tego miejsca, mogła sobie zrobić wyrazy uznania. Kiedyś w wieży podobnej do tej miała dom; kiedyś na ciele, które dopiero niedawno zrobiło się tak umiesnione i wychudzone z niedostatku pożywienia, nosiła szaty z delikatnych, kunsztownie utkanych i fantazyjnie barwionych wełnianych materii. Ale teraz nie miało to znaczenia. Nawet jej obecne ubranie było - jak włócznia - znaleziskiem...

Niemal doszczetnie wytarte spodnie zrobione były z grubej i szorstkiej tkaniny. Kaftan - z niedokładnie wyprawionych skórek skoczka, które zresztą sama pozszywała rzemieniami. Noszona pod spodem koszule odkryła w toboleku jakiegoś martwego Dolinianina, na którego ciało natknęła się w miejscu zasadzki urządzonej przez zbrojnych. Owego nieszczęsnik zabrał swoich wrogów ze sobą. Briksja włożyła na siebie koszule przedstawiając ją sobie jako dar walecznego człowieka. Chodziła bosą, choć na cięższą drogę trzymała w toboleku parę sandałów o drewnianych podeszwach. Skóra na stopach miała twardą i grubą, a paznokcie u nóg - zrogowaciałe i polamane.

Ponieważ nie miała innego grzebienia prócz własnych palców, włosy utworzyły na jej głowie zmierzwioną, sztywną gestwę. Niedgdyś były koloru jablecznika, mocne, gładkie, lśniące, zaplecione w warkocz. Teraz, spłowiałe od słońca, przypominały raczej obumarłą jesienną trawę. Briksja mogła się już szczycić jedynie siłą i sprytem, które pozwoliły jej przetrwać.

Gdy przyglądała się, jak kotka przebiega od jednej kępy zarośli i drzew do następnej (zawsze czujnie nasłuchująca, wypatrująca i weszcząca wokół), przemknęło jej przez myśl, że do Uty lepiej pasuje teraz określenie "dama". Jak na domowego kota była ogromna. Ale mogła też nigdy wcześniej nie wygrzewać się przy roznieconym reka człowieka ognisku - mogła urodzić się jako zwierze dzikie. Tylko że wówczas jej niewzruszone przywiązanie do Briksji byłoby jeszcze dziwniejsze.

Zdarzyło się to pewnej nocy przed mniej więcej rokiem - jeśli obliczenia Briksji, nie posługującej się przecież kalendarzem, były właściwe. Przebudziwszy się z bardzo niespokojnej drzemki, nagle spostrzegła siedząca przy jej ognisku kotkę; oczy Uty odbijały światło niczym wielkie, czerwone, zawieszane w powietrzu monety. Briksja korzystała wtedy ze schronienia udzielonego jej przez porośnięte mchem, pozbawione dachu ruiny jednej z budowli, jakie pozostawił po sobie Dawny Lud. Zauważyła, że owe relikty przeszłości zbyt nie przyciągały uwagi tych włoczących, których musiała nazywać swoimi wrogami. Zresztą mury nic na tym nie straciły - same szybko zaglebiały się w ziemi.

Przy pierwszym spotkaniu odniosła się do Uty trochę nieufnie. Gdyby nie to nieruchome, przenikliwe spojrzenie, którym Briksja czuła się przesświetlona na wylot, nie byłoby powodu, żeby widzieć w tej kotce coś nadzwyczajnego. Sierść miała ciemnoszara, na głowie prawie czarna; łapy i ogon w słońcu nabierały niebieskawego odcienia. Futerko było gęste i miękkie niczym zbyt dobre tkaniny, jakie kupcy przywozili z morza w tych bezpowrotnie straconych latach, zanim wzniecona przez najezdźców wojna obrocila Krainę Dolin od kranca do kranca w popiół, a jej mieszkańców porzuciła w różne strony tak, że może nigdy już tym, co przeżyli, nie będzie dane się połączyć.

Osadzone w ciemnej mordce oczy Uty miały dziwny kolor, niekiedy niebieski, niekiedy zielony, a noca zawsze błyskały w nich czerwone iskierki. To były matki oczy. Gdy czasem spoglądały na Briksję, dziewczyna czuła się nieswojo jak przy pierwszym spotkaniu; odnosiła wtedy wrażenie, że za tymi zwięzonymi zrenicami kryje się umysł pokrewny jej własnemu, który bada ją beznamietnie i bezstronnie.

Dziewczyna i kotka posuwały się teraz w kierunku krzewów rozrosniętego, zaniedbanego żywopłotu otaczającego ruiny budowli, która kiedyś przypuszczalnie była karczma. Noszące ślady pożaru i rozpadające się szczątki dwóch ścian sięgały dziewczynie do ramienia. Dół w ziemi, niegdyś pełniący rolę piwnicy, był teraz prawie zupełnie zasypany, toteż wcale nie miała zamiaru się w nim grzebac.

Nie - bo najlepszym miejscem do poszukiwania był dwór pana. Mimo że, oczywiście, splądrowano go w pierwszej kolejności. Jednak, jeśli ogień rozprzestrzenił się, zanim rabusie skończyli, wtedy...

Briksja uniosła głowę. Jej nozdrza rozszerzyły się, chwytając niepokojący zapach. W dziczy, jak zwierzęta, uzależniona była od zmysłu powonienia i, choć sobie tego nie uświadamiała ani też nigdy nie myślała za wiele o podobnych sprawach, węch miała znacznie bardziej wyostrzony, odkąd wojna zmusiła ją do wędrowania.

Tak! Płonące drewno!

Padła na kolana i na czworakach, z ostrożnością myśliwego, zaczęła podkradać się wzdłuż bocznej ściany karczmy, szukając w opasującym ruiny żywopłocie jakiegos przerwy. Wreszcie w jednym miejscu zatrzymała się, położyła się płackiem i wysuwając do przodu

cał po calu swoja sluzaca do polowan na dziki wlocznie, podniosla zwieszajace sie nisko galezie, poszerzajac w ten sposob pole widzenia.

Ogien o tej porze roku, kiedy nie zdarzaly sie sypiace iskrami burze z piorunami, mogli oznaczac tylko obozowisko ludzi, czyli w tej krainie zazwyczaj - zbojcow. Albo tez mogli tu wrocic jacys dawni mieszkancy, by zobaczyc, czy nie da sie czegos uratowac... Rozwazala taka mozliwosc i wcale jej nie odrzucila.

Nawet gdyby to byli Dolinianie, tez mogli sie okazac jej wrogami. Wlasciwie wystarczylyby tylko rzut oka na nia, a juz stalaby sie ich ofiara. W lachmanach nie roznila sie od zbojcow, ktorzy napadli na osade. Przybysze latwo mogli wziac ja za zwiadowce innej podobnej watahy.

Briksja z wytezona uwaga powiodla dokola wzrokiem, ale nie dostrzegla zadnych sladow obozowiska. Doszla do przekonania, ze dom byl zbyt zniszczony, zeby mogl dac komus schronienie. Za to wieza wciaz wznosila sie ponad ruinami i - choc okiennice byly otwarte, wiec najpewniej od dawna wichry i burze bez trudu wdzieraly sie przez waskie otwory do wnetrza - wcale nie wygladala na doszczetnie zdemolowana.

Jesli rzeczywiscie ktos sie tu skryl, to z pewnoscia wlasnie w wiezy. Ledwie doszla do takiego wniosku, zauwazyla przy wejsciu jakis ruch, a po chwili jej oczom ukazala sie sylwetka czlowieka, ktory wyszedl na zewnatrz. Briksja napiela wszystkie miesnie.

Byl to mlodzieniec - niewysoki, z jasna czupryna, rownie rozczochrana jak u niej. Za to ubranie mial cale, w zupelnie niezlym stanie. Skladaly sie na nie ciemnozielone spodnie, wysokie buty i skorzany kaftan z dlugimi rekawami, na ktory naszyte byly metalowe kolka. Do boku mial przypasana pochwe, z ktorej wystawala niewyszukana rekojesc miecza.

W pewnej chwili odrzucil do tym glowe, wlozil palce do ust i zagwizdal. Uta poruszyla sie; zanim Briksja zdolala ja zatrzymac, jednym susem wyskoczyla z ukrycia i z podniesionym sztywno ogonem popedzila na dziedziniec przed wieza. Nie ona jedna odpowiedziala na wezwanie. Zza wiezy przyklusowal kon i stanal przy nieznajomym; opuscivszy glowe uderzyl nia w piers swego pana, ktory zatopil palce gleboko w grzywie wierzchowca i drapal go pieszczotliwie.

Uta, znalazlszy sie w zasiegu wzroku mlodzienca, przysiadla starannie zawijajac koniuszek ogona wokol przednich lap. Przypatrujac sie jej z daleka, Briksja rozpoznala badawcze spojrzenie kotki, ktore sama nieraz czula na sobie. Dziewczyne bardzo rozgniewala ta ucieczka Uty. Kotka tak dlugo byla jej jedynym towarzyszem; niekiedy nawet Briksja zapominala, ze to tylko zwierze. A jednak teraz Uta opuscila ja i pobiegla na spotkanie z nieznajomym.

Mars na czole Briksji poglebil sie. Nic tu po niej - niczego juz nie znajdzie. Jesli w ogole cokolwiek zostalo, odkryje to ten intruz. Najlepiej wyniesc sie stad jak najszybciej,

pozostawiając Ute własnemu losowi. Ostatecznie wszystko wskazywało na to, że nagle zapragnęła zmienić sobie pana.

Młodzieniec popatrzył na kotkę. Puszczając wolno konia, przykleknął na jedno kolano i wyciągnął rękę.

-Piękna pani... - mówił z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców tej części Krainy Dolin. Na dźwięk jego słów dziewczyna doznała dziwnego uczucia. Od tak dawna przecież nie słyszała ludzkiego głosu poza swoim własnym.

-Podejdz... pani...

-Jartar?

Zobaczyła, że młodzieniec, spojrzawszy do tyłu przez ramię na drzwi wieży, znieruchomiał.

-Jartar... - Głos był niski i brzmiał tajemniczo;

Briksja, wciąż leżąc w ukryciu, zatknęła sobie ręką usta, żeby nie krzyknąć, i niemal przestała oddychać.

Czyli jest ich przynajmniej dwóch. Lepiej na razie nie wychylać się z kryjówki, pomyślała, choć była prawie pewna, że zwinność, jaka wyrobiło w niej trudne tulące życie, pozwoliłaby jej wycofać się cichaczem.

Młodzieniec podniósł się i wrócił do wieży. Po wybrukowanym dziedzińcu przebiegł klusem podrzucając głową konia i skierował się w stronę kępy smacznej trawy. Natomiast Uta podążyła truchtem ku pozbawionemu drzwi wejściu do kamiennej budowli.

Briksja poczuła wzbierającą w niej złość. Oni mieli tak wiele - ubranie, miecz, konia, a ona nic - prócz Uty. Teraz wyglądało na to, że nawet ja może stracić. Najwyższy czas oddalić się chylkiem. A jednak ciągle tkwiła bez ruchu.

Tak długo była sama. Wiedziała, że właśnie samotność zwiększa jej bezpieczeństwo, ale nagle ożyły wspomnienia.

Patrzyła na wejście do wieży wzrokiem pełnym tęsknoty. Młodzieniec nie wyglądał przecież groźnie. Miał miecz, ale ktoż na tej ziemi nie nosił takiej broni, jaka akurat udało mu się znaleźć? Ostatnimi czasy w ogóle nie istniało prawo, żaden pan nie mógł nikomu w swej Dolinie zapewnić ochrony. Każdy sam musiał troszczyć się o własną skórę - siłą i zreżymnością. Jednak... Mimo że dobiegł ją z wieży tylko jeden głos, basowy, meski, nie musiało to oznaczać, że nie ma tam nikogo więcej.

Rozsadek podpowiadał natychmiastowy odwrót. Coż z tego, kiedy dała o sobie znać zrodzona z tęsknoty ducha potrzeba, nekająca Briksję podobnie jak głód dreczył jej

wychudzone ciało. Chciała słyszeć ludzkie głosy, patrzeć na ludzi; aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak silne było to pragnienie.

To szalenstwo, skarciła się w myślach. A jednak, stopniowo, poddawała się mu. Aż w końcu na wycofanie się z ukrycia było już za późno.

Naraz bowiem w drzwiach powstał jakiś ruch. Uta, która właśnie dotarła do progu, odskoczyła z wdziękiem na gościniec i znowu ułożyła ogon wokół łap. Po chwili Briksja ujrzała wychodzącego na zewnątrz młodzieńca, tym razem podtrzymującego swego towarzysza.

Był to wysoki mężczyzna, a przynajmniej wydawał się taki przy chłopcu. Poruszał się jakos dziwnie, powłócząc nogami, z pochyloną do przodu głową, patrząc uważnie, gdzie stąpa. Rece zwisały mu bezwładnie i - choć podobnie jak młodzieniec miał na sobie kolczugę (starannie wykonane cacko, a nie jakies toporne połączenie pierscieni i skóry) - w przypasanej do boku pochwie nie nosił miecza.

Był barczysty, wąski w pasie i biodrach. Włosy miał ostrzyżone, ale wcale nie tak niedawno, bo za uszami i trochę na karku zdążyły się już pofalować; taka fryzura odsłaniała opalone czoło. Włosy były bardzo ciemne, podobnie brwi, których linia biegła ukośnie ku gorze. Rysy twarzy tego mężczyzny wydały się Briksji znajome. Kiedyś, dawno temu, widziała już kogoś takiego...

Wiązała się z nim jakaś historia - po raz pierwszy od wielu miesięcy Briksja zagłębiła się ostrożnie, po omacku, w swoją udrecona, sparalizowana pamięć, starając się ją pobudzić. Ależ tak! Co tam szeptało o tym człowieku, lordzie z zachodu, który raz przenocował w wieży, a przy jedzeniu zajmował zaszczytne miejsce dla honorowych gości po prawicy jej ojca? Ze był... polkrwi. Wreszcie zardzewiała pamięć podsunęła właściwe określenie. Ow człowiek to jeden spośród tych, na których Dolinianie patrzyli nieufnie, ale z którymi postępowali delikatnie; jeden z tych, których ojcowie poślubili obce niewiasty z Dawnego Ludu - i dla nich, w większości, dawno, dawno temu opuścili High Hallack, podążając na północ albo na zachód - w okolice, gdzie żaden rozsądny człowiek by się nie zapuszczał. O tych mieszancach zawsze krążyły różne ciche pogłoski. Powiadano, że posiadają moce, które jedynie oni rozumieją. Ale jej ojciec obdarzył gościa szczerą przyjaźnią i okazał, że jest zaszczycony, przyjmując go pod swój dach.

Po chwili dostrzegła, że zamglony obraz tego człowieka w jej pamięci różni się od widoku, jaki przedstawiał mężczyzna, który wyszedł właśnie z ruin wieży. Postąpiwszy parę kroków nie unosił głowy, żeby się rozejrzeć, ale przystanął i trwał w bezruchu ze wzrokiem wbitym w ziemię. Jego twarz miała dziwnie pusty wyraz. Nie było na niej śladu zarostu (może te cechy odziedziczył po przodkach). Dolna warga otwartych ust zdawała się zwisać bezwładnie, choć podbródek trzymał się jednie. Gdyby nie to nieobecne, otepiałe spojrzenie, mogłoby uchodzić za przystojnego.

Młodzieniec trzymał go pod ramię i wreszcie wlokł za sobą, zaś mężczyzna poddawał się

temu posłusznie, ani na chwilę nie podnosząc wzroku. Przyciągnawszy go do stosu kamieni, jego młody towarzysz delikatnie skłonił go, żeby tam usiadł.

-Całkiem przyjemny ranek...

Briksja zauważyła, że głos młodzieńca był wzburzony: słowa padały zbyt szybko, brzmiały zbyt głośno.

-Jesteśmy w domu, w Eggarsdale, panie. Naprawdę w Eggarsdale... - powiedział, popatrzył na lorda, a potem zaczął rozglądać się niepewnie, jak gdyby szukając jakiegoś wsparcia.

-Jartar... - Mężczyzna odezwał się po raz pierwszy. Podniósł teraz głowę, jednak tępy wyraz jego twarzy pozostał, gdy lord głośno wypowiadał to słowo: - Jartar...

-Jartar... odszedł, moj panie.

Młodzieniec ujął mężczyznę pod brode, próbując nakłonić skosne oczy, by popatrzyły na niego. Choć głowa poruszyła się nie stawiając oporu, Briksja widziała, że nie było żadnej zmiany, żadnej iskierki w martwym spojrzeniu.

-Jesteśmy w domu, moj panie!

Młody towarzysz położył mu ręce na ramionach i potrząsnął nim.

Ciało mężczyzny zwiotczało w tym mocnym uścisku i pod wpływem wstrząsów. Nadal było uległe. Ten człowiek wciąż nie rozpoznawał ani młodzieńca, ani słów, ani miejsca, w którym się znajdował. Jego młody towarzysz, westchnawszy, cofnął się o krok i ponownie obiegł wzrokiem dziedziniec, jakby chciał wezwać kogoś na pomoc, żeby zdjął z jego pana coś, co ciążyło na nim niczym zły urok.

Po chwili ukleknął, wziął w swoje ręce jego dłonie i przycisnął do piersi.

-Moj panie - Briksja potrafiła sobie wyobrazić, ile wysiłku kosztowało go opanowanie głosu - to jest Eggarsdale. - Każde słowo wypowiadał wolno i wyraźnie, jakby mówiąc do głuchego, który jednak może usłyszałby cokolwiek, gdyby ktoś bardzo się postarał. - Jesteś u siebie, moj panie. Nic nam nie grozi. To twój własny dom, bezpieczny dom.

Nagle Uta podniosła się, przeciągnęła i chyżo pobiegła przez dziedziniec do mężczyzny i młodzieńca. Zbliżywszy się do starszego z nich od prawej strony, oparła się o jego udo przednimi łapami i tak stojąc wbiła w niego wzrok.

Po raz pierwszy na obliczu, na którym brak było dotąd jakichkolwiek oznak myślenia czy odczuwania, zaszła pewna zmiana. Mężczyzna zaczął powoli obracać głowę. Walczył z sobą, żeby wykonać najmniejszy choćby ruch. Jednak nie zdołał zwrócić twarzy ku kotce.

Wyraznie zaskoczony mlodzieniec obserwowal te scene z napieta uwaga.

Usta jego pana poruszyly sie. Zapewne chcial cos powiedziec. Dluogo probowal. Az w koncu skupienie - jesli byly nim te nikle usilowania - wyczerpalo sie. I znow twarz mu zmartwiala, stajac sie zwierciadlem spustoszonego umyslu, podobnego tym smutnym resztkom, ktore mlodzieniec nazwal jego domem.

Uta opuscila przednie lapy. Przez chwile wodzila wzrokiem za szybujacym motylem, by zaraz rzucic sie za nim figlarnie, co rzadko sie jej zdarzalo. Mlodzieniec wypuscil dlon mezczyzny i pobiegl za kotka, ale Uta przemknela zwinnie przed jego wyciagnietymi rekami i uszla mu, wslizgujac sie miedzy dwa kamienie.

-Kici, kici!

Mlodzieniec skakal wokol kamieni, zaczajal sie i nawolywal goraczkowo, jakby od ponownego ujrzenia kotki zalezalo jego zycie.

Briksja usmiechnela sie kwasno. Wiedziala dobrze, ze te wysilki sa daremne. Uta chadzala wlasnymi drogami.

Początkowo ludzie z wiezy wzbudzili w kotce zainteresowanie. Teraz, kiedy ciekawosc zostala zaspokojona, mogli jej juz nigdy wiecej nie zobaczyc.

-Kiciu! - mlodzieniec walil piescia w ulomek zwalonej sciany. - Kiciu! Ja... Jemu juz cos zaswitalo, przez chwile. Na Kly Oxtora, zaswitalo mu! - Odrzucil glowe do tylu i wykrzyczal slowa, ktore zabrzmialy niczym okrzyk bitewny: - Kiciu, jemu zaswitalo, musisz przyjsc jeszcze raz - musisz!

Choc wyrzucil to z siebie z taka sila, z jaka Czarownice wywoluja moce, nie bylo zadnego odzewu. Briksja domyslala sie, o co chodzilo mlodziencowi. Owo slabe zaciekawienie, jakie mezczyzna objawil na widok kotki, musialo dla jego towarzysza znaczc bardzo wiele. Byc moze cos takiego zdarzylo sie po raz pierwszy od czasu, gdy jakies zranienie albo choroba uczynily z niego strzep czlowieka. Dlatego wiec mlodzieniec pragnal schwycic Ute, jakby byla ona uosobieniem nadziei...

Briksja zmienila nieco pozycje. Mlodzieniec tak byl pochloniety szamotaniem sie w sieci swoich nadziei i obaw, ze, jak przypuszczala, moglby na otwartej przestrzeni przejsc tuz obok niej i wcale jej nie zauwazyc. Wciaz myslala o tym, ze powinna sie wycofac, jednak ciekawosc - moze podobna do tej, jaka cechowala Ute - zatrzymywala ja w miejscu. Troche sie zreszta odprezyla; tych dwoch nie stanowilo dla niej bezposredniego zagrozenia.

-Kiciu... - glos zamarl mlodziencowi na ustach, zapanowala pelna przygnebienia cisza.

Wtedy mezczyzna poruszył się i, gdy jego towarzysz zwrocil ku niemu twarz, podniosl glowe. Jego oblicze nadal pozbawione bylo wyrazu, ale nagle zaczal spiewac piesn, niczym

bard w czasie dworskiej biesiady.

Raz pyszny Eldor wezwał Moc,

Ufny w swa sile wiecznotrwala.

Przybyła spoza cienia wnet,

By dac mu w rzady ziemie cala.

Lecz Zarsthor chwycil Mysli Miecz,

Wzniosl w gore zdobna tarcze Woli.

Przysiagl na serca zar i Smierc,

Ze nigdy na to nie pozwoli.

Przeklenstwo z dawna w gwiazdach tkwi.

Gdy chwila zderzy sie z wiecznoscia.

Groznym plomieniem blyśnie Mrok,

Zatriumfuje nad Swiatloscia.

Ziemia Zarsthora zdjeta snem

Jalowych pol, strzaskanych bram -

Po latach nikt nie zgadnie, ze

Wladal nia kiedys mozny pan.

Haniebnej pychy oto targ:

Blask luny, szept zsinialych warg.

Gwiazdy migoca w tancu swym.

Czy znaczy to, ze dojrzal czas

Z tajemna sila nocy dzis

Ponownie stanac twarza w twarz?

Jest ktos, nie zalujacy mestwa,

Kto sprawdzi moc tego Przekleństwa?

Co prawda te liche strofy brzmiały chropawo, niczym utwor jakiegoś silacego się na zagadkowość nieuczonego wiesniaka, mimo to było w tym śpiewie coś, co wywołało u Briksji dreszcz. Nigdy nie słyszała o żadnym Przekleństwie Zarsthora. Jednakże niemal każda Dolina miała własne podania i opowieści. Niektóre nigdy nie wyszły poza wzgorza otaczające te żyjące własnym życiem posiadłości.

Młodzieniec znieruchomiał. Na jego twarzy odbiło się niedowierzanie i zaraz potem pełne nadziei podniecenie.

-Lordzie Marbonie!

Ale jego radosny okrzyk dał przeciwny pozadanemu skutek. Mężczyzna znowu pograził się w zubożeniu. Tyle że teraz niespokojnie poruszał rekoma, szarpiąc kolczugę na piersi.

-Lordzie Marbonie! - powtórzył młodzieniec.

Mężczyzna zwrócił głowę lekko na prawo, jak ktoś, kto słucha.

-Jartar?

-NIE! - dłonie młodzieńca zacisnęły się w piasku. - Jartar nie żyje! Nie żyje i zjadły go robaki już ponad rok temu! Nie żyje, nie żyje, nie żyje - czy mnie słyszysz? On nie żyje!

Ostatnie słowa zabrzmiały wśród ruin głuchym echem.

2

Niesiony echem krzyk rozpaczki zamarł wreszcie w oddali. Cisze, jaka po tym nastąpiła, przerywała Uta. Przycupnęła naprzeciwko tego akurat odcinka żywopłotu, za którym ukrywała się, leżąc płasko, Briksja. Z gardła puszystego stworzonka dobył się odgłos przypominający wrzask torturowanej kobiety. Briksja wiedziała, co on oznacza - wezwanie. Przeraziła się, bo w ten sposób została wystawiona na cel. Młodzieniec obrócił się gwałtownie, a jego dłonie natychmiast powędrowały ku rekojesci miecza. Teraz nie było już dla Briksji odwrotu - zwlekała zbyt długo. Ma zatem dalej leżeć, żeby ją za chwilę wyciągnięto z ukrycia niczym tchorzliwego wloczykija, za którego łatwo ją było wziąć? O nie! Na to nie będzie czekać.

Powstała, precyzyjnie się przez żywopłot, wyszła na otwartą przestrzeń i wzniosła włócznię, gotowa do walki. Choć wyglądało to tak, jakby celowała z łuku bez strzały, wierzyła, że jej włócznia jest wystarczającym przeciwnikiem dla miecza.

Uta, dopuszczywszy się zdrady, obróciła się teraz ku młodzieńcowi i utkwiała w nim spojrzenie. Był napięty i czujny. Trzymał miecz wyjęty już z pochwy.

-Kim jesteś? - spytał ostro, ale i chłodno jednocześnie. Jej imię nic by mu nie powiedziało. Zresztą i dla niej przez minione miesiące samotnej wędrowki straciło ono niemal zupełnie znaczenie. Była daleko od doliny, gdzie przyszła na świat, a nawet od jakiegokolwiek miejsca, w którym przywołanie nazwy Domu mogło określić jej tożsamość. Skoro nigdy przedtem nie wiedziała o istnieniu Eggarsdale, było prawie pewne, że w takiej leżance na uboczu zachodniej posiadłości nigdy nie słyszano o Moorachdale albo o Domu Torgusa, który dzierżył tam władzę aż do dnia, kiedy w krwi i płomieniach nadszedł kres wszystkiego.

-Wędrowcem... - zaczęła, lecz zaraz przyszło jej na myśl, że odpowiadanie na tak szorstko zadane pytanie może w pewien sposób osłabić jej pozycję.

-Kobieta! - Gwałtownym ruchem wsunął miecz z powrotem do pochwy. - Jesteś od Shaverow... albo Hamelow - ten miał jedną czy dwie córki...

Briksja zesztywniała. Ten jego ton... Wyprostowała się z dumą. Mogła wprawdzie mieć wygląd wiejskiej dziewczyny (za jaką ją najwidoczniej brał), ale przecież ona była sobą - Briksja z Domu Torgusa. Lecz co działo się teraz z siedzibą tego rodu? Pozostały tylko ruiny, osmalone i opuszczone jak te tutaj - nic więcej.

-Nie jestem stąd - odrzekła cicho, posyłając młodzieńcowi wyzywające spojrzenie. - Jeśli szukasz jakiejś wiesniaczki do służby u twego pana, złe trafilies. - Mówiła do niego nie tytułując go w żaden sposób.

-Hiena dziewczka! - Młodzieniec wykrzywił usta. Cofnął się o krok zasłaniając swego pana w gęście obrony. Strzelał oczami raz w prawo, raz w lewo, próbując wypatrzeć jeszcze kogoś przyczajonego w ukryciu.

-To ty powiedziałeś - odparła. Tak jak przewidziała, uważał ją za jedną z bandy zbrojczy. - Nie bądź pochopny w sądach, młokosie. - Briksja włożyła w to zdanie wszystko, co zdolna sobie przypomnieć z poprawnej, pełnej rezerwy mowy, jaką się niegdyś posługiwała. Na takie zuchwałstwo pani na włościach musiała odpowiedzieć z godnością.

Patrzył na nią zdumiony. Lecz zanim zdążył coś rzec, jego pan poruszył się i wstał. Ponad lekko pochylonymi ramionami młodzieńca zobaczyła jego matowe oczy, blakające się po niej obojętnie, może zresztą wcale jej nie widzące.

-Jartar się spóźnia... - Mężczyzna podniósł rękę do czoła. - Czemu nie przychodzi? Muszę koniecznie wyruszyć przed południem...

-Panie - nie spuszczać oka z dziewczyny, młodzieniec cofnął się jeszcze o krok i położył lewą rękę na ramieniu mężczyzny - jesteśmy tu, żeby odpocząć. Byłeś chory, pojedziemy za jakiś czas...

Mężczyzna poruszył się niecierpliwie, strzasając z siebie dłoni młodzika.

-Dosc juz tej bezczynnosc - w jego glosie zabrzmiala stanowczosc. - Nie bedzie zadnego odpoczynku, zanim nie zostanie spelniona powinnosc, zanim nie odzyskamy starodawnej mocy. Jartar wie, co nalezy uczynic. Gdzie on jest?

-Panie, Jartar...

Mlodzieniec ponownie chwycil mezczyzne za ramie, ale jego pan nie zwrocil na niego uwagi. Skosnooka twarz znów stezala, a po chwili nasunal sie na nia cien otepienia. Tymczasem Uta jeszcze raz podeszla do ludzi z wiezy i, zatrzymawszy sie u stop starszego, zamiauczala cicho.

-Tak... - Zdobywajac sie na duzy wysilek, mezczyzna odepchnal mlodziencia, ukleknal na jedno kolano i wyciagnal rece w strone kotki. - Z Jartarem i jego znajomoscia rzeczy mozemy smialo isc, prawda?

Pytanie skierowane bylo nie do towarzysza wedrowki, ale do Uty. Ich spojrzenia spotkaly sie; mezczyzna zatopil wzrok w oczach kotki i, podobnie jak ona, trwal tak bez zmrzenia powiek, dlugo i niewzruszenie.

-Ty takze sporo wiesz, puszysta kulko. A moze ty jestes poslancem? - Skinal glowa. - Kiedy pojawi sie Jartar, wyruszymy. Wyruszymy...

Pewne ozywienie, jakie przez chwile wykazywal, zaczelo przygasac; widac bylo, ze lord znów pograza sie w nieswiadomosci. Przypominal teraz czlowieka, ktorego szybko ogarnia niezwalczony sen.

Mlodzieniec schwycil go za barki.

-Panie...

Podpierajac mezczyzne spojrzal nienawistnie na stojaca opodal dziewczyne.

Bylo w jego wzroku tyle zajadlej wrogosci, ze Briksja natychmiast mocniej zacisnela palce na wloczni. Wygladalo na to, ze w kazdej chwili mogli sie na nia rzucic. Nagle doznala olsnienia. Powodowal nim wstyd - nie chcial, zeby ktos widzial jego pana tak dotknietego na umysle. Jednoczesnie instynktownie przeczuwala, ze gdyby wykonala jakikolwiek ruch albo tez powiedziala slowo, dajac mu do zrozumienia, ze wie w czym rzecz, pogorszyloby to jeszcze sprawe. Zaklopotana, na jego piorunujace spojrzenie mogla jedynie odpowiedziec calym opanowaniem, na jakie bylo ja stac. Koniuszkiem jezyka zwilzyla wargi, ale nie odezwala sie.

Dlugo tak stali naprzeciwko siebie, az wreszcie mlodzienciec wykrzywil zlowrogo twarz.

-Idz precz! Wynos sie! Nie mamy nic, co mozna by nam ukrasc. - Wykonal ruch reka kolo rekojesci miecza.

W Briksji wszystko się zagotowało. Sama nie umiałaby powiedzieć, dlaczego jego słowa odczuła jak smagniecie biczem po twarzy. Ci dwaj nic dla niej nie znaczyli. Była już świadkiem tylu cierpień, nieszczęść... i nauczyła się, że aby przetrwać, musi iść własną drogą - samotnie.

Zdołała pohamować swój gniew. Wzruszywszy ramionami oddaliła się w kierunku żywopłotu, z którego wcześniej się wynurzyła. Roztropność nie pozwoliła jej obejrzeć się za siebie, choć przecież ze strony mężczyzny nie było się czego obawiać.

Młodzieniec pomógł mu się podnieść i przynaglał go, by powrócił do wieży; wypowiadał przy tym jednostajnie polgłosem słowa zachęty, których Briksja nie mogła już dosłyszeć. Zanim odeszła na dobre, popatrzyła jeszcze, jak znikają w wejściu.

Wspinając się po zboczu na wierzchołek gorskiego grzbietu pomyślała, że mądrze by zrobiła opuszczając całą tę dolinę. Mimo to nie zrobiła nic, żeby pojsć za głosem rozsądku. Zrecznie rzucony kamień ogłuszył skoczkę; wprawnymi ruchami Briksja zdjęła z leżącego w trawie watłego ciała zieloną skórę, wygarbowanie jej pozostawiając na wolną chwilę. Takich sześć wystarczy na krótką pelerynkę; miała już trzy - wysuszone i zwinięte - w tobolek ukrytym opodal miejsca ostatniego popasu.

Zdając sobie sprawę, że nie ona jedna mogła zauważyć ludzi, którzy zatrzymali się w ruinach, zachowywała daleko idącą ostrożność, starając się wszelkimi sposobami ukryć swoją obecność. Gdyby jakichś zbrojcy dostrzegli z góry konia albo miecz młodzieńca, dwaj wędrowcy nie unikneliby lupieskiej napadli. Briksja zastanawiała się, czy młodzieniec jest świadom, jak niebezpiecznym miejscem na obozowisko są te opuszczone szczątki zabudowań. Wzruszyła ramionami. Nawet jeśli o tym nie wie, ona nie ma obowiązku wyprowadzać go z błędu.

Kiedy ułożyła stosik odpowiednio dobranego drewna, dającego bardzo niewiele dymu, a potem zdobycznym krzesiwem wzniesła ogień, zwróciła myśli ku dwóm wędrowcom na dole. Miała powody sądzić że było ich tylko dwóch.

Młodzieniec nazywał tę dolinę Eggarsdale i mówił o niej jak o swoim domu. Jego pan z oczywistych względów nie był zdolny zatroszczyć się o siebie. Jak, będąc w takim położeniu, zamierzają tu żyć? To trudna gra. A nie mając łuku trzeba posiadać umiejętność polowania na skoczki za pomocą kamienia. Kiedyś sama przymierała głodem - jadła pędraki i zula trawę. Tak było, dopóki nie usmiechnęło się do niej szczęście i nie zdobyła dostatecznej wiedzy, żeby utrzymać się przy życiu. A trzeba pamiętać, że jeden skoczek wystarczy raptem, w najlepszym wypadku, na posiłek dla jednej osoby.

Briksja obracała przez chwilę nad ogniem nabite na patyk niewielkie kawałki mięsa upolowanego niedawno zwierzęcia, żeby przynajmniej częściowo się upiekły, zanim pozadliwie porozrywa je na kęsy. Potem usiadła na pietach. Choć nie miała czasu, żeby się rozejrzeć po długich zarosniętych zagonach w ogrodzie, była przekonana, że przez lata

opuszczenia rozsialy sie tam same albo odrosly z korzeni jadalne rosliny. Byly tam tez zapewne ziola. Zawsze zbierala ziola, kiedy i gdzie sie tylko dalo. A zreszta, jesli nawet sa tam jakies uzytkowe rosliny, to z pewnoscia niewiele. Jezeli zas ci dwaj nie zaopatrza sie odpowiednio, czym beda sie zywic podczas wedrowki?

Briksja ponownie obrocila szpikulec rozna, zazdroszczac jezykom ognia trzaskajacym i tanczacym za sprawa kapiacych sokow, ktorzych nie miala jak uratowac. Kiedy poczula zapach pieczonego miesa, jej usta napelnily sie slina.

Nagle zwrocil jej uwage jakis cichy dzwiek dobiegajacy z naprzeciwka.

-Oto i falszywy przyjaciel - rzekla mierzac Ute surowym spojrzeniem. - Skoro zmienilas herb, moja damo, to wracaj tam do nich i popros o goscine przy suto zastawionym stole, a nie przychodz do mnie.

A jednak zdjela znad ognia jeden z patykow, zsunela z niego kawalek miesa - przez lisc, zeby nie poparzac palcow - i na innym lisciu polozyla przed Uta dymiace pieczyste.

Kotka przysiadla w oczekiwaniu, az mieso ostygnie na tyle, zeby mogla je wziac do pyszczka. Tymczasem spogladala tylko na przyszykowane jedzenie. Jednak przez dobra chwile patrzyla tez na Briksje w ten swoj wzбудzajacy obawe sposob, bez mrugniecia okiem. Dziewczyna poruszyla sie niespokojnie. To bylo typowe dla Uty - pod jej wzrokiem Briksja miala niedorzeczne wrazenie, ze ktos przeczesuje i przestawia jej wlasne mysli.

-Tak, idz do nich, Uta. Ten wiekszy, zdaje sie, dosyc cie lubi.

Teraz z kolei - w odpowiedzi - dziewczyna zwezila oczy w szparki i utkwila wzrok w kotce. Zachowanie sie Uty wobec ludzi intrygowalo ja. Nie po raz pierwszy zapragnela, aby istnial jakis sposob porozumienia pomiedzy nimi dwiema. Wczesniej ta potrzeba zrodzona byla z samotnoscii Briksji - wowczas gdy znaczyła ona dla dziewczyny tyle, co uwiezienie. Z czasem sama fizyczna obecność kotki przestala odpędzać od Briksji mroczne mysli. Dziewczyna tesknila za jakimś drugim głosem, który by ja wyrwał z tej bolesnej pustki.

Teraz na pogawedke z Uta miala ochote powodowana ciekawoscia. Jakims sposobem kotka umiala przebic sie do zmetnialego umyslu lorda Marbona i sprowadzic nan krotki przeblysk swiadomosci. Dlaczego... i jak?

Briksja podniosla drugi szpikulec i zamachala nim w powietrzu, by nabite na patyk mieso szybciej nadawalo sie do zjedzenia.

-Cos ty mu zadala, Uta? - spytala. - Zachowuje sie, jakby spadl z ksiezycy. Zastanawiam sie, czy to z powodu jakiejs rany, czy tez jest to sztuczka najezdzcow. A moze goraczka? Kim jest ow Jartar, ktorego tak ciagle wola? I kim jest mlodzieniec, ktory powtarza, ze tamten nie zyje?

Energicznie przeżuwała lykowane mięso. Uta także jadła, nie zważając na zadawane jej pytania.

Ta piosenka... Nie mógł jej ułożyć żaden prawdziwy śpiewak; strofy były chropawe, nieudolnie zbudowane - jakby przez kogoś niewprawnego w tym rzemiosle, komu zależało jedynie na przekazaniu jakiegoś przesłania. Briksje nieco zdziwiły jej myśli. O co zatem chodziło w tej piosence? Przekleństwo Zarsthora... Jak jeszcze zostało ono tam nazwane? Przekleństwo gwiazd.

Człowiek o imieniu Zarsthor podniósł miecz na wroga i został zgladzony, ponieważ przeciwnik miał tę szczególną broń. Briksja potrząsnęła głową. Istniało mnóstwo podanych o dawnych wojnach i potyczkach. W każdym z nich tkwiło ziarenko prawdy, ale przestało ono mieć już jakiegokolwiek znaczenie. Chyba że mroczne Przekleństwo Zarsthora nadal ciąży nad tą doliną.

Wśród dolin High Hallack wszystko było możliwe. Dawny Lud, zanim opuścił ziemie okalające wielkie morze (udając się na północ lub zachód, za Odlogi) posiadał niezwykłą wiedzę i wiele różnych mocy. Pozostały po nim miejsca, których należało się wystrzegać i inne... Przestała jeszcze - nagły błysk jej własnej pamięci poraził ją z taką siłą, że niemal czuła, jak gwałtownym pędem przemieszcza się w czasie i przestrzeni.

Tego popołudnia, kiedy uchodzili z wieży w Moorachdale, bo nadeszło ostrzeżenie, że obrona dłużej się już nie utrzyma, Briksja traciła dech w piersiach. Trzeba było biec, wciąż biec w zapadającym zmierzchu, mając za plecami posuwający się szybko niszczycielski żywioł ognia, krzyki i wrzaski. Znowu przeszył ją ten ostry ból pod żebrami i znowu strzyknęło ją w nódze - pamiątka po tym, jak walczyła z zawadającą w ucieczce długą spodnicą. Jeszcze raz poczuła w ustach kwasny posmak strachu.

Potem pod górę - na granicę. Obok niej biegła Kuniggod stale ją popędzając. Kuniggod... Wspomnienie o niej wywabiało na twarzy Briksji grymas bólu. Chciała ją od siebie odsunąć jak najdalej, ale teraz nagle pamięć się ożywiła. Kuniggod - która zwlokła się z łóżka, rzezać i kaszlać z powodu silnego przeziębienia. Zanim śmierć ugotowała sobie drogę do drzwi niewiesticiej komnaty, wyprowadziła swoją wychowankę z dworu, używając tajemnych schodów i ukrytego wyjścia.

Zapadł zmrok, a one wciąż biegły wraz z kilkoma innymi uciekinierami. Jednak w pewnej chwili Kuniggod przywiodła ją do wąskiego przejścia pomiędzy wysokimi skałkami; posuwały się tamtędy z trudem, trzymając się blisko siebie. Briksja była na wpół nieprzytomna ze strachu. Nie zwracała zupełnie uwagi na drogę, którą wybrała Kuniggod i dopiero kiedy dotarły tam, rozejrzała się dookoła trzeźwiejszym wzrokiem.

Nie było w Dolinie rodziny, która miałaby ochotę osiedlić się w jednym z tych miejsc, jakie niegdyś Dawny Lud zajął dla swoich celów. Pokusić się o to mogła jedynie jakaś Madra Kobieta, choć trochę zaznajomiona z wiedzą tajemną. Ale nawet Madra Kobieta musiała

poruszać się po takim terenie z wyczuciem i wielką uwagą, ponieważ mogła tam napotkać moce zła ujawniające się niekiedy bez ostrzeżenia. Poza tym mówiło się, że owe niebezpieczne obszary Mroku otaczała pewna szczególna atmosfera i dlatego można było wykryć wechem lub przeczuć instynktownie, zanim się głupio wpadło w pułapkę.

I właśnie w jedno z takich pełnych grozy miejsc przyprowadziła Briksje Kuniggod - najwidoczniej stara niania posiadała odpowiednią wiedzę. Ślaniając się ze zmęczenia, zanosząc się kaszlem, z trudem łapiąc przy tym powietrze, zebrala resztki sił, żeby powstrzymać powracającą do zmysłów dziewczynę, która właśnie zrywała się do dalszego biegu.

-Zostan... - sapala. - Nic... ci... tu... nie... grozi...

Po tych słowach Kuniggod upadła na twarz. Briksja ukleknęła przy niej i wzięła ją w ramiona. Stara kobieta strasznie się dusiła. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że niania nie będzie mogła iść dalej; wiedziała też, że nie może jej tak zostawić. Więc przycupnęła w poświęceniu księżycy, którego zbyt pełna, jasna tarcza zawisała dokładnie ponad nimi, pozwalając zobaczyć każdy szczegół otoczenia.

Briksja rozglądając się bacznie wokół zauważyła, że nie był to krag. Srebrzystopopielate, lśniące w tym świetle kamienie tworzyły raczej dwa połokregi, pomiędzy którymi widoczne były dwa przeciwległe wejścia prowadzące do wewnętrznej części kola, gdzie schroniły się umykające śmierci niewiasty. Kamienie nie były chropawe - przed ustawieniem zostały wygładzone. Przy wierzchołku każdego z nich Briksja dostrzegła jakies linie. Ale czy miały one tworzyć pewien wzór, czy też były to pozostałości po zatartych przez deszcz i wiatry napisach - nie miała pojęcia.

Tymczasem im dłużej przyglądała się kamieniom, tym więcej zauważała wokół nich światła, które jakby krzepło i przywierało do nich. W jej zamglonych strachem oczach wyglądały niczym olbrzymie świece bijące blaskiem zarówno z boków, jak i z czubków, gdzie powinny być knoty. Mimo to światło nie rozlewało się w zbyt dużą plamę, a jedynie okrywało każdy słup jarzącym płaszczem.

Gdy Briksja patrzyła tak w ow migotliwy blask, pierwszy strach przed nieznanym powoli odpływał. Serce, które łomotało gwałtownie, gdy Kuniggod wciągnęła ją tutaj, uspokajało się. Niepostrzeżenie oddech Briksji stał się głębszy i cichszy. Przyszło odretwienie i znudzenie, które w jakiś dziwny sposób sprawiało przyjemność. Głowa się kiwała, ogarniała ją miła sennosc, zadowolenie.

W końcu Briksja osunęła się przyjmując pozycję leżącą, nadal mając wspartą na swoim ramieniu głowę Kuniggod; czuła się tak bezpiecznie, jak gdyby odpoczywała za zaciągniętymi kotarami własnego łoża. Lagodnie pogrzała nie w głębokim śnie.

Kiedy przebudziła się rano, wciąż leżała obok Kuniggod. Uplynęło trochę czasu, zanim

uprzytomniła sobie, gdzie jest i co się stało. Strach wcale nie powrócił. Pomiedzy nią a tym, co wydarzyło się w nocy, opadła zasłona - jakby całe lata oddzieliły jedną część jej życia od drugiej. Poczula nową siłę, jakiegoś niecierpliwego dążenia - do czego, nie wiedziała, ale nie przejmowała się tym.

Co więcej, po twarzy dziewczyny przesunął się zaledwie cien smutku, gdy stwierdziła, że duch Kuniggod opuścił jej ciało. Briksja złączyła ręce niani na nieruchomej piersi i pocałowała czoło. Potem wstała i popatrzyła na słupy. W świetle poranka były zwyczajnymi kamieniami. Wciąż nic opuszczał jej spokój albo raczej brak wszelkich uczuć, dający wyzwolenie od leków. Wiedziała, że to ma pozwolić Jej przetrwać - a właściwie zadawało się od niej, by przetrwała w jakimś niejasnym celu.

Nie zastanawiała się nad tym, czy ów spokój był dobry czy zły. Ważne, że przynosił jej siłę, by mogła dalej żyć, że miał ją ochraniać i wspierać.

Siedziała teraz ponad Eggarsdale wpatrzona w płomień i dumiała. Co zaszło w niej tamtej nocy, która spędziła otoczona przez zagadkowy blask księżycy na nowiu? Dlaczego akurat teraz odzyskała pamięć, odtwarzająca tak dokładnie i żywo każdy szczegół, chociaż nigdy przedtem, z jakichś niewytłumaczalnych przyczyn, nie pragnęła przywoływać przeszłości? Dlaczego wydawało jej się, że wszystko, co się działo przed tamtą nocą, miało w jej życiu niewielkie znaczenie, podczas gdy to, czego doświadczyła później, liczyło się dużo bardziej, niosło z sobą prawdziwy sens?

Dlaczego... dlaczego... dlaczego...?

-Wiele jest znaków zapytania - powiedziała na głos do Uty.

Kotka myślała właśnie o pyszczek, ale na słowa Briksji przestała pracować łapka i popatrzyła uważnie na dziewczynę.

-Jestem Briksja z Domu Torgusa - czy nadal nią jestem, Uta? Och, przecież nie mam na myśli kosztownych strojów, zajmowania honorowego miejsca, wydawania rozkazów. To nie są rzeczywiste oznaki urodzenia. Popatrz na mnie - rozesmiała się i zaraz zgroza przejechała ją myśl, że już od bardzo dawna nie wydała z siebie podobnego dźwięku. - Wyglądam tak, że mogłabym zebrać u ludzi o strawie, ale też niewykluczone, że wypędzono by mnie z wioski kamieniami, bo nie każdy jest skłonny raczyć poczęstunkiem podejrzanych włoczegów. A jednak to prawda, jestem Briksja z Domu Torgusa - i odebrać to sobie mogę tylko ja sama - przez jakiś niegodny mój dziedzictwa czyn, za który musiałabym się osadzić i później ponieść karę.

-Twój młody przyjaciel w dolinie ocenił mnie po pozorach, Uta. - Potrząsnęła głową. - Myślałam już, że odrzuciłam dumę jako rzecz zupełnie bezużyteczną. Duma nie włoży ci jedzenia do ust, nie przykryje grzbietu; to nie powietrze, bez którego nie możesz żyć. Przynajmniej ten rodzaj dumy. Może raczej potrzebuje czasem komus powiedzieć: "Nie

mozesz mnie pokonac, ty nedzny tchorzu!" Ta duma tobie samej nie jest obca, Uta. Mysle, ze to dobra duma.

Pokiwala glowa, jakby potwierdzajac swoje slowa. Jednak w glebi ducha nadal czula silne rozgoryczenie. Przypomniala sobie chyba zbyt wiele, mimo ze to wszystko bylo takie zamglone, odlegle. I jak ten mlodzieniec patrzyl na nia! - teraz bolalo ja to znacznie bardziej niz w chwili ich spotkania.

-A niech tam! - Briksja zwinela prawa dlon w piesc i zamknela ja w lewej dloni. - Ci dwaj sa dla mnie niczym. To, co sobie mysla, nie moze mnie dotknac. Z nastaniem switu juz nas tu nie bedzie, zostawimy ich, zeby mogli rozkazywac tej kupie kamieni.

Tymczasem zaczela przygotowania do noclegu. Znalazla w grani szczyrbe, ktora tworzyla cos w rodzaju plytkiej groty, Podloze wyslala suchymi liscmi i trawa; miala juz wprawe w moszczeniu takich gniazd. W pewnej chwili zrobila przerwe i spojrzala w dol, na wieze. Teraz nie musiala sie przyczajac ani ukrywac swojej obecności. Nabrala bowiem przekonania, ze mlodziencowi ani w glowie bylo ja tropic - pochlaniala go wylacznie opieka nad jego panem.

Widziala, jak wyszedl z wiezy i zaprowadzil konia do strumienia. Po napojeniu wierzchowca przywiodl go z powrotem na otoczony murem placzyk. Wtedy znow poszedl nad brzeg z buklakiem, zeby nabrac wody. Ani razu nie spojrzal w gore; pewnie w ogole juz o niej zapomnial.

Poczula sie tym urazona, choc nie rozumiala dlaczego. Jego obojetnosc osmielila ja. Wcale sie nie kryjac, sama zesla do strumienia z wlasnym zniszczonym naczyniem. Nawet zabawila tam dluzej, zeby umyc twarz i szyje. Rozgladala sie przy tym za jakas zatoczka ze spokojniejsza woda, zeby sie przejrzec jak w zwierciadle. Znalazla takie miejsce i uznala za stosowne przeczesac palcami burze wlosow, wydlubujac jednoczesnie strzepki lisci i galazki - pamiatki po przedzieraniu sie przez zywoplot.

Czemu tak przeciągala pobyt w tym miejscu, a nawet zdecydowala sie tu zanocowac - nie mogla pojac. Nie miala w tym zadnego celu. Kiedy tylko nachodzila ja mysl, zeby odejsc, zaraz pojawial sie jakis niepokoj, ktory nie pozwalal jej oddalac sie zbyt daleko. Postanowila znow zapolowac, ale tym razem robila to dziwnie nerwowo. Kiedy wreszcie, w roztargnieniu, usmiercila kolejnego skoczka, nie poczula zadowolenia ze swej zrecznosci ani z faktu, ze niespodzianie powiekszyly sie jej zapasy zywnosci.

Wrociwszy do swego "gniazdka" zobaczyla Ute na jednej ze skalek przylegajacych do przygotowanego legowiska. Kotka siedziala nieruchomo, patrzac wzdluz linii gorskiego grzbietu ku zachodowi, gdzie dolina otwierala drugie swoje gardlo na przerazajace Odlogi.

-A coz to takiego? - Briksja nieraz widywala Ute zastygla w podobnym skupieniu i wiedziala juz, ze to moze cos zapowiadac.

Chociaz tryb zycia, jaki prowadzila dziewczyna, wyostrzyl znacznie jej zmysly, mialy one nader ograniczone mozliwosci w porownaniu ze zmyslami kotki. Briksja uniosla glowe, natezyla wzrok i sluch, wciagnela nosem gleboko powietrze, chcac sie przekonac, co do tego stopnia przykulo uwage Uty.

Z otworu wiezy wydobywala sie smuga dymu. Ludzie, ktorzy znalezi tam schronienie, najwyrazniej nie wiedzieli, jakie zbierac drewno, zeby nie zdradzalo ogniska; albo tez nie przywiazrywali znaczenia do tego, czy ich ktos tam zobaczy, czy nie. Nie, to nie chodzilo o tych z wiezy... a wiec...

Briksja, pozostajac w cieniu skal, rzucila sie raptem na kolana i przywarla lewym ramieniem do pionowo osadzonego kamienia, ktory obdarzyla swymi wzgledami Uta. Po chwili wychylila sie nieco, zeby obserwowac, co sie dzieje w dolinie. Widziala zwalone kamienne ogrodzenia wyznaczajace granice poletek, ogrodow i miejsc gromadzenia zbiorow. Wzdłuż niektórych murków, i jeszcze dalej, ciagnely sie linie rzadkich zarosli. Od zachodniej strony pola konczyly sie gestym zagajnikiem.

I wlasnie z tej kepy drzew nagle zerwaly sie ptaki. Zatoczyly kolo wydajac chrapliwe odglosy. Briksja porwala za wlocznie. Doskonale wiedziala, co oznacza taki ostrzegawczy sygnal. W lesie byl jakis nieproszony gosc, a te ptaki wlasciwie niczego nie musialy sie obawiac, chyba ze - czlowieka!

Czy ci ludzie przysli z pustyni? Gdyby nalezeli do tej samej grupy co ci dwaj na dole, z pewnoscia jechaliby od Wchodu, podazajac starym traktem. Nie, to zbojcy szczury i hieny z Odlogow - ktorzy sciagneli tu, zeby zrobic to, co ona sama wczesniej zamierzala: przeczesac ruiny, liczac na znalezienie jeszcze jakichs przeoczonych przez innych niedznych resztek.

Powialo groza!

A lam - mlodzieniec z mieczem, mezczyzna ze zmaconym rozumem - obaj zupełnie nieswiadomi niebezpieczenstwa.

Przeciez nic dla niej nie znaczyli. A jakaz to bron ona miala? Stary noz, ktory w kazdej chwili mogl sie zlamac, i myśliwska wlocznie. To byloby szalenstwo... zupełnie szalenstwo...

Targaly nia rozne myśli. Ale juz, wydostawszy sie z kryjowki, niewidoczna dla ludzkiego oka skradala sie, wykazujac caly swoj kunszt w tej dziedzinie. Za nia, rownie ostroznie, przemykala Uta.

To bylo szalenstwo, ale cos ja ku niemu pchalo.

3

Briksja, zdajac sobie sprawe, ze wieza jest juz obserwowana z przeciwleglego lasu,

przykucnela za ostatnia na jej drodze ku zabudowaniom oslona, zeby sie zastanowic nad nastepnym ruchem. Przed nia rozposcierala sie otwarta przestrzen, ktora musiala jakos przebyc, chcac dostac sie do ciemnej plamy otworu wejsciowego. Gdyby tylko mogla byc teraz Uta...Uta! Briksje trafil wlasnie w ramie kosmaty lepek; obrocila wzrok na kotke, ktora skupila na dziewczynie baczne spojrzenie. Po chwili Uta zniknela jej z oczu, rozplywajac sie swoim zwyczajem w gestwinie rosnacych po prawej stronie krzakow. Briksji nie pozostalo nic innego jak poczolgac sie za nia i z trudem przedzierac przez platanine bujnej roslinnosci.

W pewnym miejscu linie krzewow przerywal rzad kamieni - podstawa dawnego muru obronnego. Nie wygladzone kamienie ulozone byly niedbale jeden na drugim. Uta zaczela wdrapywac sie po nich jak po drabinie - byla coraz wyzej i wyzej. Briksja szybko postanowila zrobic to samo. Wspinaczke ulatwialy jej liczne szpary i szczeliny. W pewnym momencie zawahala sie; dlonie mocno przywarly do kamieni. To szalenstwo! Ciagle jeszcze moze zawrocic i nie zauwazona zniknac za najblizszym wzniesieniem. Czemu tego nie robi?

Nic wiedziala. Odczuwala jedynie jakis wewnetrzny przymus, zeby isc ta wlasnie droga. Zarzuciwszy sobie na ramie zawieszona na rzemieniu wlocznie (tak zawsze nosila ja w czasie wedrowki), znow wyszukiwala oparcia dla palcow rak i stop.

Na szczycie muru Uta rozplaszczyla sie i spojrzala w dol, jakby chciala sprawdzic, czy Briksja idzie za nia, czy nie. Widzac, ze dziewczyna sie wspina, kotka, machnawszy ogonem, zniknela.

Czy ruiny dworu zaslonia ja przed wzrokiem tych z zagajnika, kiedy bedzie przechodzic przez mur? Tego nie wiedziala, mogla miec jedynie nadzieje. Nasluchiwala przez chwile i wciaz dolatywala do niej wrzawa sploszonego ptactwa - najwyrazniej zbojcy nadal jeszcze kryli sie w lesie.

Po drugiej stronie muru rozciagal sie wybrukowany dziedziniec, a dalej widoczne bylo na wpol zwalone domostwo wsparte z boku wieza. Briksja zeskoczyla na dol, wybierajac miedzy ladowanie na bujni rozkrzewionej roslinnosci, korzystajacej ze skrawka naniesionej przez wiatr ziemi.

Sadzac dlugie susy, przypadla do zburzonej sciany dworu, a potem posuwala sie wzdluz niej do momentu, az pozostala jej juz tylko ostatnia przeprawa przez otwarta przestrzen. Uta znacznie ja wyprzedzila: juz znikala w wejsci do wiezy. Briksja wziala gleboki oddech i zdjela wlocznie z ramienia. Wcale nie miala zamiaru wkraczac tam bez gotowej broni w dloniach. Skad mogli wiedziec, ze jest przyjacielem, a przynajmniej sprzymierzencem?

Jeden skok i byla juz w drzwiach; wniknela do wnetrza nie wydajac zadnego zdradliwego odglosu. Blask ognia tylko czesciowo rozpraszal panujacy w srodku polmrok. Ujrzala mezczyzne wpatrujacego sie w plomienie i siedzaca przy nim Ute. Obok stal mlodzienc; w jego dloni lsnila juz obnazona stal.

Briksja odezwala sie czym predzej, zanim zdazyl drgnac. Nie chciala sie z nim szamotac.

-W lesie przyczaili sie jacys ludzie. Moze przywabil ich dym z waszego ogniska... -

Wyciagnela reke w strone paleniska, w drugiej dloni trzymajac w pogotowiu wlocznie. -
Mogli tez isc za wami. Macie konia i taka cenna kolczuga - teraz wskazala na mezczyzne. -
Wystarczy, zeby znecic jakichs zbojow.

-A co ty masz z tym wspolnego? - mlodzieniec rzucil pytanie ostrym glosem.

-Nic. Tyle ze nie trzymam z hienami. - Briksja cofnela sie o krok. W glowie czula zamet.
Czemu sprzymierzyla sie z tymi dwoma, ktorzy doprawdy nic jej nie obchodzili?

Mlodzieniec nie spuszczal z niej oka, nawet kiedy przesuwal sie, zeby stanac przed mezczyzna i oslonic go soba jak tarcza.

-Jestescie tu sami - mowila dalej Briksja. - Gdy dojdzie do potyczki, rozniosa was na strzepy jak Uta mysz, i to nawet szybciej, bo oni nie poluja dla rozrywki.

Jego twarzy nie opuscil wyraz nieufnosci.

-A jesli ci nie wierze?

Wzruszyla ramionami.

-Rob co chcesz. Przeciez nie przykladam ci noza do plecow, zeby cie zmusic do walki. -
Potoczyla dokola spojrzeniem po pomieszczeniu, w ktorym sie schronili. Na prawo zobaczyla strome schody wiodace na nastepne pietro. Przy jednej ze scian stala lawa, na jedynym stolku siedzial mezczyzna, a obok lezala para jukow. Za poslania sluzily nakryte plaszczami pociete i zmieszane z trawa galezie. Wiecej nic tam nie bylo.

Jeszcze raz oczy Briksji zwrociły sie ku lawie. Szanse dawala mizerne, ale to bylo wszystko, czym mogli sie posluzyc. Nie wierzyła teraz w mozliwosc ucieczki - mlodzieniec sam moze zdolalby jakos przemknac, ale obarczony mezczyzna - nie...

-To - pokazala wlocznia na lawe - mozna ustawic w poprzek drzwi. Gdybyscie nie rozpalali ogniska, moglibyscie ukryc sie na gorze - zrobila ruch glowa w strone schodow. -
Ale teraz juz was wytropili i wiedza, ze opor stawi im tylko dwoch ludzi.

Mlodzieniec wsunal miecz z powrotem do pochwy i podszedl do lawy. Briksja stanela przy jej drugim koncu, wczesniej zarzuciwszy sobie wlocznie na plecy. Pochylajac sie nad lawa mlodzieniec spojrzal na dziewczynie.

-Niech bedzie! Potrzebujemy twojej pomocy. Ja bede przy lordzie Marbonie...

-Dobrze. Ja rowniez, chociaz nie mam zadnego pana, ktorego musialabym broniec, mam

sie o co bic - o moje własne życie.

Chwyciła za drugi koniec lawy i podniosła go. Drobiac i szurając nogami przenieśli ją oboje pod otwór wejściowy, gdzie miała spełniać rolę niskiej zapory, zresztą według przewidywan dziewczyny mało skutecznej.

-Gdyby tylko... - młodzieniec popatrzył na siedzącego przy ognisku mężczyźni. Briksja odniosła wrażenie, że te ulowil nie były skierowane do niej, a wypowiadający je raczej myślał na głos. I rzeczywiście, po chwili młodzieniec jakby przypomniawszy sobie o obecności Briksji - lypnął na nią okiem nie tając niechęci. Splotł palce i jego stawy wydały chrupot.

Jeszcze raz się odezwał z trudem wydobywając z siebie słowa, jak gdyby wstretim napawało go mówienie dziewczynie o czymkolwiek.

-Tu musi być jakieś tajne wyjście; on powinien wiedzieć.

Briksja, przypomniawszy sobie w jaki sposób jej samej kiedyś udało się wymknąć z podobnego miejsca, poczuła nagły przypływ nadziei, która jednak szybko przysnęła. Gdyby nawet pan na Eggarsdale miał tu rzeczywiście zapasowe wyjście, albo uległo ono zniszczeniu podczas zdobywania wieży, albo też jego sekret zgubił się gdzieś w labiryncie obłąkanego umysłu i został bezpowrotnie stracony.

-On nie będzie pamiętać. - A po chwili dodała, bo jednak odrobine się ludziła: - Jak myślisz?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

-Czasem coś sobie przypomina... - Ukłękł przy swoim podopiecznym.

I znów Uta, stanawszy na tylnych łapach, przednimi oparła się o kolano mężczyzny. On tymczasem pieścił dłoń jej łepkę, choć nie odrywał wzroku od płomieni.

-Panie - młodzieniec wyciągnął rękę. - Lordzie Marbonie...

Briksja stała przy drzwiach dzieląc uwagę: zarówno przysłuchiwała się temu, co działo się w wieży, jak i nadstawiała ucha, czy z zewnątrz nie docierają odgłosy świadczące o zbliżeniu się niebezpieczeństwa. Naraz doleciało do niej ciche rzenie konia - naprzęła się trzymając w pogotowiu włócznie.

-Lordzie Marbonie... - głos młodzieńca był teraz ostrzejszy i bardziej stanowczy. - Lord Jartar przysłał wiadomość...

-Jartar? Przybywa wreszcie?

-Spotka się z tobą, panie. Czeka na drugim końcu tajnego przejścia.

-Tajnego przejścia? Czemu nie przyjdzie otwarcie?

-Panie, zaczął się na nas wrog. Dla lorda Jartara nie byłoby teraz bezpiecznie ujawnić swojej obecności. Zresztą, czyż nie jest właśnie w jego zwyczaju przybywać i znikać niezauważonym?

-To prawda. Tajne przejście, powiadasz. - Mężczyzna wstał. O nogi ocierała mu się Uta. Długo nie odrywał od niej wzroku, a tymczasem jego twarz powoli się ożywiła. - Ha kicius. Dobrze jest znowu mieć twój rod za sprzymierzeńca jak niegdyś. Zatem tajne przejście...

Swobodnym krokiem, zupełnie niepodobnym do poprzedniego bezwolnego powłoczenia nogami, zbliżył się do wydrążonej w grubym murze wieży niszy, gdzie znajdowało się ich niewielkie ognisko. Przesuwał rękami po kamieniach nie używając więcej siły, niż kiedy wcześniej drapał Ute.

Jednak po pewnym czasie palce, którymi poruszał z taką pewnością siebie, jakby dokładnie wiedział, co trzeba zrobić, zeszywniały. Mężczyzna jedną rękę opuścił wzdłuż ciała, drugą podniósł do czoła i popatrzył przez ramię na młodzieńca.

-Jak to... - w jego głosie nie było już ani podniecenia, ani zdecydowania. - Jak to...

Uta stanęła na tylnych łapkach, a przednie zwiesiła na jasniejsze futerko podbrzusza. Zamiauczała cicho, lecz rozkazująco. Lord Marbon obrócił ku niej spojrzenie. Nastawił ucha, jakby potrafił zrozumieć znaczenie wydanych przez kotkę dźwięków.

-Panie. - Młodzieniec podszedł do niego. - Pamiętaj... Lord Jartar czeka!

Mężczyzna rozejrzał się wokół. Jego oblicze miało jeszcze myślicy wyraz, choć już gdzieś w kącikach oczu czaiła się apatia.

-To... to nie... nie... tu. - Błądził wzrokiem po ścianach surowego wnętrza.

Briksje ogarnęło takie zniecierpliwienie, że bliska była obgryzania paznokci. Nagle rozbudzona wyobraźnia podsunęła jej obraz niebezpieczeństwa, jakie na siebie sciągnęła. Utrzymać się w wieży nie sposób. Była na siebie wściekła, że wpędziła się w taką pułapkę z jakiegoś głupiego, niezrozumiałego powodu. Ale stało się; nawet jeśli młodzieniec mówił prawdę i ten lord Marbon ma tu jakieś tajemne wyjście, nie wiadomo dokąd ono może prowadzić. Czego zresztą można oczekiwać po tym skolatonym umyśle...

-Jartar... Tak!

Jeszcze raz brzmienie tego imienia pomogło mu pozbierać myśli; działało na niego ożywczo - jak poruszanie sznurkami pobudza do życia zrobiona z drewna i skóry kukielka (kiedyś, dawno temu, Briksja widziała takie przedstawienie).

Lord Marbon ponownie przyłożył ręce do muru. Do uszu Briksji doleciał z zewnątrz dźwięk, którego się tak obawiała - to mogło być tylko szurniecie buta o kamień. Chwyła w rękę włócznię, a tymczasem jej wzrok padł na schody. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy? We dwojkę, z mieczem i włócznią, mogli się jakiś czas utrzymać na gorze, choć o parę chwil przedłużając życie. Noż wiszący u pasa... to jej własna droga ucieczki, lepsza niż los, jaki inaczej byłby jej udziałem...

Dźwięk, który doszedł ją wcześniej z zewnątrz, nie powtórzył się. Ale była pewna, że wtedy się nie przesłyszała. Teraz jednak jej uwagę zajął inny, głośniejszy zgrzyt. W ścianie za paleniskiem pokazała się szpara. Młodzieniec gwałtownie i z całej siły przepchnął przez nią swego pana. Zaraz za nim skoczyła Uta i rozplynęła się w ciemnościach. Kiedy Briksja spostrzegła, że młodzieniec też już, bez słowa ostrzeżenia, przeciska się przez otwór, przypadła szybko do ściany. Tymczasem szczelina zaczęła się zewierać. Jednak dziewczyna, posłuszny się włócznią niby dzwignią, zdołała się jeszcze przedostać. Gdy wyszarpnęła drzewce, ściana zasunęła się całkowicie, pozostawiając Briksję w głębokim mroku, spowijającym ją jak ciężka peleryna.

Z prawej strony posłyszała jakieś dźwięki i powoli wyciągnęła w tym kierunku rękę. Przestrzeń, w jakiej się znalazła, była bardzo ograniczona - na lewo i na wprost tuż-tuż wymacała mur. Zwrociła się zatem w prawo. Opuszczała włócznię i zaczęła wodzić nią po podłożu, szukając w ten sposób drogi, która, jak przypuszczała, wiodła albo w górę, albo w dół.

Tak postukując Briksja uszła jakieś pięć kroków, po czym kamienna podłoga urwała się. Wciąż posługując się włócznią dziewczyna wynalazła coś, co mogło się okazać pierwszym schodkiem. Przystanęła i zamieniła się w słuch. Odgłosy dobiegały nadal z tego samego kierunku. Nie było na co czekać.

Briksja wystukiwała drogę przed sobą uważnie, sprawdzając dokładnie każdy stopień, zanim postawiła na nim nogę. Lewa ręka przesuwiała po ścianie, która początkowo była sucha, ale później - ponieważ dziewczyna schodziła coraz niżej - zrobiła się śliska od wilgoci. Nos drażnił zapach zastalej wody i zgnilizny. Dwukrotnie naruszyła dłońmi pokrywające ściany porosty, wzbudzając obłoki gryzącego, wolno opadającego grzybicznego pyłu.

Kiedy naliczyła dwadzieścia stopni, wymacała włócznią równy chodnik. Dochodziły do niej przytłumione głosy w ślad których podążała. Zastanawiała się, jakim sposobem tak szybko się poruszali. Może nie zachowywali takich jak ona środków ostrożności.

Szła w całkowitych ciemnościach i ten mrok ją przytłaczał, przejmował lekko - tak samo bała się zawsze nocy i zła wypelzającego pod jej osłoną. Ze wstretiem dotykała osłizłej ściany, ale musiała to robić, żeby sprawniej posuwać się naprzód. Długość takich sekretnych przejść była zawsze zagadką. Tajne korytarze drążono zazwyczaj tak, żeby wyjście znajdowało się daleko poza zasięgiem wzroku napastników. Briksja słyszała, że

podziemny chodnik w Moorachdale był dwa razy dłuższy od drogi biegnącej przez wioskę.

Wreszcie poczuła na policzku powiew. Podmuch nie był dostatecznie mocny ani świeży, żeby rozpedzić smród stęchły albo uniemożliwić rozwijanie się na kamieniach drobnych porostów. Świadczył o tym, że gdzieś w pobliżu jest jakiś dopływ powietrza. Briksja, stwardniałymi stopami brnąć w szlamie, który pokrywał ściany, wytrwale parła naprzód. W pewnej chwili jej lodowate opanowanie zostało poddane próbie, kiedy coś, na co nastąpiła, nagle wywinęło się spod jej nog. Odskakując pośliznęła się i tylko szybki skręt ciała uchronił ją przed upadkiem w cuchnącą breję zalegającą podłozie.

Uderzywszy raptem twarzą w mur domyśliła się, że trafiła na zakręt. Na lewo dostrzegła jakby lekka szarość, która dwukrotnie na chwilę ściemniała - oznaczało to, że ktoś tamtędy przechodził.

Chodnik wiodł teraz do góry, co przyjęła z westchnieniem ulgi ufając, że jest już blisko wyjścia. Jednak dotarwszy do źródła światła przeżyła rozczarowanie. Jasność sączyła się przez szczelinę w skale, tak wąską, że można było przez nią przecisnąć zaledwie cienką włócznię. Jednak ta nikła smuga światła pozwalała dostrzec kolejny zakręt, tym razem na prawo.

Briksja przeszła jakieś pięć kroków, kiedy rozjarzyło się przed nią prawdziwe światło, czerwono-pomarańczowy blask płomienia, ku któremu podążyła bez zwłoki. Po chwili ujrzała, że korytarz kończy się występem skalnym. W dole jej oczom ukazała się naturalna grotta, nie tknięta ręką człowieka.

Pod ścianą zobaczyła trzymającego lucywo lorda Marbona. Spostrzegła też młodzieńca; odwrócony do niej plecami wczolgiwał się w otwór po drugiej stronie jaskini. Nie widziała natomiast Uty. Choć lord Marbon pewnie trzymał w dłoniach zagiew, widac było, że przebłysk ulotności, dzięki któremu znaleźli się w tym podziemnym przejściu, należał już do przeszłości. Patrzył przed siebie bezmyślnie rozszerzonymi, nieruchomymi oczyma, w których odbijał się blask płomieni. Gdy jednak Briksja zsunęła się na dół i miała właśnie minąć go, żeby dalej iść samej, powoli obrócił głowę i zawiesił na dziewczynie wzrok.

Jego spojrzenie lekko się ożywiło, poruszył ustami.

Przekleństwo z dawna w gwiazdach tkwi.

Gdy chwila zderzy się z wiecznością,

Groźnym plemieniem błysnie Mrok,

Zatriumfuje nad Światłością...

Była zupełnie zaskoczona. Rozpoznała jedną ze strof, które śpiewał wcześniej - z pieśni o Przekleństwie Zarstora.

Znajdz... musisz znalezc... - mowil pospiesznie, belkotliwie. Chwycil ja za ramie zadziwiajacy u niego zelaznym usciskiem, ktorego nie zwalnial; wiedziala, ze oswobodzic moglaby sie jedynie sila. - Nic nie uklada sie pomyslnie... a to z powodu Przeklenstwa Zarsthora. - Schylil nieco glowe, zblizajac ku Briksji twarz. - Musisz odnalezc... - Nagle cos go uderzylo, oczy zablyslu mu zywo.

-To nie Jartar! Kim jestes? - Jego glos byl teraz i miry, nie znoszacy sprzeciwu.

-Nazywam sie Briksja - oswiadczyla zadajac sobie w myslach pytanie, do jakiego stopnia rozjasnil sie jego zblakany umysl.

-Gdzie Jartar? Czy moze cie przyslal? - Poniewaz wciaz mocno sciskal ramie dziewczyny, kiedy ja szarpnal, zakolysala sie cala.

-Nie wiem, gdzie jest Jartar. - Probowala wymyslic cos, co zadowoliloby lorda Marbona, ktory przeciez wzywal (pamietala wypowiedziane niedawno przez mlodziencza slowa) niezujacego juz czlowieka. - Moze... - uzyla tego samego wybiegu, co jego opiekun - czeka na zewnatrz.

Mezyczna zamyslil sie.

-On czerpie swoja wiedze ze starodawnych run... Tylko on wie... Musze to miec! Obiecal mi to. Jestem ostatnim z rodu Zarsthora. Musze to miec!

Znow nia potrzasnal, jak gdyby chcial, tak brutalnie sie z nia obchodzac, wymusic na niej cos, na czym mu zalezalo. Zblizyla dlon do rekojesci wiszacego u jej boku noza. Gdyby trzeba go bylo uzyc w obronie przed szalencem - a jakze, uczyni to.

Narastala w niej obawa, ale nie tylko z powodu jego widocznego oblakania. Cos trawilo ja od srodka. Jej glowa... Miala ochote krzyczec... wyrwac mu sie i biec, biec... Bo... wydalo jej sie, ze stoi przed jakimis drzwiami i gdyby one sie otworzyly...

To jednak nie byla chec uciezki, jaka niekiedy odczuwaja zdrowi umyslowo ludzie, kiedy zetkna sie z szalencem. Jej doznania byly calkowicie odmienne. Nie mogla ruszyc glowa, odwrocic wzroku od jego oczu. Poddawala sie koniecznosci - potrzebie jakiegos czynu - i nic innego w swiecie juz sie nie liczylo, tylko ten zniewalajacy przymus, ktory czynil Briksje wiezniem samej siebie. Uslyszala wlasny szept:

-Przeklenstwo Zarsthora.

Tak, to o to chodzilo. Istnieje cos takiego, co musi odnalezc... co ma przywrocic prawdziwe zycie... i naprowadzic na wlasciwa droge swiat, ktory od chwili, gdy zaczelo dzialac Przeklenstwo, zszedl na manowce.

Briksja mrugnela powieka raz i drugi. Nie czula juz tego co przed chwila, nie czula tej

szczegolnej koniecznosci. Zrozumiala: na krotko udzielil sie jej jego obled! Wykonujac gwaltowny, zwinny ruch, zdolala uwolnic ramie, po czym zaczela sie powoli i ostroznie oddalac od mezczyzny, posuwajac sie wzdluz sciany.

Marbon jednak nie probowal powtornie jej niepokoić. Wygladalo raczej na to, ze gdy Briksja sie oswobodzila, jednoczesnie po raz kolejny opuscila go swiadomosc. Na wygladzonej twarzy wktotce odmalowalo sie zobojetnienie. Nie patrzyl juz na dziewczynę, tylko utkwil wzrok w scianie. Po chwili dlon, ktora zacisnal wczesniej na jej ramieniu, opadla bezwladnie.

Otwor, ktory mogl prowadzic do wyjscia, bardzo Briksje kusil, ale dziewczyna wzdragala sie przed czolganiami w obawie przed ponownym atakiem Marbona. Gdy tak stali po przeciwnych stronach groty, Briksja zastanawiala sie nad sposobem szybkiej ucieczki.

-Panie... - nagle w otworze ukazala sie glowa mlodziencia - droga wolna.

Pragnac czym predzej powiedziec o wiedzacym w powietrzu niebezpieczenstwie, Briksja wybuchnela:

-Tvoj pan jest oblakany!

Mlodziencowi twarz sciagnela sie w furii. Skoczyl na rowne nogi.

-Klamstwo! Zostal ciezko zraniony na Przeleczy Ungo, i to dokladnie wtedy, gdy zabito jego mlecznego brata. Ta rana i smutek... Prawda, ze nie wie, co robimy i dokad zmierzamy, ale to tylko przejsciowe. On nie jest oblakany!

Wykrzywil gniewnie usta. Briksja pomyslala, ze w duchu musi przyznawac jej racje, ale uczucia, jakie zywi do swego pana, nie pozwalaja mu sie do tego przyznac.

-Wrocil tu, gdzie jest jego dom - ciagnal mlodziencie. - Znachor powiedzial, ze gdy pan znajdzie sie w dobrze sobie znanym miejscu, moze odzyska pamiec. On... on myśli, ze to jest wyprawa. W jego rodzie zachowalo sie takie podanie... opowiesc o Przeklenstwie Zarsthora. Chcialby zetrzec te zmazy i przywrocic dawny dobry lad. Przy zyciu trzyma go wiara, ze ta chwila wreszcie nadejdzie.

To stara rodowa legenda... o tym, jak przybyli do Eggarsdale Zarsthor posprzeczal sie z bratem swojej ukochanej (byla z Dawnego Ludu) i o tym, jak Eldor, powodowany pycha i wsciekloscia, zawarl przymierze z Ciemnymi Mocami, sprowadzajac na Zarsthora i jego potomnych, a nawet na ziemie, ktora dzierzyl, klatwe: gdy rod ten zyskiwal cokolwiek, natychmiast trafil wiecej.

Kiedy w zeszlym roku moj pan poniosl w walkach wielkie straty, coraz czesciej zdarzalo mu sie myslec o tym Przeklenstwie. I nieraz lord Jartar, ktorego zawsze ciekawily starodawne historie, szczegolnie gdy dotyczyly Dawnego Ludu, prowadzil z moim panem

rozmowy na ten temat. W koncu lord Marbon wbił sobie do głowy, że z całej tej opowieści może mimo wszystko wyzierać prawda. Doszło do tego, że z lordem Jartarem - który zareczal, iż kiedyś przypadkowo otarł się o pewne tajemnice mogące pomóc wyjaśnić podanie o klatwie - zawarł pakt i od tej pory mieli obaj oddać się dociekaniu prawdy o Zarsthorze i o tym, co jeszcze kryje przeszłość...

-Ale jakim sposobem można rozwikłać zagadki minionych czasów? - Briksja ożyła się nieco, choć wcale tego nie chciała. Po raz pierwszy od wielu dni wędrowki jej uwagę przyciągnęło coś, co nie było wyłącznie częścią walki o życie, walki toczonej od wschodu do zachodu słońca i od zmierzchu do następnego świtu.

Młodzieniec wzruszył ramionami, wykrzywił gniewnie usta i zmarszczył brwi.

-Spytaj o to lorda Jartara, a raczej jego ducha! On nie żyje, ale sprawa tego Przekleństwa nadal zajmuje umysł mego pana, i to w taki sposób, że teraz chyba jest w stanie uwierzyć we wszystko!

Briksja zagryzła wargi. Młodzieniec oddalił się. Możliwe, że Marbon również i jego zaszarował tak jak ja wówczas, kiedy zostali sami. Jeśli rzeczywiście tak było, to do tej spustoszonej doliny przywiodły ich obu jakies urojenia mężczyzny, a wcale nie rady znachora.

Patrzyła, jak młodzieniec zabrał swemu towarzyszowi lucywo, wprowadził go do otworu i delikatnie sklonił mężczyznę, popychając go ku wyjściu, żeby posuwał się na czworakach. Lord Marbon, skoro już się ruszył, nie stawiał żadnego oporu, tylko wpelził w ciemność. Gdy zniknął za jej zasłoną, młodzieniec wtracił głownie w skalną szczelinę i podążył za swym panem.

Briksja, nie mając wcale zamiaru pozostawać pod ziemią, kiedy znana była droga na zewnątrz, poszła ich śladem.

Wąski korytarz był krótki. Po chwili znaleźli się w głębokim cieniu stworzonym przez kilka drzew i krzewów i skrywających dziury w ziemi, z której się wylonili. Byli teraz wysoko na północnym stoku otaczającym dolinę wzgórz. Przycupnęli pod osłoną zarosli. Briksja omiotła wzrokiem stojącą w dole wieżę. W jednym z wąskich okienek migotało słabe światło - zatem wewnątrz nadal palił się ogień. Ujrzała pięć kudlatych zaniedbanych kuców, takich, na których - jeżeli mieli dość szczęścia - jeździli zbrojcy.

-Pieciu... - posłyszała obok siebie cichy szept młodzieńca. On także się wychylał, dotykając łokciem jej ramienia.

-Może więcej - odparła z pewną satysfakcją. - Niektóre bandy mają więcej ludzi niż koni.

-Znow wyruszymy w góry - rzekł ponuro. - Albo na Odlogi.

Briksji, choć tego wcale nie chciała, udzieliło się coś z jego zniechęcenia. Nie podobało jej się, że musi myśleć o kimś prócz siebie, ale jeśli tych dwóch miało zamiar wędrować dalej bez żadnych zapasów żywności i, jak się domyślała, bez umiejętności łowieckich, było już po nich. Drażniło ją, że to coś dziwnie nie dające jej spokoju, co się w niej zaległo, nie pozwalało jej zostawić ich losowi.

-Czy twój pan nie ma żadnych krewnych, którzy mogliby mu udzielić schronienia? - spytała.

-Nie. On... on nie zawsze był dobrze widziany wśród tutejszego cherlawego ludu. W jego żyłach płynie inna krew... ich krew... - Dla Dolinian oni, oznaczało tylko jedno - tamtych obcych, którzy niegdys władali całą tą ziemią. - Oto kim on jest. I to zawsze było po nim widac. Nie zrozumiesz - znasz go jedynie takim, jaki jest teraz - młodzieniec mówił zarliwym szeptem, jakby obawiając się, że nie zdoła nad sobą zapanować. - Był wielkim wojownikiem; był również uczonym medrcem. Wiedział o rzeczach, o których innym panom w Dolinie nawet się nie śniło. Potrafił wzywać ptaki i rozmawiać z nimi - sam widziałem! Nie było konia, który nie przybiegłby do niego i nie pozwolił mu się dosiąść. Umiał śpiewnymi zakleciami sprowadzić sen na rannego. Byłem świadkiem, jak położył dłoń na ranie aż czarnej z zakażenia i rozkazał ciału wyzdrowieć - i tak też się stało! Ale nie było nikogo, kto tak samo uleczyłby jego, nikogo!

Młodzieniec ukrył głowę w zgięciu ręki. Leżał spokojnie, ale przecież Briksja swoim pytaniem wzbudziła w nim przemożny ból i poczucie straty.

-Byłeś jego giermkim?

-Po śmierci Jartara nosiłem jego tarczę, tak. Jednak wedle prawa giermkim nie jestem. Choć pewnego dnia może będę, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Mój pan wybrał mnie spośród dalekich krewnych jego matki. Ja... nie miałem widoków na jakiś wielki majątek... Mielismy zaledwie strażnicę na granicy. Prócz mnie było jeszcze dwóch moich braci, a nie za mną stało prawo pierwszeństwa. Tak czy owak - to wszystko już stracone. Wszystko, tylko nie mój pan, tylko nie mój pan!

Mówił stłumionym głosem, tracając ją łokciem w ramię. Briksja wiedziała, że trudno mu zniesć jej obecność, gdyż знаła jego uczucia. Musi zostawić go samego. Nie będzie zadawać więcej pytań.

Odwrociwszy się, cichaczem opuściła dogodny punkt obserwacyjny. Jednak w miejscu, gdzie zostawili lorda Marbona, nie było go! Rozejrzała się pośpiesznie dookoła - nie było po nim śladu...

-On zniknął! Na krzyk Briksji młodzieniec pojawił się przy niej błyskawicznie, lekceważąc zupełnie, że z dołu mogłoby go ktoś zobaczyć. Briksja próbowała chłopca złapać i

przypomniec o niebezpieczenstwie. Ale nie zdazyła - już zapuścił się w zarośla po drugiej stronie miniaturowej polany. Po prostu dla niego nie liczyło się nic prócz jego pana.

Briksja pozostała na swoim miejscu. Teraz, gdy już wydostali się szczęśliwie z pułapki, jaka była wieża, nie widziała potrzeby dłużej im towarzyszyć. W ogóle żadnej potrzeby. Coż z tego, kiedy po chwili, mimo uporczywego głosu rozsądku, niechętnie wprawdzie, ale podążyła za młodzieńcem.

Nigdzie nie było również śladu Uty. Może kotka, w jakimś sobie tylko znanym celu, poszła z lordem Marbonem. Briksja powoli przedzierała się przez krzaki, kierując się w tę samą stronę co młodzieńiec.

Jeśli chodzi o osłone, los im nadal sprzyjał, gdyż za zaroślami znajdował się row wypełniony gestwiną krzewów, i pnaczy. Świeżo złamane gałązki i porwane liście świadczyły o tym, że dopiero co ktoś tędy przechodził. Według tych śladów Briksja ostrożnie posuwała się naprzód. Choć istniało małe prawdopodobieństwo, że zostanie zaskoczona przez jakieś wielkie lub szczególnie niebezpieczne dzikie zwierzę, bo nie zdolaloby się ono przed atakiem zbliżyć do niej nie zdradzając swojej obecności, jednak w tym przejmująco wilgotnym miejscu mogły żyć zupełnie inne istoty - istoty dobrze czujące się w siedlisku, jakie tworzyła tu bujna roślinność.

Otoczające Briksję zarośla i pnacze miały bowiem w sobie coś posepnego. Ich mięsiste liście były w kolorze ciemnej zieleni, tak ciemnej, że wyglądały prawie jak czarne. Niektóre miały czerwone lub rdzawe, żółtobrazowe żyłki, przypominające zaschlą krew. Zmiążdżone przez tych, których śladem szła Briksja, wydzielaly nieprzyjemną, pismową won, zupełnie inną od zapachu roślin, jakie знаła.

Gałązki i lodygi były czarne i ta czern, stykając się z jej ramionami, z całym ciałem, pozostawiała na skórze i odzieniu wilgotne smugi. Za pomocą włóczni Briksja próbowała odpychać od siebie zwieszające się nisko galezie.

Zaczęła podejrzewać, że ta ścieżka, prowadząca pomiędzy dwoma wznoszącymi się coraz wyżej wałami, nie jest tworem natury. Gdyby wyłobił ją jakiś obecnie wyschnięty strumień, biegłaby z kierunku północnego, w dół zbocza. Ona tymczasem wiodła ze wschodu na zachód, w poprzek stoku. Została zapewne wytyczona, żeby ukryć wynurzających się z otworu uciekinierów i poprowadzić ich ku Odlogom.

Briksja dwa razy przystawała, prawie już zdecydowana zawrócić albo przynajmniej wydostać się na górę z tej złowroźnej drożki. Jednak za każdym razem, gdy, bijąc się z myślami, spozierała ku oblepiającym ściany wąwozu zaroślom (krzaki tworzyły coraz gęściejszą zaporę), rezygnowała w końcu z przedzierania się przez nie.

Zatrzymawszy się kolejny raz, usłyszała coś, co kazało jej mocniej ująć włócznię. Nie był to docierający z oddali ludzki głos, nie był to również żaden loskot; dźwięk ten nie dobiegał

ani z przodu, ani z tyłu. Wystawiona na niebezpieczeństwo, trwała w bezruchu zupełnie sama, w ponurym, wymoszczonym ciemną zielenią rowie.

Nie, to nie brało się z gwałtownych podmuchów wiatru, który porywał w górę grube, pękate liście ani też...

Dziewczyna odwróciła się w tę stronę, skąd przyszła, próbując rozpoznać odgłos. To było jakby klaskanie, klekot; brzmiało niczym szczekanie zębami. Już raz czy dwa słyszała całkiem podobny dźwięk, kiedy Uta obserwowała ptaka pozostającego poza jej zasięgiem.

-Uta! - Briksja zawołała cicho, choć jednocześnie żywiła głębokie przekonanie, że to wcale nie sprawka kotki. Odgłos był przeciągły - mogły to być słowa wypowiedziane w jakiejś obcej, całkowicie niezrozumiałej mowie.

Z tyłu? Nie, kiedy tak nasłuchiwała w napięciu, nabrała pewności, że ten dźwięk nie odbijał się od ścian wawozu, który tymczasem zrobił się tak głęboki, że roślinność obrastająca wewnętrzne zbocza wałów stworzyła nad głową Briksji istny dach. To - spojrzała zdumiona w dół i poczuła napływającą zimną falę strachu - to jakby dochodziło spod ziemi!

Instynkt pchnął ją do natychmiastowej ucieczki. Ale... może to coś właśnie chciało, żeby rzuciła się przed siebie. Więc zamiast tego, bardzo starając się panować nad sobą, znieruchomiała i z lekko przechyloną na bok głową wsłuchiwała się w owy klekot. I nagle zobaczyła, że droga przed nią, tylko częściowo widoczna w panującym półmroku, faluje! Pod grubym pokładem liści tworzących butwiejącą masę, w której grzeźły stopy, było trzesawisko! Grunt pod jej nogami - tak, czuła, jak się zmienia. Nagle wyobraznia podsunęła Briksji przerazająca wizja zapadającej się coraz głębiej ścieżki i otwierającej się otchłani, wciągającej ją do swego wnętrza. A tam, w ukrytej pod powierzchnią jamie, czekało na nią...

Postanowiła dłużej się nie wahać. Zdjęta przerażeniem nic odrywała wzroku od podłoża, które pod warstwą liści było zwykłym błotem, oblepiającym białe nogi dziewczyny z każdym jej krokiem. A co będzie, jeśli jakiś... jakiś stworzynie wynurzy się teraz nagle tuż przed nią i potraktuje ją jak zdobycz?

Nie wytrzymała i rzuciła się pedem przed siebie. Im wyżej wznosiły się ściany wawozu, lub raczej im niżej opuszczała się ścieżka, tym droga była wygodniejsza. Briksja nie musiała już przedzierać się z takim trudem przez chaszczki. Wyteżywszy wzrok mogła dostrzec odcisnięte w czarnej ziemi ślady. Ci dwaj, albo przynajmniej jeden z nich, szli nadal przed nią tą ścieżką. Teraz nie pragnęła bardziej niczego, jak tylko znaleźć się w towarzystwie innych ludzi.

Niechęć i obawa napawały ją plamą cienia. Do tego smród naruszanych podeszwami opadłych liści i brei przyprawiał ją o mdłości. Briksja szła szybko, zauważając, że droga pod jej stopami już stwardniała, a ponadto piała się stopniowo, jakby miała przeciąć szczyt

wzniesienia. Dziewczyna dwa razy zesliznela sie po stromiznie. Napotkala mnostwo sladow swiadczacych o tym, ze ludzie idacy przed nia upadali, z coraz wiekszym trudem wdrapujac sie pod gore.

Niedaleko przed soba ujrzala platanine polamanych galezi i naddartych lisci; niektore rosliny wciaz jeszcze drgaly. Przebrnela przez to miejsce i zaraz wyszla na otwarta przestrzen, nad ktora zwieszalo sie pociemniale niebo. Bylo jednak dostatecznie jasno, zeby ten widok podniosl ja troche na duchu. Stala na krawedzi skalnego wystepu. Wygladalo na to, ze z zadnej strony nie bylo drogi wyjscia, i Briksji przemknelo przez mysl, ze moze mlodzieniec i lord Marbon spadli z tej nagiej skalnej polki. Z powodu leku wysokosci Briksja (nie majac swiadkow swojej slabosci) na czworakach zblizyla sie do lewego skraju, ale nawet w tej pozycji patrzyla w dol z obawa.

Zobaczyla rzecz zdumiewajaca. Bez watpienia byla w tym reka czlowieka albo jakiejs innej rozumnej istoty, ktora tak przeobrazila krajobraz, zeby sluzyl on celom tworca. Bowiem na dole to, co natura ukszaltowala jako przepasciste urwisko, trzymalo w swych objeciach rzad kamiennych stopni. Wysmagane wiatrem i deszczem, pokryte porostami, schody te prowadzily stromo ku waskiej dolinie. Natomiast dwie boczne skalne sciany - rowniez dotkniete erozja i porosniete mchem - byly wklesle i pociete wyzlobieniami.

Zmierzch zapadal szybko. W konajacym swietle te linie i wglebienia ukladaly sie w rysy jakichs napawajacych odraza twarzy, ktore wydawaly sie groznie popatrywac z ukosa. To sprawilo, ze Briksja czym predzej odwrocila wzrok od sciany. Z dolu dobiegl ja stukot spadajacego kamienia; zobaczyla tam jakis ruch. Dalej widok zaslaniał tuman dziwnej, dosyc nisko zalegajacej mgly. Briksja odniosla wrazenie, ze owa waska dolina byla glebsza od tamtej, lezacej po przeciwnej stronie grzbietu.

To miejsce pokrywaly geste ciemnosci. Jednak nie na tyle, zeby zupełnie zaslonic dwie sylwetki ludzi, stojacych i przy samotnej skalce-odkrywce. Wlasnie gdy spoczelo na nich spojrzenie Briksji, wiekszy uwalnial sie z uscisku mniejszego. Nie zwracajac uwagi na swojego towarzysza, ktory usilowal go zatrzymac, ten wyzszy twardo zdazal na zachod, idac pewnym, rownym krokiem doswiadczonego wedrowca.

Zdecydowana ich dogonic, Briksja podniosla sie, walczac z uczuciem, ze za chwile runie glowa w dol. Zaczela schodzic po stopniach. Jedna reka trzymala sie nierownej skaly, gdyz wielka przestrzen, jaka rozposcierala sie po prawej stronie, przyprawiala Briksje o zawrot glowy. Przezornie postanowila patrzec tylko przed siebie.

Bala sie isc szybko, a kiedy juz znalazla sie na dole, tamci dwaj znow mocno ja wyprzedzili. Ta druga dolina, o dziwo, pozbawiona byla roslinnosci, dzieki czemu Briksja widziala obu mezczyzn dobrze, chociaz zastanawialy ja ich rozmyte kontury.

Przetarla oczy sadzac, ze moze z jej wzrokiem dzieje sie cos zlego, co utrudnia patwienie w dal. Byly dlugie chwile, ze widziala ostro, po czym znow, kiedy spojrzala pod nogi albo na

ktoras (jedna z wielu) odkrywkę, wszystko się rozmywało.

Przynajmniej powietrze było tu świeże - mogła go zaczerpnąć, nie wciągając przy tym do płuc duszącego fetoru, jaki utrzymywał się nad ścieżką w górę. Jednak szło jej się ciężko, gdyż żwir i kamyczki zadawały cierpienie jej bosym, choć przecież zahartowanym podeszłom. W końcu zwinęła kroku, żeby nie otrzeć sobie stop w stopniu uniemożliwiającym dalszą wędrówkę. Żałowała, że nie ma teraz przy sobie sandałów, które wraz z tobołkiem zostawiła w tamtej dolinie. Kilka razy krzyknęła do tych z przodu, błagając, żeby na nią poczekali. Ponieważ robiło się coraz ciemniej, z pewnością prędzej czy później będą musieli się zatrzymać.

Briksja, od chwili wejścia do tajemnego korytarza w wieży, nie napotykała śladów kotki i teraz zastanawiała się, czy Uła w ogóle zeszła z góry. Jej obecność miała jednak pewne znaczenie. Dziewczyna martwiła się, że Uła poszła sobie swoją drogą.

Mrok gestniał i wraz z zapadaniem nocy Briksja stawiała się coraz ostrożniejsza. Być może ten dziwny niewidzialny dreczyciel z sekretnej przejścia wcale tu za nią nie przyszedł, a jednak miała wrażenie, że nie jest sama, że jest śledzona, że coś na nią wciąż mocniej i mocniej napiera z każdym, przysparzającym coraz więcej bólu, krokiem.

Nie mogła się tu zatrzymać, potrzebowała towarzystwa - jakiego bądź towarzystwa - aby pozbyć się uczucia, że jest całkowicie zdana na łaskę jakiegoś nieznanego sily. Od czasu do czasu przystawała na chwilę i nasłuchiwała, stwierdzając za każdym razem, że w dolinie nie rozlega się żaden z tych uspokajających odgłosów, które zazwyczaj wypełniają powietrze nocy pod gołym niebem. Nie było slychac ani cykania czy bzykania owadów, ani ptaków - panowała absolutna cisza, w której oddech dziewczyny rozbrzmiewał głośno w jej uszach, a przypadkowe szurniecie drzewcem wloczni po kamieniu wydawało dźwięk tak przeraźliwy, jak wojenny rog używany przez załogi wież.

No, uspokój się - Briksja próbowała powściągnąć swoją wyobraźnię. To nieprawda, że idzie otoczona tłumem i niewidzialnych istot! Nie ma tu nikogo oprócz niej. Dygocząc z powodu przejmującego nocnego chłodu, Briksja oparła się bokiem o napotkaną po drodze, sięgając do ramienia skalke.

Palce dziewczyny przesunęły się po jakimś wylobieniu, jakiejś wypukłości... Odwróciła głowę, żeby rzucić okiem. To była twarz...!

Jakież czary umieściły tu te grubo ciosana, kamienna rzeźbę, widoczna mimo ciemności? Dotyk dłoni jakby zbudził martwy dotąd kamień do życia.

Twarz...? Nie, w tych rysach nie było żoła nic ludzkiego. Briksja ujrzała ogromne, okrągłe oczy, a w ich środku - jarzący się zielonkawobiałym ognik wielkości lebka od szpilki. W miejscu, gdzie powinny się znajdować nos i usta, widniał diaboliczny zarys szerokiej, trochę rozdziawionej gęby, obnazającej spiczaste konce ostrych kłów.

Briksja, kiedy już minęło pierwsze zaskoczenie, przybrała minę, która miała świadczyć, że się nie boi - przecież to jedynie jakieś rowki w kamieniu... Na pozostałej powierzchni nie było już nic więcej. Zatem tylko te usta i oczy. Być może twórca oczekiwał, że widzowie resztę zobaczą w swojej wyobraźni. Briksja, zawstydzona swym niedawnym przestępstwem, uderzyła na odchodne wlocznia w kamień i pośpiesznie ruszyła w dalszą drogę, nie zważając na ból w stopach. Nie miała ochoty oglądać się za siebie, jednak wciąż męczyło ją uczucie, że coś chyłkiem podąża jej śladem.

Nie miała wątpliwości, że przemierza właśnie okolice należące do Dawnego Ludu. I, jak sądziła, do tych stworzeń, które bynajmniej nie patrzyły przychylnym okiem na ludzi wdzierających się na ich terytorium. To nie był azyl, do którego zaprowadziła ją Kuniggod. Tu człowiek czuł się stale zagrożony.

Wąskie koryto doliny - o ile dobrze widziała w tych ciemnościach - rozszerzało się zajmując dość rozległą przestrzeń. Dziewczyna znowu się wahała. Iść dalej noca po nieznanym terenie było może szalenstwem. Jeśli nawet ci, których goniła, podążali szlakiem, nie widziała po nich śladu, odkąd zeszła schodami z urwiska. Ale tu przynajmniej zwir, dający się we znaki stopom, ustąpił miejsca kępom trawy.

Przechodząc z jednej zielonej wysepki na drugą nie mogła posuwać się prosto, ale w ten sposób oszczędziła swoim podszwom dalszych cierpień. Tymczasem... Czyż byli tak głupi i znowu rozniecili ognisko? Tu, na otwartej przestrzeni, mogło ono jedynie zwabić grabieżców.

Odłogi miały zawsze złą sławę; krążyły pogłoski o różnego rodzaju nieludzkich stworzeniach, na które ponoć można się tu było natknąć. Ta złowroga jałowa ziemia stanowiła zachodnią granicę Krainy Dolin. Tutaj zapedzali się tylko - mowa o ludziach - zbrojcy albo nieliczni dziwacy, których przyciągały pozostałości po Dawnym Ludzie. Panowie z Dolin, gdy znaleźli się w ciężkiej opresji, udawali się dawnymi czasami właśnie na Odłogi po pomoc przeciw najeźdźcom. I z Odlogów pomoc ta przychodziła - w postaci Pustynnych Jeźdźców, o których wszyscy wiedzieli, że nie byli ludźmi, ale strasznymi stworzeniami, łączącymi cechy człowieka i dzikiej bestii. Z opowieściami o nich Briksja spotykała się czasem, gdy raz po raz zawierała odwrotnie znajomość z jakimś ukrywającym się wiesniakiem, oschłym i nieufnym jak teraz i ona, ale niekiedy chcąc wymienić garść soli na dwie skorki skoczka.

Podczas ostatnich dwu lat tulaczki, ucieczki i ukrywania się dziewczyna trafiała na skraj Odlogów wielokrotnie. Głównie dlatego, że nieprzyjaciel wciąż zasadał się raczej na wschód od jej szlaków. Widziała nieraz, jak przy granicach Odlogów aż roilo się od zbrojczyków. Jednak sama nigdy nie zapuściła się w głąb tego odludzia. Można się było spodziewać, że uczyni to ogarnięty swoją obsesją lord Marbon. Ale że ona będzie musiała pojsć za nim... Przykucnęła na jednej z kęp trawy ocierającej się o jej stopy; oczy i uszy miała szeroko otwarte... Wokół panowała nieprzenikniona ciemność, ale tu przynajmniej dawało się słyszeć zwyczajne nocne dźwięki, nie zaś jedynie przerażająca cisza, jaka zalegała

w dolinie.

Tymczasem... Uniosła głowę. Do nozdrzy Briksji doleciała won, która wynagrodziła jej wdychanie smrodu zgnilizny na tamtej wąskiej ścieżce w górę. Słodka, świeża... Od razu przywodziła na myśl lake o poranku, rose perlająca się na pajęczynach, kwiaty rozchylające swe płatki na powitanie dnia... Oto ogród - skapany w słońcu przedpołudniowej pory - i kwiecie, gotowe do zerwania i wysuszenia, żeby swoim aromatem mogło przesycać posciel w łożu i bieliznę... Oto...

Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, Briksja dzwignęła się na nogi i poszła dalej w noc, wiedziona coraz silniejszym zapachem. I tak dotarła do drzewa... Miało dziwnie powykrecane, bezlistne konary. Za to usiane było białym kwieciem. Zdawało się, że koniuszek każdego płatka, jak płomień świeczki, otoczony jest krążkiem światła.

Briksja wyciągnęła rękę, ale nie śmiała dotknąć płatków ani gałęzi. Stała tak, oniemiała z trwogi i zdumienia, lecz po chwili wyrwał ją z tego chrapliwy rechot.

Dziewczyna odwróciła się i uniosła wlocznie. W nikłym świetle zobaczyła przyczajone stworzenia. Były nieduże, ale wrzawa, jaka podniosły spostrzegłszy, że je zauważyła, okazała się godna istot dwa razy większych. Były małe, to prawda, ale przy tym okropne.

Gdyby ropucha mogła stanąć na tylnych kończynach, spojrzeniu swoich wylupiastych oczu nadać wyraz złośliwej inteligencji i pokazać język w rozdziawionej paszczy, to właśnie wtedy przypominałaby jedno z owych rechoczących stworzeń. Tyle że te ropuchopodobne istoty nie miały gładkiej skóry; pokryte były rzadkimi kepkami postrzępionych, dość szorstkich włosków, a ponadto miały cienkie wasy. Temu dłuższemu zarostowi, zwieszającemu się z obu kącików paszczy, dorównywały dwie miotelki nad oczami. Te liche niteczki nieustannie się poruszały, żyjąc swoim własnym życiem.

Briksja oparła się plecami o pień drzewa. Stwory nie podeszły bliżej, choć tego się spodziewała. Co do ich złych zamiarów nie miała jednak żadnych wątpliwości. Wyczuwała bijącą od nich zimną nienawiść do siebie jako istoty tak zupełnie innej niż one. Zamiast otwarcie atakować, zaczęły zataczać krąg, kolyszącym krokiem poruszając się w jedną stronę, jeden za drugim, co stanowiło ohydny parodię tańca, który zazwyczaj umilał ludziom życie w świąteczne dni.

Były teraz cicho, ale kiedy mijaly dziewczynę, odczytywała jakies niegodziwe pragnienie w chytrych, zwróconych na nią oczach. Stopniowo okrażały drzewo. Briksja, niemal przylepiona plecami do pnia, wykrecala się w różne strony, aby się przekonać, czy jest już całkiem otoczona.

Nie miała pojęcia, czego od niej chciano. Ale wiedziała dobrze, że te plasy mają swój cel. Jak przez sen pamiętała niektóre opowiesci Kuniggod. Na powtarzaniu rytualnych słów lub podejmowaniu, wedle ustalonego wzorca, pewnych działań polegały czynności magiczne.

Czy własnie czegoś takiego jest tu i teraz świadkiem?

Jesli tak, musi to przerwac, zanim czar sie wypelni. Ale jak to zrobic?

Trzymajac w gotowosci wlocznie, Briksja rzucila sie w strone najblizszego odcinka pierscienia. Stwory ustapily pola, ale zaledwie odrobine; okrazaly ja dalej, tyle ze poza zasiegiem jej broni. Tymczasem Briksja odniosla wrazenie, ze sa zlosliwie rozbawione. Byla przekonana, iz sie jej nie boja, ze zamierzaja tak tanczyc, dopoki nie osiagna swego celu.

Jesli nawet przebije sie przez ten krag, przeskoczy przez nie albo tez wyrwie sie, trzymajac je na odleglosc wlochni, czy wowczas rzeczywiscie bedzie zupełnie wolna? Oddalic sie od tego, chocby skapego swiatla, jakie saczyly kwiaty, znaczylo dac sie po ciemku zaskoczyc na terytorium, gdzie stwory moglyby zaatakowac dziewczynę z latwoscia.

Briksja wycofala sie pod galezie i ogniki kwiecia bijace do gory blaskiem. Nie miala watpliwosci, ze z kazdym okrazeniem pierscien tancerzy nieco sie zaciesnia. Czym predzej musi cos postanowic. Albo sie uwolni, albo bedzie musiala znosic to, co dla niej szykuja. Podobne niezdecydowanie nie bylo w jej zwyczaju, ale tez nie miala doswiadczenia w stosunkach z wrogiem tak dalece jej nie znanym.

Pod drzewem czula sie bezpiecznie. Jednak wrazenie takie moglo zrodzic sie jedynie z potrzeby i nadziei. Briksja dotknela pnia po drugiej stronie i wzdrygnela sie. Bylo tak, jakby przesuwała palcami po czymś ciepłym jak ciało. W chwili owego zetknięcia do jej umysłu przeniknela pewna wiadomosc. Czy to sie zdarzylo naprawde? Czy znow dala sie otumanic i zwiesc - byc moze za sprawa tych samych czarow, jakie rzucaly stwory?

Istnial tylko jeden sposob, zeby sie o tym przekonac. Umiesciwszy wlocznie w zgieciu reki Briksja delikatnie przyciagnela jedna z galezi, zeby ta znalazla sie tuż nad jej glowa. Nastepnie wypowiedziala wskrzeszone w jej pamieci slowa z dawnych lat. Nasladowala Kuniggod, ktora chodzac po ogrodzie z koszykiem przemawiala do kazdego krzewu, krzaczka i innych roslinek, zanim zerwala z nich kwiaty. Albowiem ta stara kobieta mocno wierzyła, ze rosliny posiadaja dusze, ktora kazdy zbieracz powinien uznac i uglaskac.

-Ku mojemu pozytkowi zechciej byc dla mnie szczodra, Zielona Siostrze. Obfity jest owoc twojego ciala. Jestes samym pieknem i slodycza - i to, czym sie tak hojnie dzielisz, wezme tylko ja.

Dziewczyna zwiesila reke ponad jednym z kwiatow. Jasnosc, ktora promieniowala z platkow, usunela z jej skory ogorzalosc od wiatru i slonca, w zamian dajac lagodne, polyskujace kropelki wody, perlace sie na palcach. Nie musiala w ogole przykladac sily, zeby zdjac kwiat z szypulki. Przeciwnie, zdawalo sie, ze opadl sam, by delikatnie ulozyc sie w jej dloni.

Miala dluga chwile wahania, w ktorej zapomniala nawet o tancu ropuchopodobnych

stworow; sadzila bowiem, ze odlaczone od galezi cudo, ktore trzymala wlasnie na rozprostowanej dloni, zaraz zwiednie i straci swoj dyskretny blask. Ale tak sie nie stalo, a tymczasem ogarnelo ja uczucie spokoju i pogodzenia ze swiatem, jakiego nie pamietala od tamtego ranka, gdy przebudzila sie w siedzibie Dawnego Ludu.

Jeszcze raz przemowila do drzewa - albo moze do jakiejś niewidocznej istoty, ktorej obecności nie mogła wprawdzie stwierdzic zadnym zmyslem, ale czula ja w glebi ducha.

-Dzieki ci, Zielona Siostró. Twój szczodry dar jest moim skarbem.

Wykonujac ruchy nie kierowane swiadoma wola, zachowujac sie jak ktos pozostajacy we snie i pod jego wplywem ujawniajacy swoje gleboko ukryte pragnienia, Briksja odrzucila wlocznie. Tym samym, wedlug ludzkich pojec, stala sie bezbronna.

Z kwiatem w dloni opuscila azyl, jakiego udzielilo jej drzewo, i zblizyla sie do kregu, ktory mial poczatek w miejscu, gdzie zwieszaly sie najdalej wysuniete galezie. Szla nieustraszenie ku tym wirujacym postaciom, ktorych taniec nabieral szybkości. Poruszala sie otoczona oblokiem rozkosznej woni.

Znow rozlegl sie skrzekliwy rechot, ale nagle ropucha stojaca tuz przed nia zamilkla. Wczesniej, gdy z rozwartej paszczy wychodzily chrapliwe dzwieki, brzmialo to jak jakas niezrozumiala dla czlowieka przemowa. Briksja wyciagnela reke. Pomiedzy jej palcami plynelo swiatlo kwiatu.

Ropuchopodobne stworzenie skulilo sie w strachu, jednoczesnie wrzeszczac ze zlosci. Tylko przez chwile patrzylo na dziewczynę wyzywajaco. Zaraz potem rzucilo sie do ucieczki w mrok, ciagle jeszcze gniewnie rzegoczac. Inne osobniki znajdujace sie w tanecznym kregu rowniez wylamaly sie z pierścienia. Nie umknely jednak tak szybko; na razie jedynie warczaly i bulgotaly na Briksje, wykonujac przy tym przednimi konczynami jakies niezdarne ruchy. Choc te ich lapy nie byly w nic uzbrojone, Briksja nie watpila, ze stworzy sie odgrazaja.

Kwiat pomiedzy nimi a dziewczyna wciaz swiecil - wprawdzie niezbyt jasno, ale tez nie tak znowu blado. Stwory wycofywaly sie chylkiem. Briksja nie posunela sie za nimi poza linie ich tanca wyznaczona zwieszonymi galeziami drzewa. Wiedziala - choc nie miala pojecia skad - ze ten tworzony przez korone drzewa baldachim stanowi dla niej zapore i schronienie.

Stwory podjely jeszcze jedna probe zamknienia tanecznego kregu. Ale mimo ze z werwa skrzeczaly i wymachiwaly konczynami, zaden nie mogl przejsc obok dziewczyny stojacej z kwiatem w dloni. W koncu naprawde ulegly i halasliwie oddalily sie w noc. Jednak tak calkiem nie opuscily pola walki, skoro, gdy Briksja przysiadla pod drzewem, dalej slychac bylo rozbrzmiewajace w ciemnosciach rechotanie i pomruki; dziewczyna nadal byla oblegana.

Odczuwala glod i pragnienie. Znow przypomniala sobie o tobolku, ktory zostawila w

dolinie na początku całej tej przygody, i westchnęła ciężko, ubolewając nad popełnionym szaleństwem. Zarówno czułość żołądka jak i suchość w ustach były przytłumione. Może trapiły ją inne części, oderwana od tej osoby, która siedziała pod drzewem tuląc do siebie kwiecie - drobne, jędrne płatki, jakby wyszlifowane z jakiegoś drogiego kamienia.

Pod wpływem nagłego impulsu wciągnęła głębiej do płuc rozciągająca się miła won. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, zmieniła pozycję. Położywszy ostrożnie kwiat na ziemi, uklekła i objęła rękami pień, przywierając ustami do gładkiej kory. Wsunęła język i przejechała nim tam i z powrotem. Choć nie miała tak ostrych zębów jak Uta, wyglądało na to, że udało jej się nadgryźć drewno, ponieważ pod językiem pojawiła się wilgoć. Wkrótce mogła już wysysać sącące się z pnia krople.

W miarę jak dziewczyna liźła kore, kapał z niej sok, który później coraz szybciej wypływał na zewnątrz; ani słodki, ani kwaśny, miał smak, na który Briksja nie mogła znaleźć właściwej nazwy. Ssała i przelykała na przemian.

Zaspokojone zostało nie tylko pragnienie, ale też i głód. Briksja czuła się nasycona i orzezwiona. Wydawała pomruk zagłuszający odgłosy ropuszego plemienia. Następnie uniosła głowę i zaśmiała się radośnie.

-Scisłe mówiac, jesteś Zielona Matka! Składam ci dzięki za pokrzepienie, kwietna pani. Ach, ale coż to za podziękowanie od kogoś takiego jak ja?

Nagle posmutniała. Jak ktoś, kto przez uchylone drzwi widzi wesole towarzystwo, ale nie śmie przestąpić progę. Jeśli to wszystko były czary (a niby co mogło być innego?), to niech odtąd nikt w jej obecności nie oczernia magii. Ponownie oparła się o drzewo i przyłożyła usta do kory, jednak tym razem nie by się napić, ale w geście zdumienia i zachwytu.

Potem odwróciła się i zwinęła w kłębek; obok spoczywał kwiat i porzucona włócznia. Całkowicie ufając w swoje bezpieczeństwo - zaśnęła.

5

Przebudzenie Briksji było spokojne i radosne. Słońce stało już wysoko i posyłało ku Odłogom złote strzały. Dziewczyna leżała patrząc rozszpanym wzrokiem w górę na plataninę zwieszających się nad nią galezi i doznając przy tym dziwnego zadowolenia. Kwiaty, które noca pełniły rolę świeczek, teraz były szczelnie zamknięte i opięte czerwobrazowymi osłonkami. Żaden nie zwiadł i nie odpadł od galezi. Kiedy przesunęła nieco głowę, zobaczyła ten przez siebie zerwany, spoczywający na ziemi tuż obok niej; też nie był rozchylony, tylko, jak jego rodzeństwo na drzewie, zmienił się w brązowy rulonik.

Nie była głodna ani nie bolały ją stopy. Czowała się rześka i silna. Nagle...

Potrząsnęła głową. Czy sen naprawdę zmienił się w jawę? Mrugała powiekami, zamykała

je, a i tak wciąż widziała, chyba oczyma duszy, wyraźną ścieżkę. Odczuwała wewnętrzny przymus, niepokojące wrażenie, że gdzieś jest potrzebna - żeby spełnić jakieś jeszcze nieznane jej zadanie.

Podniosła ciasno zwinięty kwiat i włożyła go za wyciecie koszuli na piersiach, gdzie mogli sobie teraz bezpiecznie tkwić przytulony do skóry.

Wstała i zwróciwszy się twarzą do drzewa powiedziała cicho:

-Zielona Matko, nie mam pojęcia, bo nie jest to : na mój rozum, jakich użyłaś na mnie czarów, ale nie wątpię, że wyprostują one moje ścieżki. Odtąd w twoim imieniu będę baczyć na wszystko, co wyrasta z korzeni, co wznosi ku niebu swoje łodygi lub galezie. Bo to wszystko, podobnie jak ja, naprawdę żyje. Tego się właśnie nauczyłam.

Otoż to. Już nigdy nie spojrzysz obojętnie na żadną odmienną formę życia. Czy każdy ślepiec, który nagle odzyskuje wzrok, widzi świat równie wyraziste jak tego ranka ona?

Każde źdźbło ostrej trawy, każdy karłowaty, powykrzywiany krzaczek miały się teraz stać dla niej czymś szczególnym, nadzwyczajnym. A była ich tak nieprzebrana różnorodność...

Briksja schyliła się po włócznię. Mimo że jej umysł zajęty był teraz myślami o świecie roślin, nie zapominała o drodze, która na nią czekała. Nie mogła dłużej zwlekać. Była komus potrzebna.

Ruszyła z wawo i szła odtąd szybkim, miarowym tempem. Ropuchopodobne stworzenia, które usiłowały pokonać ją za pomocą swoich czarów, gdzieś zniknęły. Choć nikt jej tego nie powiedział, Briksja wiedziała, że to światło słoneczne zapędziło je do kryjówek.

Tu i owdzie na splachetkach ziemi widniały ślady butów. Przeplatały się z nimi odciski łap Uty. Zatem cała trójka, która gonila, przechodziła tą właśnie drogą.

W pewnym miejscu trop Uty pojawił się osobno, z boku - wszystkie cztery łapy naraz. Briksja z podziwem skinęła głową, aczkolwiek nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby zobaczyć ją składającą wyrazy uznania dla tego, co uczyniła kotka. Uta - Briksja była tego najzupełniej pewna - rozmyślnie zostawiła dla niej te ślady, podobnie czytelne jak drogowskazy w Krainie Dolin.

Dziewczyna już przestała zastanawiać się nad celem swych własnych poczynań. Coś jej mówiło, że nie może teraz zboczyć z tego szlaku.

Na Odlogach żyły różne stworzenia, ale wszystkie, które tego ranka spotkała, były niegroźne. Raz czy dwa przecięły jej drogę skoczki pierzchające zygzakiem tymi swoimi wielkimi skokami, którym zawdzięczały ludową nazwę. Briksja dostrzegła również pokrytą pancerzem jaszczurkę i jej czerwone łuski, w tym samym kolorze, co piasek wokół skalki, na której siedział gad. Przechodzącej obok Briksji badawczo przyglądały się paciorki

oczu. Jaszczurka nie była bojaźliwa jak skoczki.

Strwożone stadko ptaków podniosło wrzawę i trzepocząc głośno skrzydłami odbiło się od ziemi, ale przeleciało tylko kawalek, by po chwili znów osiąść na trawie i szukać owadów. Ich upierzenie było ciemnobrazowe, jak okolica, w której żyły - przestrzeń pozbawiona jaskrawej zieleni i rozsypanych po trawie kwiatów. Wszelką roślinność pokrywał wszechobecny pył. W jednym miejscu stały osamotnione dwa krzaczki o miesistych, szaroczerwonych liściach. Wokół nich leżały pancerzyki chrząszczy, rogowate odnoża, jednym słowem resztki po uczcie wyrzucone z otoczonych kolcami, widocznych na końcach pedów par liści, znowu gotowych zatrzasnąć kolejną zdobycz.

Ta część Odlogów nie była równina; znajdowało się na niej sporo łagodnych pagórków. Przypominały nadmorskie wydmy, z tą różnicą, że były to wzniesienia trwałe, a nie ruchome, usypywane przez wiatr. Dlatego też obecny szlak Briksji nie biegł prosto, ale wiał się zakosami. Im pagórki były wyższe, tym gorsza miała widoczność.

Poczucie pogodzenia ze światem, z jakim Briksja przebudziła się pod drzewem, słabło, w miarę jak zapuszczała się w głąb labiryntu stworzonego przez ten pofalowany teren. Zbocza pagórków porośnięte były ostrą trawą, ale jej kępy różniły się od typowych roślin - przypominały raczej obrzydliwe klaki przyczajonych stworów, jak gdyby trwających w oczekiwaniu, aż Briksja zapełni się daleko w środek ich stada; teraz stanowiłaby łatwy łup, jeśli by położyły kres tej okrutnej zabawie i rzuciły się na nią...

Przywidzenie? Zapewne. W zwykłych okolicznościach nie zastanawiałaby się nad tym dłużej, ale teraz dwukrotnie nawet przystanęła, by grotem włocznicy postukać w takie wzniesienie; musiała się uspokoić i przekonać, że to naprawdę tylko wilgotna ziemia i trawa i że nie ma się czego obawiać.

Cos jednak zaczęło nurtować cząstkę jej umysłu. Te napawające lekkiem zwiady... Dotąd podobnych nie miewała. Strach nie był jej obcy, ale dotyczył zawsze konkretnych zagrożeń: złych ludzi, zimna, głodu, choroby - wszystkiego, co czyha na bezradnych czy nierozważnych. Nigdy jej wyobraźnia nie przysparzała jej nowych wrogów.

Chciała teraz biec na oślep, gdziekolwiek, byle dalej od tej kretnej ścieżki. Lepsza już spieczona, wysuszona pustynia niż to! Ale z trudem zwalczyła te pokusy; zamiast uciekać, do czego przynaglało ją tłukące się w piersi serce, po namyśle zwołała kroku i skupiła się na jednej tylko sprawie: na śladach, które zostawili idący przed nią wędrowcy.

I dopiero wtedy spostrzegła, że chociaż gdzieś tam widniał wyraźny odcisk buta, ważniejszy ślad zniknął. Nie było tropu Uty.

Briksja zatrzymała się gwałtownie. Brak śladów łap kotki był dla niej jak głośny, ostrzegawczy dzwonek. Nie miała pojęcia, dlaczego koniecznie musi podążyć tropem Uty, ale było to niezbędne i już. Zaczęła się za nim rozglądać.

Nie miała ochoty cofać się tą drogą, która przyszła. Zreszta - spierała się sama ze sobą - nie było to konieczne. A jednak... Bezwiednie szukała dłoń zwiniecia kwiatu, przycisniętego do piersi, bezpiecznego pod jej odzieniem... A jednak... było to jak rozbrzmiewający gdzieś tuż ponad jej głową rozkaz, którego trzeba posłuchać. Wiedziała już na pewno: musi to zrobić.

Pagorki tymczasem przybierały jeszcze bardziej niesamowite i pełne grozy kształty. Wydawały się Briksji litymi wyniosłościami ziemi tylko wtedy, gdy, walcząc z własnym strachem, patrzyła na nie wprost. Kiedy zaś spoglądała na nie katem oka, odnosiła wrażenie, że na przemian pecznieją i kurczą się, że zmieniają się ich zarysy...

Puściła się pedem, jedna ręka ciągle przyciskając kwiat do serca, druga trzymając włócznię. Wtem...

Tuż przed nią pojawiło się wzniesienie, zagięte w łuk, wyrosłe z ziemi, jakby po to, by ją otoczyć. U jego podnoża urywały się poprzednie ślady jej stop. Przecież nie... To chyba złuda...? Z zakamarków pamięci wydobyła ulomki opowieści Kuniggod. Uniosła włócznię i - nie zastanawiając się właściwie nad tym, co robi - rzuciła ją z całej siły.

Grot zatopił się w ziemi, lekko zadrgało drzewce. To wcale nie była złuda! Zwarty masyw uniemożliwiał jej wycofanie się. Została wpedzona w pulapkę, gdzie przynęta stanowił trop. Briksja wyciągnęła rękę i wyrwała włócznię.

Nie wolno jej wpadać w panikę. A jednak przebiegł ją dreszcz strachu, zaś zacisnięta na broni dłoń zrobiła się wilgotna. Dziewczyna nie miała najmniejszej ochoty odwracać się plecami do przeszkody. Ale musiała się na coś zdecydować. Pozostawanie w tym miejscu niczego nie mogło zmienić na lepsze. Odwaga, która była dla niej rodzajem odruchu samozachowawczego, podpowiadała Briksji teraz, że skoro została ostrzeżona, najlepsze co może zrobić, to iść i stanąć twarzą w twarz z przesładowcą; lepiej prędzej niż później, nim zdąży zmienić zdanie.

Kolejny raz pokonywała tę samą drogę. Ślady butów nadal były dobrze widoczne. Dokąd zmierzała ta trójka? Od jak dawna Briksja szła zwodniczym tropem? Podobne rozważania były teraz bezużyteczne. Przecież i tak mogła polegać wyłącznie na sobie.

Ten, kto urządził tę pulapkę, najwyraźniej nie spieszył się z ujawnieniem. Było to dla Briksji meczące. Nie kończące się oczekiwanie na atak osłabiało jej gotowość.

Tu i tam spotykała jeszcze jakies wzniesienia, aż w końcu...

Miała wrażenie, jakby wychodziła z zaciemnionego pokoju na ostre światło dzienne. Wcześniej marzyła o tym, żeby znaleźć się na pustyni, żeby być jak najdalej od rzucających cienie pagorków. Teraz, kiedy to się ziszcilo, krajobraz odpowiadał jej znacznie mniej, niż się spodziewała.

Rozposcierala sie przed nia bezkresna kraina, pozbawiona nawet tych niedznych strzepekow zarosli czy kep trawy, ktore mozna bylo spotkac na skraju Odlogow. Tu lezala skorupa jedynie zolta, pokryta rudymi smugami ziemia, poprzecinana siecia wyzlobien biegnacych w tak wielu roznych kierunkach, ze Briksja nie mogla uwierzyc, aby byla to pozostalosc po jakichs, plynacych tedy niegdys, potokach wody.

Ku gorze wznosily sie, niby zacisniete gniewnie piesci, brudnoczerwone odkrywki z grubymi czarnymi zylami. Z nieba lal sie zar przypominajacy fale goraca, jaka uderza z otwartego chlebowego pieca.

Oddychala z trudem. Isc w ten skwar, stapac bosymi stopami po spieczonej, rozpalonej do czerwonosci ziemi... - nie, to niemozliwe. Chociaz nie dowierzala labiryntowi wzniesien, uznala, ze musi tam wrocic. Obrocila sie i...

Gdziez sie podziala luka, ktora dopiero co wyszla?

Pograzona w rozterce, Briksja stala wsparta na wloczni, zaciskajac na niej kurczowo dlonie. Potrzasnela glowa, zamknela oczy i otworzyla je dopiero po dluzszej chwili.

To, co tym razem ujrzala, musialo juz byc naprawde omamem! Ogromne masy ziemi nie mogly przesunac sie w tak krotkim czasie. A jednak. Popatrzyła na prawo, potem na lewo: otaczal ja wznoszaczy sie wysoko ziemny wal, w ktorym nie bylo najmniejszej nawet przerwy.

Briksja przypadla do zbocza, po ktorym miala nadzieje jakos sie wydostac. Jedna reka trzymala wlocznie, ktorej grot wbijala w ziemie, druga zas chwytila za kepy trawy - i tym sposobem podciagala sie w gore. Poniewaz wciaz nie dostrzegala zadnego przejscia, piela sie dalej.

Trawa byla ostra niczym swiezo wygladzony noz dziewczyny (robila to dopiero wczoraj?). Briksja westchnela ciezko i podniosla palce do ust, zeby zlizac krew, ktora jasnymi struzkami splywala po dloni i nadgarstku. Przesunela sie gwaltownie, zeby uchronic przynajmniej swoje stopy przed tymi bolesnymi skaleczeniami.

Zjezdzajac na siedzeniu po zboczach az do miejsca, gdzie wilgotne podnoze wzniesienia stykalo sie z ogolocona ze wszelkiej roslinnosci plaszczynna, probowala pomyslec przez chwile rozsadnie. Nie bylo watpliwosci, ze przydarzylo sie jej cos, co nie miescilo sie w ludzkiej logice. Musiala traktowac to jako pogrozke. Jakies zupełnie obce jej, tajemnicze sily sprawily, ze zostala uwieziona przez zwykłe zwaly ziemi.

Docierala do niej przygnebiajaca prawda, ze nie ma dla niej ucieczki. Moze sobie chodzic wzdluz tych nasypow w te czy w tamta strone, ale i tak w koncu nie umknie przeznaczeniu. Bylo to niczym najkoszmarniejszy, najbardziej przerazajacy i mroczny ze snow.

Ale pozostac tu i pokornie czekac na marny koniec? Nie.

Otrzasnęła się i dodała sobie otuchy słowami, które w przeszłości często zdarzało jej się wypowiadać:

-Zyje - rzuciła zapalczywie ku rozciągającej się przed nią pustyni. - Mam ręce, nogi, ciało... Mam rozum... To ja, Briksja! I postępuje tylko zgodnie z własną wolą!

Jej wyzwanie pozostało bez odpowiedzi - chyba żeby uznać za taką daleki, chrapliwy krzyk jakiegoś, zapewne polującego, ptaka. Zwilżyła językiem suche wargi. Minęło sporo czasu, odkąd piła napój ofiarowany jej przez drzewo, zaś na tej czerwonożółtej ziemi nie było co liczyć na wodę.

A jednak musi brnąć w głąb tej krainy - taka jest jej wola i taka jest konieczność chwili. Nieważne, że chce tego również ktoś, kto popchnął ją na ten szlak. Na razie zdjęła z siebie skórzany kaftan i przysiadła, by za pomocą noża rozpruć go na kawałki, które niegdyś z takim mozolem zszyła. Z uzyskanych w ten sposób skórek sporządziła coś, co miało chronić jej stopy. Odpowiedniej wielkości płaty skóry owinęła wokół nóg do wysokości kostki i obwiązała mocno rzemykami, które połączyła zaciągając szelki za szelkami.

Tylko tyle mogła zrobić. Gdy skończyła, podniosła się i zasłaniając dłońmi oczy przed oslepiającym słonecznym światłem rozejrzała się po okolicy. Po ziemi tak porwanej gestą siecią rowów o ostrych krawędziach niemożliwe było podążanie niezmiennie w jednym kierunku. Tu i ówdzie z podłoża wylaniały się skały, które dawały krótki cień. Wszystko zasnuwała lekka mgiełka, więc Briksja widziała trochę niewyraźnie.

Wzruszyła ramionami. Zwlekanie nic nie da. Ponieważ było już dobrze po południu, miała nadzieję, że zmięch przyniesie wkrótce ochłodzenie. Ruszyła w drogę, podpierając się włócznia niby laska.

Jako że skałki różniły się kształtem, postanowiła wybrać sobie którąś za przewodnika, żeby tym sposobem uchronić się przed chodzeniem w kółko. Dostrzegła jedną, przypominającą okrągłą wieżyczkę albo paluch wymierzony w niebo. Właśnie tę wzięła za swój pierwszy cel.

Dwa razy musiała iść określoną drogą, gdyż natrafiła na rowy zbyt szerokie, by mogła je przeskoczyć. Wędrowka odbywała się na zasadzie: trzy kroki do przodu, dwa kroki w tył. Choć Briksja napotykała splachetki gołej ziemi, na których widniały nawet jakies tropy, nie dostrzegła żadnego śladu buta.

Najwyraźniejszy ze wszystkich był odcisk czterech palców, z których każdy miał długość jej własnej podeszwy. Czyżby trop jakiegoś ptaka? Ale z taką stopą musiałby być jej wzrostu albo nawet większy!

Tam gdzie są znaki życia, powinno też być coś, co życie podtrzymuje. Briksja nie znalazła takiego stworzenia, które mogłoby egzystować bez wody. Przeto ta ziemia nie jest z pewnością tak martwa, na jaką wygląda. Dziewczyna zatrzymała się i podniosła mały,

czerwony, okrągły kamyk, po czym włożyła go do ust, co było starym sposobem wędrowców na złagodzenie pragnienia.

Dotarłszy do kamiennego słupa, przystanęła i chronić się w jego niewielkim cieniu obierała kolejny cel.

Właśnie wtedy cisze rozżarzonej pustyni rozdarł krzyk dobiegający spod głowy Briksji. Przechyliła się do tyłu, aż poczuła za plecami rozgrzana skalę. Spojrzała w górę...

Po niebie krążył ptak. Nie znajdował się dostatecznie blisko, by przez nieprzejrzyste, falujące od upału masy powietrza mogła rozpoznać, czy był to jakiś nienaturalnych rozmiarów jastrząb, podobny do tych, które często widywała polujące wśród wzgórz, czy też jakiś pustynny padlinożerca.

Krzykowi temu zawtorował następny. Wkrótce w zasięgu wzroku Briksji pojawił się kolejny osobnik. Teraz oba zataczały koła nad skalą, pod którą stała dziewczyna. A więc miała być ich zdobyczą... Kiedy zniżyły lot, straciła na chwilę oddech.

W porównaniu z nimi nawet majestatyczny płowopióry orzeł królujący w górach High Hallack był nieszkodliwą ptaszyną. Nie miała już wątpliwości, że gdyby wylądowały, ich głowy, z przerażającymi, rozdziawionymi we wrzasku dziobami, znajdowałyby się na wysokości jej ramion.

Nie zmieniła pozycji, bo teraz skala przynajmniej osłaniała jej plecy; truchlała na myśl, że wkrótce zapewne będzie musiała bronić się przed zacieklą napastą. Zaciśnęła aż do bólu dłoń na wloczni.

Raz pikowały, raz szybowaly okraszając ją nieustannie - starały się, zupełnie jak tamte ropuchopodobne stworzenia, pozbyć się możliwości ruchu. Po chwili usłyszała trzeci, a zaraz potem czwarty głos - dwa inne osobniki dołączyły do swoich kompanów.

Teraz była pewna, że to ptaki drapieżne; zakrzywione dzioby i mocne ostre szpony wyglądały nad wyraz groźnie. Gdyby zaskoczyły Briksję na otwartej przestrzeni, powaliłyby ją bez trudu. Ale na razie zdawały się nie spieszyć z atakiem.

Teraz była oblegana przez sześć... nie, przez siedem już ptaków. Ostatni, latający najwyżej, wydawał przenikliwe krzyki, ale pozostałe ucichły. Briksja porównywała siebie do śnieżnego kota, którego psy goncze zapędziły w górach na jakąś polkę skalną i nekaja, oczekując na przybycie swojego pana.

Jaka siła kierowała tymi ptakami? Narastało w Briksji uczucie pogrążania się w jakimś okropnym koszmarze. A może wciąż jeszcze drzemiała pod drzewem, które wprawdzie początkowo wydawało się gościnnie i było dla niej azylem, ale teraz sprowadziło na nią zgubny sen?

Sen czy nie, czuła przecież skwar, pragnienie i strach, które były jak najbardziej rzeczywiste. Nieustannie miała się na baczności; skupiała się wyłącznie na obserwowaniu ptaków. Mimo to zdołała przykleknąć na jedno kolano i wygrzebać z wypalanej ziemi u podnóża skały kilka kamieni dobrze mieszczących się w dłoni. Skoro umiała zabijać w ten sposób skoczki, istniała możliwość, że uda jej się przy dobrej sposobności oszłomic również któregoś, zbyt pewnego siebie ptaka.

Briksja przejrzała kamienie starannie, wazac każdy w dłoni i zapoznając się dokładnie z ich bryłą. Wiedziała, jak wiele zależy od takiej przezorności. W końcu wybrała dziewięć, które ją zadowalały; były cięższe niż zwykle kamienie i odpowiednio ukształtowane.

Ptaki dalej szybowyły nad nią w kółko, bezgłośnie, rzucając przesuwające się po ziemi cienie. Tylko ten jeden, hen wysoko, wciąż przeraźliwie krzyczał. Briksja właśnie umieszczała ostatni wybrany kamień w zagłębieniu skały, z którego w razie potrzeby łatwo mogła na stojąco dobywać amunicji, kiedy krzykowi temu odpowiedział inny głos.

Ow przeciągły zew nie przypominał zbyt wrzasków wydawanych przez ptaki. Ponadto - tak się przynajmniej Briksji zdawało - dźwięk dochodził nie z góry, ale z ziemi. Natychmiast przejechała palcami po drzewcu włocznicy i objęła wzrokiem rozciągającą się przed nią pustynię.

W oddali widniało bardzo wiele poszarpanych skałek, które, za mgiełką, zlewały się ze sobą do tego stopnia, że chwilami Briksja zastanawiała się, czy przypadkiem w rzeczywistości nie tworzą one lancuchów kamiennych pagórków pokrewnych tym wzniesieniom, które niedawno opuściła. Naraz na lewo, po stronie południowo-zachodniej, dostrzegła jakiś ruch.

Ow samotny, pełniący rolę czujki ptak pofrunął w tamtym kierunku. I znowu rozległo się wołanie. Czy to głos człowieka? Briksja nie była pewna. Gdyby nawet indywidualum, które przybywało, żeby zakończyć polowanie, miało ludzką postać, w miejscu jak to, pod tak dobrze znaną zewnętrzną powłoką mogła się łatwo skryć istota zupełnie innego rodzaju. Odłogom nigdy nie można było ufać; tu nic nie dawało się przewidzieć.

Zbliżająca się postać prawie biegła. I wyglądała na człowieka. W rzeczy samej osobnik ten pedził na dwóch nogach i przypominał mężczyznę...

Nagle... znalazł się w powietrzu. Natrafiwszy na swojej drodze na jeden z rowów odbił się i wykonał olbrzymi skok, rozrzucając przy tym szeroko na boki górne kończyny. Te jakby się rozrosły i przybrały kształt podobny do skrzydeł. Lekko nimi uderzając osobnik wznosił się wysoko w górę i przebył tak całkiem spora odległość. Ani na chwilę nie przestawał towarzyszyć mu ptak.

Wkrótce postać znajdowała się wystarczająco blisko, by sylwetki nie zamazywała już mgła. Domysły Briksji okazały się słuszne. Nie był to bowiem zbrojca, który w jakiś sposób

zdolal wyszkolic ptaki, jak to czynia sokolnicy, ale raczej jeden z legendarnych potworow Odlogow, jakis niedobitek Dawnego Ludu, albo sluga, albo pan, ktory wlasnie znizyl sie do poszukiwania strawy na tej popekanej od spiekoty ziemi.

Pan... nie! Pani!

Szczupla postac przemierzajaca droge wielkimi plynnyymi susami, ktore stanowily cos w rodzaju krotkich przelotow, okazala sie plci zenskiej. Ta groteskowa figura nie miala na sobie zadnego ubrania, ktore okrywaloby obfite piersi i purpurowe brodawki otoczone obwodka z szarawych piorek. Czesci ciala, ktore u czlowieka porastaja wlosami, u niej pokrywaly placki upierzenia. Na glowie jezyl sie pierzasty czub. Natomiast od nadgarstkow do barkow wyrastaly stopniowo coraz dluzsze, szerokie, mocne totki, ktore u ramion osiagaly juz niemal te dlugosc, co same konczyny.

Twarz byla bardziej ptasia niz ludzka. Miala gleboko osadzone oczy, a usta i nos laczyly sie w potezny, zlowrogo zakrzywiony dziob ognistoczerwonej barwy. W czteropalczastych dloniach, znajdujacych sie na koncach skrzydlatych ramion, widac bylo glownie dlugie pazury, stworzone do rozszarpywania na strzepy. Natomiast to, co stykalo sie z ziemia w przerwach pomiedzy lotami, bylo para nie stop, lecz prawdziwych ptasich szponow.

Zblizajaca sie postac byla od Briksji wyzsza, ale cialo miala wychudzone, a ramiona i nogi wygladaly jak obciagniete skora kosci. Kiedy juz podeszla calkiem niedaleko, Briksja dostrzegla rowniez ogon, ktorego powlozczyste piora falowaly w powietrzu przy kazdym podskoku.

Po ostatnim takim susie postac osiadla na ziemi, tuz poza zasiegiem wloczni Briksji. Po chwili zaczela przechadzac sie tam i z powrotem, trzymajac lekko przechylona na bok glowe, jak zaciekawiony czymys wyjatkowo ptak.

Ptaszysko towarzyszace dotad Briksji wyladowalo na kamieniu przypominajacym wygladzony glaz narzutowy i zlozylo skrzydla, podczas gdy pozostalych szesc ptakow nie przestawalo pilnowac dziewczyny. Wtedy potwor Odlogow otworzyl dziob i krzyknal. Nie byl to wrzask, a juz na pewno nie spiew ptaka. Briksja przypuszczala, ze jest to mowa. Ale slow tych, jesli tym wlasnie byly owe dzwieki, zrozumiec nie umiala.

Dobrze, ze przynajmniej nie zaatakowal od razu, pomyslala. Czy jest mozliwe, by ten osobliwy i przerazajacy stwor jednak zrozumial, ze Briksja nie ma wobec niego zlych zamiarow i chcialaby jedynie moc pojsc dalej swoja droga? Wszak przewazajaca czesc wiekszych zwierzat zamieszkujacych dzikie doliny - jesli tylko bestiami tymi nie powodowal glod albo przekonanie, ze ktos oto wdarl sie na obszar ich lowow - byla sklonna utrzymywac niepewny troche pokoj z wedrowcem, ktory nie stwarzal widocznego zagrozenia. Gdybyz tutaj panowaly te same zwyczaje... Ostatecznie jednak nie zaszkodzi sprobowac.

Briksja starała się nie myśleć o pazurach ani o ostrym dziobie. Trzymana w prawej ręce wlocznie ustawiła tak, żeby robiła ona wrażenie wyłącznie wedrownego kija. Lewa dłoń wzniosła w pokojowym, odruchowym u ludzi gęście.

Zachryply z pragnienia głos próbowała nastroić najczystej, jak tylko się dało.

-Jestem przyjacielem... przyjacielem... - powtarzała wyraźnie i dobitnie.

6

Ptaszyca wciąż obracała głowę na boki, jakby koniecznie musiała skupić spojrzenie na Briksji każdym okiem osobno. Otworzyła dziób-usta. Teraz wydała z siebie nie taki krzyk jak poprzednio, ale szyderczy skrzek, który przypominał złośliwy ludzki śmiech. Gdy podniosła wysoko ramiona, wyrastające z nich piona rozciągnęły się i uformowały imponujące, najprawdziwsze skrzydła. Rozczapierzyła pazury, które drgały teraz nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie przejdą po bezbronnych ciele. Nie było zupełnie nic ludzkiego we wzroku, którego nie spuszczała z Briksji. Tymczasem ów siódmy ptak, który dłuższą chwilę odpoczywał na wysokiej skale stojącej nieco za jej pania, wzbil się w powietrze i skierował prosto w stronę dziewczyny. Briksja w błyskawicznym odruchu, nabytym w ciągu lat nieustannego stawiania czoła różnym niebezpieczeństwom, sięgnęła za siebie, szukając po omacku wgłębienia w skale. Zaciśnęła palce na jednym z przygotowanych kamieni i cisnęła nim najcelniej, jak tylko umiała.

Znow usłyszała skrzek. Ptak zmienił kierunek i - zataczając koło - dołączył do swoich nieprzerwanie krzacych nad dziewczyną towarzyszy. Zgubił przy tym jedno cuchnące pióro.

Briksja nastawiła wlocznie, spodziewając się teraz napadzi ze strony ptaszycy. Ale ona zwlekała. Przeskakiwała z jednej zakonczonych szponami nogi na drugą w jakimś dziwnym, nerwowym tancu. Nie śmiała się już więcej. Odtąd również żaden ptak nie zniżył nad Briksją lotu.

Dziewczyna nie miała pojęcia, dlaczego ociągają się z atakiem. Chyba że... Jej ręka powędrowała ku rozcięciu koszuli, gdzie tkwił pak... Czyżby ten zwinięty teraz kwiat z drzewa, które udzieliło Briksji azylu, znow dawał jej swego rodzaju ochronę?

Trzymając w pogotowiu wlocznie, Briksja sięgnęła za ubranie. Pak wciąż był szczelnie zamknięty, tak jak rano, a błyszczące, brązowe zewnętrzne płatki skrywały zazdrośnie tajemnice nocnego światła i aromatu.

Ale kiedy dotknęła paka, przestraszyła się. Zamiast pod wpływem tego, co poczuła, zwolnic uścisk, zagięła palce na paku jeszcze ciasniej. Był ciepły - i nie tylko; pulsował w jej dłoni. Jakby trzymała w reku wolno bijące serce!

Nie zdejmując wzroku z ptaszycy, Briksja wyciągnęła pak i obrzuciła go szybkim

spojrzeniem. Nie, nie miał zamiaru się otworzyć. Był nadal mocno zwinięty.

Ptaszyca ponownie zamachała skrzydłami sprawiając, że wraz z rozgrzanym powietrzem pustyni uniosła się w górę garść piasku i okruchów skalnych. A potem pchnęła to wszystko, dodając do podmuchu smrodliwa won własnego ciała, prosto w twarz Briksji. Podskoki ptaszycy były coraz szybsze; na przemian spod jednej i spod drugiej zakończonej szponami stopy wzbijały się tumany pyłu.

Jednym z tych wierzganiec rzuciła w stronę Briksji zgubione wcześniej przez ptaka pióro. Ale nie upadło ono z powrotem na ziemię. Zachowywało się raczej jak wypuszczona z łuku strzała, lecąca w dokładnie określonym celu.

Briksja odskoczyła. Ale pióro nie kierowało się ku twarzy, jak początkowo sądziła. Leciąco, by uderzyć w jej piasek, która zaciskała się wokół paka. To niesamowite zdarzenie nie było przypadkowe, co do tego dziewczyna nie miała wątpliwości.

Czy pióro spełniało jakieś zadanie wyznaczone przez pustynnych łowców? Potrząsnęła energicznie ręką, żeby sobie poleciało, lecz ono nie chciało się ruszyć - kołysało się tylko na jej piasku jak przyklepione. Briksja nie miała odwagi odstawić wloczni, żeby je zerwać; może właśnie tylko o to im chodziło.

Pióro...

Tak było lekkie, że gdyby go nie widziała, nie czułaby go na dłoni. Dlaczego, dlaczego przyczepiło się do niej i dlaczego ma akurat taki kształt?

Było całkiem czarne i przypominało olbrzymi złośliwy paluch, który jakby nie chciał dopuścić, żeby pak wy dostał się na światło dzienne.

Całkiem czarne...

Briksji zabrakło tchu. Wcale nie czarne! Jego kolor wzdłuż dutki zmieniał się... Czerniła się, pióro robiło się szare...

Wtem ptaszycy wrzasnęła donośnie i ten jej ogluszający krzyk podjęły i powtarzały za nią ptaszyska wciąż krzacząc w górę. Briksja wykonała gwałtowny ruch głową i przygłębła plecami do skały. Sądząc, że ów wrzask był sygnałem do ataku, dziewczyna szykowała się do jego odparcia.

Ptaszyca jednak - jeśli oczywiście nie brać pod uwagę jej tańca - nie poruszyła się. Tymczasem pióro stawało się wciąż lżejsze i lżejsze. W końcu wazyło tyle, co drobina pyłu i zupełnie zbiałało...

Briksja jak szalona machała ręką na wszystkie strony, mając nadzieję, że wreszcie się go pozbedzie. Daremnie. Pióro było teraz perlówobiałe. Poza tym zdawało się w jakiś

niezwykle sposob przyciagac swiatlo, jakby zalamywal sie wzdluz niego ledwo zauwazalny blask, rozproszony przy brzegach. Blask... Skad pewnosc, ze sie cos takiego rzeczywiscie widzi w tych oslepiajacych promieniach pustynnego slonca?

Jednoczesnie Briksja poczula ruch wewnatrz zacisnietej na paku dloni, jakby cos usilowalo sie stamtad wydostac. Nie z wlasnej woli, ale pod wplywem jakiegos obcego rozkazu wydanego jej miesniom, zaczela powoli rozluzniac palce.

Reka poruszyła się gwałtownie, mimo że świadomie dziewczyna nie dała jej takiego polecenia. Pióro w końcu odpadło, zawirowało i...

Ku niebu wleciał ptak. Był tej samej wielkości i miał tę samą sylwetkę co oblegające ją ptaszyska. Za to był perłowobiałym, jak kwiaty z tamtego drzewa. Już po chwili przesywał powietrze lecąc wprost na ptaszycę; celował w głowę.

Potwór Odlogów, wrzeszcząc nieprzytomnie, usiłował dosięgnąć go rozpostartymi skrzydłami, zaś będące na jego usługach ptaszyska przestały latać w kółko i spiralnym ruchem sfrunęły niżej, gdzie ich pani toczyła bój.

Briksja rzuciła wlocznie. Przyciskając do piersi pak, chwytając swoje kamienie i jeden po drugim miotała na krzaczki w pobliżu ptaki oraz na ich tancząca opętanczo i skrzeczająca panią. Kilka razy trafiła. Dwa ptaszyska trzepotały się na ziemi. Ptaszycę podniosła wielki krzyk, kiedy opadło jej jedno skrzydło i najwyraźniej nie mogła dzwignąć go z powrotem ku górze.

A tymczasem w oddali znowu pojawił się jakiś ruch. Briksja, pochłonięta walką, długo nie miała pojęcia, że nadciągnęły nowe siły. Pomiedzy kamieniami przemykały jakieś istoty, a ponieważ robiły to niezwykle szybko, nie wiedziała, gdzie one właściwie są. Zdawała sobie sprawę, że bitwa wzbudziła zainteresowanie, ale nie mogła żywić nadziei, iż nowo przybyłe stworzenia jej pomogą.

Biały ptak nie atakował ani szponami, ani dziobem, choć jedno i drugie miał mocne. Wyglądało raczej na to, że próbował pomieszać szyki czarnemu stadku i jego pani. Był złuda? A czymże innym? - pomyślała Briksja. Jednak kto te złude wywołał? Przecież nie zrodziły tego ptaka żadne jej czary. Ani nie była Madra Kobieta, ani nie parła się zapomniana magia Dawnego Ludu. Ona...

Poczula w ustach delikatny smak wzmacniającego, pożywnego pokarmu będącego darem drzewa. Otoczył ją obłok woni jego kwiecica. Wciągnęła ten zapach głęboko - bez żadnej ukrytej myśli, ale po prostu dlatego, że samo się to narzucało. Co też wnikało w nią wraz z tym aromatem?

-Zielona Matko - usłyszała swój chrapliwy głos. - Nie wiem, co takiego zrobiłam... Gdybym tylko wiedziała!

Pak zamknięty w dłoni raz jeszcze drgnął - tak mocno, że aż zatrzęsła się jej ręka. Czy była to swego rodzaju odpowiedź? Jakies zapewnienie? Briksja nie miała pojęcia, co jej się właściwie przydarzyło; nie miała też czasu, żeby uporządkować myśli.

Tymczasem wrzawa czyniona przez ptaki wzbudziła jeszcze jeden dźwięk; nie było to echo, raczej odzew. Przed oczyma Briksji migotały istoty poruszające się tak szybko, że dziewczyna miała za ledwie przelotne wrażenie, iż widziała gietkie podłużne ciała, pozbawione zarówno sierści jak i łusek. Nagle wyskoczyły z ukrycia; ptaszycy, skrzecząc wściekle, zwróciła się ku nim gotowa do walki. Teraz nie wahała się jak wtedy, gdy zwlekała z napascią na Briksję. Najwidoczniej wówczas nie była pewna, jaka dziewczyna dysponuje bronią. Natomiast stworzenia, które przyszły Briksji z pomocą, znała doskonale; rozpoznała w nich odwiecznego wroga.

Uciekać! Czy to dla niej jakas szansa? Trudno było Briksji cokolwiek przewidzieć, ale gdy popatrzyła na wir bitwy toczącej się pomiędzy dwiema drużynami mieszkańców pustyni, uznała, że taka okazja może się już nigdy nie powtórzyć. Kiedy podjęła decyzję, pak ponownie zatętnił, jakby ją przynaglając. A może to było ostrzeżenie... Jednak dopóki była sobą, dopóty zamierzała postępować zgodnie z własną wolą.

Nie odrywając palców od skałki zaczęła przesuwać się powoli na lewo, żeby znaleźć się po drugiej stronie odkrywki. Wkrótce kamienna maczuga zasłoniła jej widok na pole walki. W jednej ręce trzymając pak, w drugiej włocznie, biegła teraz co sił w nogach - ale nie w głąb pustyni, tylko z powrotem, ku ciemnej linii pagórków. Nie miała pewności, czy zdoła wdrapać się po zboczu na któres ze wzniesień, kiedy będa jej deptać po piętach żadne jej śmierci pustynne stworzy. Doszła jednak do przekonania, że biegać w nieznaną ryzykowałaby więcej.

W końcu znalazła się u stóp lancucha pagórków - nagich i ciemnych, gdyż słońce, przesuwał się po niebie za plecami Briksji, miało się już dobrze ku zachodowi. Bliskość pasma wzniesień dodała jej nieco otuchy. Co prawda nie marzyła o spędzeniu wśród nich nocy, ale zawsze było to lepsze niż nocleg na pustyni.

Minęła pas piasku i żwiru i uniosła twarz ku trudnej do pokonania stromiznie zbocza, porośniętego ostrą trawą. Mimo że groziły jej nowe rany na dłoniach, miała zamiar wspiąć się na górę i przejść na drugą stronę garbu, żeby przynajmniej jednym wzniesieniem oddzielić się od pustyni. Nie mogła przewidzieć, czy ptaszycy i jej stadko - zakładając, że wygrały potyczkę - będą ścigać ją aż tutaj.

Ledwo powłoczyła nogami, od biegu klęło ją w bok. Czula tępy ból brzucha z głodu, pragnienie było jeszcze dotkliwsze. Jak długo będzie w stanie dalej iść? Nie miała nawet pewności, czy znajduje się w tym samym miejscu, z którego wyszła na pustynię - albo raczej: przez które przegoniła ją tajemnicza, obca wola.

Zatem do dzieła. Zebrawszy resztki sił, Briksja wbiła włocznie głęboko w zbocze, mniej

wiecej na wysokosci swojego ramienia, zeby sie na niej dzwignac.

Ale tylko rozciagnela sie jak dluga padajac na twarz, a do nosa i ust wcisnela jej sie nieprzyjemnie pachnaca ziemia. Przez dluzsza chwile dziewczyna nie mogla zrozumiec, co sie stalo. Jednak kiedy sie otrzasnela, zobaczyla, ze...

Wzniesienie, do pokonania ktorego sie przymierzala... zniknelo! Lezala teraz w waskim przejsciui pomiedzy dwoma lagodnymi wzgorkami wilgotnej ziemi. W gasnacym sloncu niewiele juz mogla przed soba zobaczyc procz wydłużajacych sie cieni. No i drogi, ktora poprzednio przyszla - a moze jednak zupełnie innej? - znow stojacej dla niej otworem.

Po ucieczce i upadku Briksja byla tak zasapana, ze przez dluzsza chwile lezala skulona, probujac zlapac oddech i przejeżdżając dlonia po zabrudzonej blotem twarzy, zeby ja choc troche oczyszcic.

Zostala poprzednio na te sciezke sprowadzona - czy teraz znow miala nia podazac, zeby wpasc w jakas nastepna pulapke, podobna do tej, ktora okazala sie pustynia? Gdyby to byla prawda, nie ma co sie spieszyc na spotkanie z nowym niebezpieczenstwem.

Totez dziewczyna nie ruszyla sie z miejsca. Za jej plecami zniknely wlasnie ostatnie promienie slonca, a wydłużone, mroczne cienie dosiegaly jej swoimi pozadliwymi mackami. Usilowala skupic mysli, zrozumiec, co sie jej przytrafilo, jezeli to w ogole bylo mozliwe!

Odnosila teraz wrazenie, ze odkad zesla do tych szczatkow domostw w Eggarsdale i zostala wciagnieta w sprawe oszalalego lorda, nie byla soba, a raczej nie byla ta Briksja, ktora nauczyla sie byc, zeby przetrwac.

Czy bez jej przyzwolenia, a nawet niemal bez jej wiedzy, kierowala Briksja jakas sila, oczekujaca od niej w dodatku dzialan nie majacych nic wspolnego ze sprawami ludzi? Byla czystej krwi Dolinianka, nic nie laczylo jej z Dawnym Ludem; nie przypominala lorda Marbona, ktory akurat mogl byc podatny na takie czy inne czary.

Dolinianie - nie ma w tym krztyny lgarstwa - bywali niekiedy chwytni w rozproszone po calej krainie, a zastawione za pomoca czarow pulapki, by dzialali na rzecz obcych sil, nawet po uplywie wiekow. Briksja od dzieciinstwa nasluchala sie wielu przestrog opartych na owych starych opowiesciach, krazacych po wszystkich wiezach, a mowiacych o tym, co sie moze przydarzyc niemadrym i lekkomyslным ludziom, zapuszczajacym sie w zakazane miejsca. Poszukiwacze skarbow albo wracali wystraszeni, umierajacy, albo przepadali bez wiesci. Byli i inni, kierowani nie mniejsza zadza - szli tam z ciekawosci, chciwi wiedzy. Kilku znalazlo ja, ale pozniej okazywalo sie, ze otoczenie leka sie ich i unika.

Kuniggod... Nie po raz pierwszy w czasie swojej dlugiej wedrowki Briksja rozmyslala nad tajemnica starej niani. Kuniggod, kobieta wielce powazana, sprawowala rzady w Domu Torgusa, poniewaz Briksja byla na to jeszcze zbyt mloda i niedoswiadczona. Ojciec dziewczyny zaginal podczas jednej z pierwszych bitew z najeźdźcami - jego los byl

nieznany. Odkad, wydajac ja na swiat, zmarla jej matka, w Dolinie nie bylo zadnej innej pani.

Ale kim naprawde byla Kuniggod? Ile wlasciwie miala lat? Odkad Briksja siegala pamiecia - a niania byla przy niej od najwczesniejszego dzieciinstwa - Kuniggod sie w ogole nie starzala, zawsze wygladala tak samo. Choc nie twierdzila, ze jest Madra Kobieta i posiada tajemna wiedze, byla znachorka i zielarka. Miala najwspanialszy z ogrodow, jakie Briksja kiedykolwiek widziala. Dziewczyna nie ujawniala jednak nigdy swego zdania, gdyz w gruncie rzeczy niewiele wowczas miala okazje zobaczyc poza granicami swojej Doliny.

Pojawiajacy sie niekiedy obcy podrozni nie mieli jednak nad nim slow zachwytu. Przed najazdem przez wiele lat wedrowni kupcy dostarczali Kuniggod korzeni i nasion pochodzacych z dalekich miejsc. Kiedy Briksja podrosla, dwa razy do roku niania zabierala ja ze soba do Klasztoru w Norsdale. Tam Kuniggod z Przeorysza i jej Mistrzynie Nauk Zielarskich rozmawiala jak rowny z rownym.

Ludzie mowili, ze ma wyjatkowy dryg do ogrodnictwa, gdyz wszystko, co tylko zasiala lub zasadzila, bujnie sie rozrastalo i kwitlo. Zawsze gdy zaczynala siac, pierwsza garsc ziarna rzucala na ziemie wypowiadajac blogoslawienstwo Gunnory od Plonow.

Teraz Briksja uswiadomila sobie, ze Kuniggod miala pewne swoje tajemnice, ktorych istnienia ona, jej podopieczna, nawet sie wczesniej nie domyslala. Czy to dlatego, ze przypomniala sobie kilka zaklec Kuniggod, drzewo przyjelo ja poprzedniej nocy goscinnie i obdarowalo pakiem...? Ze byl to wlasnie podarunek, nie ulegalo watpliwosci.

Pak mial cos wspolnego - zapewne wszystko - z przeistoczeniem sie piora w ptaka. Moze gdyby Briksja posiadala wieksza wiedze, umialaby stworzyc dla siebie lepsza ochrone niz ta, ktora dawaly wlocznia i kamienie.

Rozwarla dlon i popatrzyła na pak. Nie byl juz tak scisle zwiniety. Ciemne oslonki rozchylily sie lekko. Przez szparki wydostawaly sie smuzki poswiaty. Pak zaczal rowniez wydzielac zapach - na razie delikatny, lecz z kazda chwila coraz mocniejszy.

Nie usechl ani nie zwiadl. Nie przypominal zadnego z tych kwiatow, jakie mozna bylo spotkac na krzewach i drzewach Krainy Dolin. Otwieral sie szybko, platki odginaly sie doslownie w oczach. Intensywna won w jakis dziwny sposob lagodzila uczucie glodu i pragnienia.

Briksja uniosla wzrok znad jasniecego kwiatu i obejrzala sie na pustynie. Nawet nie zauwazyla, kiedy ucichla bitewna wrzawa. Nie widziala teraz zadnego ruchu pomiedzy miejscem, gdzie sie wlasnie znajdowala, a skalka, ktora niedawno sluzyla jej za oslone.

Wsparlszy sie na wloczni wstala z ziemi i zwrocila nieulekly wzrok ku biegnacej posrod pagorkow ciemnej drodze, tak dziwnie zachecajacej ja do powrotu. Szla pomalu, wlasciwie tylko sila woli, gdyz obolale cialo odmawialo jej posluszenstwa. Chciala byc jak najdalej od

pustyni, nim zacznie szukać miejsca na nocleg.

Tak jak w tamta stronę, i teraz ścieżka prowadziła zygzakami. Chwilami Briksja wierzyła, że zmierza na północ, mniej więcej w tym kierunku, w którym prowadziły ślady, gdy był wśród nich trop Uty. Niekiedy wszakże zdejmował ją strach, że przez to krecenie niemal nie posuwa się naprzód.

Jednak drogie miała cały czas wolną. Jednocześnie, wraz z zapadaniem zmroku, trzymany w dłoni kwiat rozciącał coraz silniejszy blask, przez co Briksja nie pograżała się w całkowitych ciemnościach. Pragnęła wrócić do drzewa, aczkolwiek przypuszczała, że może się to okazać niemożliwe. W końcu potykała się już tak nieznosnie, że z niepokojem zdawała sobie sprawę, iż jest u kresu sił.

Osunęła się na ziemię, plecami do jednego ze wzniesień, i wyciągnęła przed sobą obolałe nogi. Włocznie położyła w poprzek kolan, a stulone ręce spoczyły na łonie, w towarzystwie kwiatu - teraz już całkowicie rozwiniętego, tętniącego swym migotliwym życiem, jakby pulsującego oddechem nie różniącym się od jej własnego.

Ile wytrzyma bez żywności i wody? A jednak nie chciała myśleć, jak następnego dnia rano będzie wyglądało jej pelzanie o pustym żołądku. Zdecydowanie powróciła do dawnego nawyku życia tylko dana chwila, który nie dopuszcza wyprzedzania niepowodzeń i niebezpieczeństw, jakie mogą człowieka czekać.

Zmęczonego i wyczerpanego ciała Briksji nawet chłosta nie zmusiłoby się tej nocy do czuwania. Opadła ją przemożna senność: powieki zrobiły się ciężkie niczym ołów, leżała wyzuta z sił. Zamknęła oczy i nie widziała już majaczących się krzywizn pagórków.

Na jej piersi spoczywał rozwinięty, rozplaszczony kwiat. Czy falowanie rzucanego przez światła zgadzało się jakos z biciem jej serca? Nawet gdyby, była zbyt spiąca, żeby to zauważyć. Ale w miarę jak migotanie stawało się coraz powolniejsze, a blask przygasiał, oddech i tętno zasypiającej dziewczyny uspokajały się i Briksja odpoczywała całkowicie odprezowana, co nie zdarzyło jej się już od bardzo dawna.

Czy miała jakieś sny? Trudno byłoby jej odpowiedzieć jednoznacznie. Później coś sobie metnie przypominała... Tak jakby widziała Kuniggod leżącą w prastarej siedzibie Dawnego Ludu... nie umarła, nie, tylko spiąca; spało jej wyczerpane ciało, ale ona sama czuwała - niezwykłym, szczególnym sposobem. Przy czym Kuniggod - albo raczej istota jej bytu, ważniejsza od wszelkiej powłoki cielesnej - widziała Briksję. Czy dobrze jej życzyła? - dziewczyna znowu nie pamiętała. Ale między nimi zaszło coś istotnego, tak... Była tego pewna.

Otworzyła oczy. Smugi wysyłanego przez kwiat światła powstrzymywały nacierające tuż, tuż na Briksję nocne ciemności. Na rozpostierającym się ponad jej głową niebie było teraz pełno chmur, które przysłańały odległe iskierek gwiazd.

Briksja leżała tak przez dłuższą chwilę. Wszystko wskazywało na to, że ponownie wśliznęło się do jej umysłu jakieś wezwanie, które przerwało jej sen. Uklekła i jedna ręka zaczęła szukać po omacku włączni. Jej ciało jakby się od niej odłączyło - widac czas gonil.

Wstała i ruszyła ścieżka. Kwiat oświetlał swym blaskiem drogę jedynie na krok lub dwa naprzód. To, co czekało Briksję, pozostawało jeszcze poza zasięgiem jej wzroku.

Wiedziała, że musi iść dalej tą drożką i że z jakiejś przyczyny niezbędny jest pośpiech. Briksja usiłowała odkryć te przyczyny. Czy chodziło o to, żeby koniecznie dogoniła tamtych? A może było to delikatne napomnienie, żeby nie przeciągała pobytu na niebezpiecznym terenie? To, co raz zastawiło na nią pułapkę, mogło z powodzeniem powtórzyć próbę.

Z dalekich ciemności dobiegały jakieś dziwne odgłosy, Najpierw Briksja pomyślała o ptakach i ich pani, a zaraz potem o prawie niewidocznych stworzeniach, które toczyły z nimi woj. W grę wchodziły również nocne ropuchy... Niebezpieczeństwa, jakie mogły czyhać w mroku, były wręcz niezliczone.

Im dłużej się w ten dźwięk wsłuchiwała, tym bardziej wydawał jej się intrygujący. Było tak, jakby ktoś mówił - tuż poza granicą słyszalności poszczególnych, zrozumiałych słów... Ktoś? Właściwie było tam wiele głosów, niektóre cienkie, niektóre niskie i donosniejsze. Briksja jak mogła nateżała słuch ufając, że wyłowi choć jeden wyraz, że dowie się, czy nie ma przypadkiem do czynienia z przytłumioną ludzką mową. Jeśli nawet było tam jakieś towarzystwo, wcale się do niego nie zbliżała, chociaż szła teraz szybciej, wbrew sobie gnana nadzieją, że może znajdzie wreszcie poszukiwaną trójkę.

Miała wrażenie, jakby ruchliwe i gwarne życie doliny przepływało tuż obok niej, a ona nie mogła go dotknąć, nie mogła zespolic się z czymś, co na zawsze pozostawało w cieniu. A może to ona była cieniem - schwytanym i przeniesionym z prawdziwego świata?

Noc sprzyja pobudzeniu wyobraźni. Zwłaszcza kiedy ma się majaki z niedożywienia i pragnienia. Ponadto oszłomienie mógł też powodować zapach kwiatu - podobnie jak sok lub owoce pewnych roślin, które na nieroztropnych sprawdzają odurzenie bądź nawet obłęd.

Briksja wciąż szła, zasluchana w dźwięki, których nadal nie mogła zrozumieć. Naraz uroiła sobie, że otaczające ją wzgorza przykryły ruiny jakiejś wieży i że te wypełniające mrok szepty są głosami zamieszkałych tam dusz-cieni. O podobnych zdarzeniach mówiły zasłyszane przez nią legendy.

Dosć osobliwe było to, że nie czuła teraz w ogóle strachu. Tak jakby cel, który ją tu przywiódł, zakładał również omotanie jej duszy oprzedem mającym dać poczucie bezpieczeństwa. Posuwała się kreta droga posłusznie, raz w prawo, raz w lewo. A wokół tylko ciemność.

Czy szła bez przerwy aż do świtu? Briksja nigdy sobie tego potem nie przypomniała - tak

jak nie miała pojęcia, ile czasu spała wyczerpana, zanim rozpoczęła nocną wędrowkę. Kroki stawiała machinalnie. Nawet nie patrzyła przed siebie; popychająca ją siła zastępowała jej własną wolę.

Początkowo nie zauważyła również, że zmienia się wokół niej krajobraz. Pagorki rozsiane były coraz rzadziej, ale te, jakie jeszcze napotykała - choć z powodu ciemności nie widziała ich dużo - robiły na niej wrażenie znacznie wyższych niż poprzednie. Koniec włocznicy, która się podpierała, natrafiał teraz już nie na ziemię, ale na twarde podłoże, wydając przy tym dzwiczny odgłos, który wyrwał Briksję z polsnu, w jakim się poruszała.

Uniosła głowę. Niebo było matowoszare. Osunęła się na kolana, zwolniona na chwilę z przymusu nieustannej wędrowki. Wówczas światło rzucane przez kwiat padło prosto na pewne miejsce tuż przy nogach dziewczyny. Zobaczyła ułożone na dużej szerokości bloki, tak do siebie dopasowane, że mogło to oznaczać tylko jedno: gościniec. W poprzek jednego z nich przebiegała wstążka naniesionej ziemi. Pośrodku, jakby wycisniety celowo, widniał głęboki, wyraźny ślad kocięj łapy.

7

Briksja niemal z bojaźnią wystawiła palec, by jego koniuszkiem dotknąć tropu. Był rzeczywistością, a nie żadnym figłem spletanym jej przez własne oczy w nikłej poświacie wstającego dnia. Uta... Jeśli Uta zostawiła ów ślad, znaczyło to, że musiała przebrnąć zwycięsko - przynajmniej na pewien czas - przez zasadzki, jakie i jej, Briksji, urządzano. Gdyby się pośpieszyła - pomyślała - mogłaby z pewnością odnaleźć całą trójkę i nie byłaby już więcej osamotniona w tym zaklętym miejscu, w którym na swoją obronę miała jedynie kwiat. Briksja wstała i ledwie trzymając się na nogach chwiejnym krokiem ruszyła naprzód. Kwiat teraz znowu się zamykał, ale trwało to dłużej, niż kiedy się rozwijał. Nadal rozlewała się wokół niego jasność, która dostatecznie oświetlała dziewczynie ścieżkę. Zatem Briksja, gdzie tylko dostrzegła trochę naniesionej ziemi, wypatrywała dalszych odcisków pozostawionych - jak była przekonana - przez Ute bawiącą się w przewodniczke.

Pagorki już nie przecinały jej drogi. Pojawiło się natomiast coś innego - kepa ciernistych krzewów, dobrze jej znanych. Co prawda dostęp do ciasno oblepiających gałązki owoców broniły długie kolce, Briksja jednak gotowa była z nimi powalczyć, wiedziała bowiem, ile warta jest ulga, jaka przynosi kojący katusze pragnienia i głodu cierpki sok ze zmiażdżonych jagód. Rzuciła się na owoce zachłannie i napelniała nimi usta nie zwracając uwagi na zadrapania, jakich nabawiała się zrywając gorączkowo garściami ciemne kulki z wielu szypulek naraz. Wprawdzie była to strawa licha, kwasna i skąpa, ale dla niej w tym momencie lepsza niż wszelkie smakoliki ze świątecznej uczy.

Po jakimś czasie nie mogła już tych jagód więcej przelknąć. Wcześniej jednak nie ograniczała się do samego jedzenia, ale pracowicie pospinała oberwanymi z gałązek kolcami parę lisci i ten wątpliwej trwałości koszyczek wypełniła najlepiej jak umiała. Nic nie zapowiadało, że jeszcze raz może ją spotkać tak niewymowne szczęście.

Kiedy skonczyła gromadzić zapas pożywienia, niebo ubarwiło właśnie pierwsze poranne zorze. Pokrzepiwszy nieco siły, bacznie przyjrzała się okolicy.

Niezależnie od tego, czy pagorki, spomiędzy których wyszła, były pozostałościami jakichś starodawnych ruin, czy też nie, znalazła dość oznak, że podąża szlakiem wytyczonym przez Dawny Lud. Dostrzegła porozrzucane tu i tam szczątki murów, a wybrukowany gościniec - co było widać jak na dłoni - ciągnął się daleko na północ, ku paru ciemnym, większym niż pagorki, wyniosłościom terenu, odcinającym się na tle nieba.

Ponieważ trop Uty wiodł w tym właśnie kierunku, także i Briksja musiała tam iść, chociaż szybko przebudzona ze stanu uspienia podejrzliwość nakazywała jej ostrożność wobec wszystkiego, co mogło mieć jakikolwiek związek z Odlogami. Jednak intuicja dziewczyny nic jej o tym miejscu nie mówiła - Briksja nie czuła tu ani nastroju spokoju czy powitania, jaki otaczał niekiedy pozostałości dawnych czasów, ani ostrzegawczych skurczów zapowiadających nadejście zła. Droga prowadziła prosto jak strzelił, zaś tworzące ją bloki były wyraźnie widoczne, mimo że częściowo pokryte ziemią, w którą zapuszczała korzenie trawa, a nawet krzaczki, maskując nieco podłoże.

W jasnym świetle dnia Briksja zmierzała ku wzgórzom śmiało, choć nie bez nabytej doświadczeniem rozwagi. Tak samo jak poprzednie wzniesienia, i te porośnięte były trawą - matowozieloną i jakby obumierającą. Stanowiły zaledwie pierwszą przeszkodę na drodze, gdyż dalej piętrzyły się coraz wyżej i wyżej kolejne gorki. Gościniec wiodł prosto ku przełęczom.

Po jego obu stronach stały dwa kamienne słupy. Wznosiły się tak wysoko, że sięgały zwieńczeń otaczających wzgórz. Były to czworograniaste bloki o poscieranych narożach, noszące te same znamiona starości, co rzeźby na ścianie urwiska, którym Briksja schodziła na Odlogi. Na wierzchołkach umieszczono figury.

Na prawo, pomimo zniszczeń spowodowanych wiatrem, deszczem i chłodem, można było rozpoznać podobiznę ropuchopodobnej istoty. Wyglądało to na wyraźną pogrozkę, a być może także na bezpośrednie ostrzeżenie. Posagowe stworzenie siedziało bowiem w taki sposób, jakby właśnie gotowało się do skoku ze swojego posterunku, żeby zagrozić przejściu.

Natomiast po drugiej stronie ścieżki został umieszczony kot. Zwrocony był nie ku otwartej przestrzeni, jak ropuchopodobna istota, ale ku przełęczom; za to podobnie jak towarzysz miał oczy zżewione w szparki. Jego skromny sposób siedzenia przypominał pozycję, jaką często przybierała Uta, z koniuszkiem ogona zawiniętym starannie wokół przednich łap. Nie zapowiadał, jak tamta figura, żadnych zagrożeń, a jedynie miał wygląd stworzenia objawiającego niezwykle czymś zainteresowanie.

Na widok ropuchy Briksja podniosła rękę do piersi i przycisnęła zamknięty już teraz kwiat. Nie zdziwiło jej, że w odpowiedzi poczuła na skórze delikatne ciepło.

Zaraz za słupami droga zweźiała się tak, że gdyby Briksja rozłożyła szeroko na boki ramiona, koniuszkami palców obu rąk muskalaby przeciwległe zbocza.

Zauważyła jeszcze coś innego. Choć starała się iść swoim równym marszem, tutaj poruszała się wolniej. Wcale tego nie chciała; co z tego, skoro miała dziwne wrażenie, że z każdym krokiem brnie przez niewidzialne, lepkie błoto, próbujące ją przytrzymać. Toteż niebawem posuwanie się naprzód kosztowało ją coraz więcej wysiłku.

Głód, nasycony jedynie chwilowo, znowu ją nekał, podobnie jak pragnienie. Cierpiała z powodu posiniaczonych stóp, gdyż zrobione naprzedce sandały nie chroniły ich dobrze. Brak wody, jedzenia, ból nóg... Wciąż stopniowo opadała z sił, a jej ciało domagało się zaspokojenia potrzeb.

Jednocześnie, niby podnieta, wracało do Briksji poczucie niezmaconego spokoju i zgodności ze światem, które po raz pierwszy odezwało się w niej rankiem po przebudzeniu pod drzewem. Być może było to ostrzeżenie, że w żadnym razie nie wolno jej ulec zadaniom własnego ciała.

Z zaciętym uporem Briksja szła nieprzerwanie do przodu. Tuż nad nią niebo było bezchmurne. Jednak mocno świecące rano słońce było teraz przysłonięte i od wzgórza ciągnęło chłodem. Dziewczyna dygotała i często oglądała się za siebie. Z każdą chwilą narastało w niej uczucie, że jest śledzona. Może to jakaś pustynna istota podążała jej tropem tuż poza zasięgiem wzroku. Briksja często popatrywała na niebo w obawie, że zobaczy tam czarne skrzydła. Wciąż nasłuchiwała, przekonana, że wcześniej czy później usłyszy szwargot ropuchopodobnych stworów albo nieskładne szemranie, które towarzyszyło jej w drodze przez pagórki.

Z taką uwagą obserwując drogę przed i za sobą, dostrzegła więcej śladów Uty. Zawsze znajdowały się nisko na zboczu po lewej stronie.

Jakże to role dawno temu odgrywali na Odlogach pobratymcy Uty? Briksja już kiedyś, od czasu do czasu, widywała przykłady twórczości Dawnego Ludu: groteskowe figurki - niektóre piękne, inne zabawne, lecz w większości szkaradne. Przedstawiały one najczęściej stworzenia nieznane ludziom w Krainie Dolin. Natknęła się wprawdzie na parę podobizn koni, na jednego czy dwa psy goncze (choć o osobliwych cechach, zupełnie nie spotykanych u psów w dolinach), ale nigdy nie widziała kota. Właściwie zawsze uważała, że owe zwierzęta, podobnie jak Dolinianie, to przybysze na tej ziemi niemal całkiem opuszczonej przez Dawny Lud.

Nie ulegało wątpliwości, że wyrzeźbiony kot na słupie jest równie stary jak jego ropuchopodobny towarzysz. Zatem sama Uta najprawdopodobniej przyszła wcale nie ze złupionego domostwa albo wieży, jak wcześniej Briksja sądziła, ale z Odlogów. Jeśli tak... Pokładac zaufanie w czymkolwiek, co pochodziło z Ziemi Spustoszonej, było szalenstwem.

Dziewczyna szła coraz wolniej, gdyż z każdym krokiem zmagania z niewidoczną siłą zaostrzały się. Znowu miała sucho w ustach, i to do tego stopnia, że garść rozgniecionych jagód nie przyniosła żadnej ulgi. Woda... źródło... strumyk... Czy coś takiego w ogóle tutaj istnieje? A może Odłogi są na większości polaci pustynia, zaś tajemnice jego źródeł znają tylko te żywe istoty, które tu pełzają, fruwać i przechadzają się niespiesznie?

Woda stała się jej obsesją. Oczywiście wyobraźni widziała wyraźnie niewielkie sadzawki i bijące z ziemi źródła.

Woda...

Briksja uniosła głowę i gwałtownie obróciła ją w prawo.

Miała pewność, że dobrze rozpoznała ten zadający jej katusze dźwięk. Woda... płynąca... tuż, tuż, za wzgórzem. Zwrociła się twarzą ku stromemu zboczu. To gdzieś tu, w przeciwnym razie nie słyszałaby jej tak doskonale! Woda... tarka języka przejechała po wysuszonych wargach.

Naraz...

Zar... Poczula na skorze cos tak goracego, jakby ja ktos przypalal rozzarzonym zelazem. Wydala krotki okrzyk i siegnela gwaltownie do piersi. Pod koszula...

Rozrywajac na sobie ubranie macala cialo. Kwiat! Mimo ze rano byl zwartym pakiem i wcale sie teraz z powrotem nie otworzyl, wysylal dobrze widoczne na tej zaciemnionej drodze swiatlo. Nie tylko swiatlo, ale i straszne goraco, jakiego nie czula nawet wowczas, gdy stala naprzeciw ptaszycy.

Briksja wyjela kwiat na wierzch. Wydzielane przezen cieplo nie zelzalo. Z samego czubka, gdzie zbiegaly sie konce platkow, blask saczyl sie jasna smuga, co znow przywiodlo jej na mysl knot plonacej swiecy.

Odruchowo wyciagnela pak w strone zbocza, na ktore miala wlasnie zamiar sie wspiac. Swiatlo zamigotalo, a towarzyszyla temu fala takiego zaru, ze upuscilaby pak na ziemie, gdyby cos jej nie mowilo, jakie moga byc tego nastepstwa.

Zagryzla wargi. Ten zar... to ostrzezenie? Zadala sobie w mysli pytanie i blyski zaraz zaczely slabnac, co wygladalo na odpowiedz, ze za wzgorzem grozi jej niebezpieczenstwo. Ale czy jest tam woda? Natezyla sluch, zeby wychwycic ten dzwiek, ktory dopiero co byl tak glosny i kuszacy...

Ale on sie urwal. Przyneta kolejnej zasadzki...? Podstep...? Trzymajac pak w ten sposob, zeby nie spuszczac z niego oczu, doznala naglego, przywracajacego spokoj przyplywu poczucia zgodnoscii ze swiatem. Co wiecej, jej ufnosc rosła niczym starannie pielegnowana roslina na urodzajnej ziemi.

Zatem odgłos wody rzeczywiście był fortelem! Przez kogo użyty i przeciwko komu? Briksja nie sądziła, żeby chodziło o nią - pulapka została zapewne urządzona przed wieloma laty i choć może o niej zapomniano, wciąż działała, mimo że myśliwy opuścił to miejsce.

Nadal męczyło ją pragnienie; jedynie kiedy trzymała kwiat tuż przed oczami, napor jej fizycznych potrzeb słabł - ciało nie panowało nad duchem. Pak nie mógł więc tkwić w ukryciu, ale musiał być używany niczym włócznia, niczym zniszczony noż, i był w działaniu nie gorszy niż oba te rodzaje broni.

Jednakże Briksja stwierdziła, że chociaż kwiat umie odkrywać zasadzki, jest mniej skuteczny we wspieraniu od owej dziwnej siły, która popychała ją do przodu, na przekór wrazeniu dziewczyny, że wciąż napotyka na niewidzialne utrudnienia. Przecież wszyscy wiedzą, że są czary słabsze i potężniejsze. Niektóre - jak powszechnie wiadomo - mogłyby poruszyć góry i odmienić świat, zaś inne potrafią zaledwie podnieść kamień. Toteż pak mógł stanowić talizman przeciwko jednemu niebezpieczeństwu, a wobec innego umiał okazać niewielką pomoc lub zgola żadną.

Światło promieniujące z jego czubka nie gasło. Dodawało to dziewczynie otuchy, kiedy mijane wzgórza stawały się coraz wyższe, a droga pomiędzy nimi coraz bardziej zacieniona. Teraz, żeby zobaczyć niebo, musiała mocno odchylić głowę i patrzeć pionowo w górę.

Pietrzace się przed nią wzgórza zbiegały się tworząc wysokie sciany. Ale ścieżka nie urywała się, tylko prowadziła ku mrocznemu rozstepowi. Znajdował się nad nim kamienny łuk, tak

osadzony i dopasowany, jakby miał dzwigac jakies wrota. Niczego podobnego tam jednak nie bylo. Droga stala otworem, a mimo to wcale nie wygladala zachecajaco.

Briksja zatrzymala sie. Ciarki przeszly jej po plecach, zas swiatlo rzucane przez kwiat gwaltownie pojasnialo. Oto stala przed... siedliskiem Mocy! Choc nie miala wiedzy ani umiejetnosci Madrej Kobiety, nawet bez takiego wyksztalcenia potrafila to rozpoznać; czulo sie bowiem, jak ten rodzaj mocy wnika w czlowieka.

Ale istnialy moce i moce. W swiecie panowala rownowaga: swiatlo przeciwko ciemnosci, dobro przeciwko zlu. Nie inaczej bylo z mocami - zatem Mrok mogl byc w niektorych miejscach tak samo potezny i zwycieski jak Swiatlosc w innych. Z czym miala teraz do czynienia? Pociagnela nosem, zeby sie przekonac, czy nie czuc gdzieś wokół zła; liczyła na to, że ostrzeże ją jakiś wewnętrzny zmysł.

Swoje watle nadzieje mogla zasadzac jedynie na kwiecie. On i drzewo, z ktorego sie oderwal, uratowaly ja juz wczesniej. Co do tego, ze ropuchopodobne stworzenia, ktore probowaly usidlic ja swoimi czarami, nalezaly do sil Mroku, Briksja nie miala najmniejszych watpliwosci. Zas kwiat byl jej obronca na pustyni i tak samo dopiero co ochronil ja przed zauroczeniem obiecana woda, dzialajac nawet tu, w miejscu, o ktorym zaczela mniemac, ze jest skazone zlem.

Prawde rzeklszy, nie miala wyboru - ow przymus, jaki przywiodl ja na Odlogi, w czasie wedrowki sie wzmagal. Teraz mogla juz isc tylko przed siebie.

Krok za krokiem, powlozczac nogami, Briksja zblizala sie do

otworu. Gdybyz tylko pak swiecil dalej... Pak? Kwiat w jej garosci ponownie sie otwieral. Pospiesznie rozprostowala dlon umozliwiajac mu rozwinięcie platkow. Jednocześnie, kiedy swiatlo robilo sie coraz jasniesze, rozniosl sie ow czysty i oczyszczajacy zapach.

Zadziwiona tym ostatnim rozkwitem, dziewczyna przesunela sie pod kamiennym lukiem i trafila do przejscia, ktore - gdyby nie miala dodajacego jej odwagi kwiatu - byloby rownie ponure jak sekretny korytarz wychodzacy z wiezy.

Sciany byly z ciosanego kamienia. Juz pare krokow za wejsciem ociekaly wilgocia. Mimo dojmujacego pragnienia Briksja nie potrafila sie zdobyc na pochwycenie sciekajacych kropli. A to dlatego, ze byly metne i tluste; ze szczelin saczyla sie jakas szkodliwa dla zdrowia ciecz.

Aromat kwiatu walczył z zapachem wilgoci. Nie po raz pierwszy Briksja zastanawiala sie, jak dlugo kwiat moze przetrwac, nim zwiednie. Zdumiewalo ja, ze obumieranie jeszcze sie nie zaczelo.

Przejscie wdzieralo sie w masyw coraz glebiej i glebiej. W swietle kwiatu-kaganka Briksja ujrzala na podlozu slady lap. Tak wiec tamci wciaz przed nia szli, a przynajmniej Uta.

Czego szuka lord Marbon? Czy w jego zmaconym rozumie te spiewane przezen stare nieudolne strofy jawia sie jako prawda, ktora on musi udowodnic? Jesli tak, moze dalej, nie zwazajac na nic, przec naprzod, dopoki nie padnie wycienczony, kiedy wyczerpane i zaniedbane cialo odmowi mu posluszenstwa. Ale moze mlodzieniec przedrze sie w koncu przez te gmatwanine

mysli i przedej czy pozniej wybawi swego pana?

Przeklenstwo Zarsthora - Briksja poruszala wargami, bezglosnie powtarzajac te slowa. Czym bylo Przeklenstwo Zarsthora? Istnialy niezliczone opowiesci o utraconych talizmanach - narzedziach mocy, ktore moga swoim wlascicielom przysparzac korzysci... albo z kolei przywodzic ich do zguby. Wygladalo na to, ze Przeklenstwo Zarsthora bylo tego drugiego rodzaju. Dlaczego w takim razie lord Marbon go poszukiwal? Zeby zemscic sie na swoim wrogu?

Wojna byla zakonczona. Nawet do takich tulaczy jak Briksja dotarly wieści, ze najezdzczy zostali przegonieni, a potem - znalazlszy sie w kleszczach pomiedzy zaciekla nienawiscia Dolinian a morzem - starci na proch. Za to roilo sie od hien i zbojcow, ktorzy wylegli sie, zeby pladrowac i zabijac tam, gdzie zaden pan nie mogl wystawic druzyny zdolnej sie z nimi rozprawic. To byla przekleta ziemia, gdzie nikt nikomu nie ufal. Moglo istniec mnostwo powodow, dla ktorych ktos mial chrapke na "przeklenstwo", zeby posluzyc sie nim jako bronia.

Briksja zastanawiala sie, ile dzielilo ja od tamtych. Jesli mezczyzna, mlodzieniec i kot szli szybko, mogli ja wyprzedzac o caly dzien drogi. Jednak z cala pewnoscia musieli zatrzymywac sie dla odpoczynku.

Poslyszala, jak cos czmychnelo jej spod nog. Nikly blask kwiatu odbijal sie w dwoch widocznych nisko punkcikach zielonkawego swiatla. Briksja przystanela mocniej zacisnawszy dlon na wloczni. Lekko schylona, trzymajac kwiat w wyciagnietej rece, usilowala dojrzec, co to bylo.

Waska glowa podniosla sie. Stworzenie przypominalo jaszczurke, ktora Briksja widziala usadowiona na skalce na poczatku swojej wedrowki przez Odlogi. Nie byla to zadna odrazajaca, budzaca strach ropucha. Kiedy snop swiatla rzucanego przez kwiat dosiegnal stworzenia, zwierzatko nie ucieklo, czego sie dziewczyna troche spodziewala. Zamiast tego, napinajac miesnie, trzymalo wysoko uniesiona na gietkiej szyi glowe i poruszalo nia tam i z powrotem. Z rozwartych szczek wysunal sie w kierunku Briksji trzepoczacy jezyk. Stworzenie wydalo syk i cofnelo sie nieco. Odtad, pozostajac w stalej odleglosci od dziewczyny, nie zrobilo juz zadnego ruchu - ani ku niej, ani do tylu.

-Z drogi! - krzyknela Briksja z nadzieja, ze moze w ten sposob odpedzi zwierzze, skoro swiatlo okazalo sie nieskuteczne. Choc stworzenie nie bylo tak duze, zeby moglo stanowic jakies zagrozenie, nie wiedziala, czy nie jest ono przypadkiem jadowite.

Dzwiek jej glosu rowniez nie podzialal odstraszejaco. Jaszczurka jednak przestala krecic glowa i uniosla przednia czesc tulowia. Teraz Briksja zobaczyla, ze stworzenie jest szescionozne, czym roznilo sie od zwyklej jaszczurki. Probowalo utrzymac rownowage stojac na czterech tylnych lapach, przy czym brakowalo mu ogona, trudno bylo bowiem tak nazwac sterczacy kikut. Dwie przednie lapy mialy dziwny ksztalt - palce zakonczone pazurami, niemal jak u czlowieka, przypominaly Briksji jej wlasne rece. Zwisaly na tle podbrzusza jasnieszego od reszty korpusu. W tej pozie stworzenie obserwowalo dziewczynie.

Briksja nie zrobila kroku. Jaszczurki umialy poruszac sie z blyskawiczna predkoscia. Mimo ze stworzenie na stojaco nie siegalo dziewczynie wyzej kolan, a zatem po jej stronie byla

przewaga rozmiarow i wagi, Briksja miala watpliwosci, czy zdola odparowac jakikolwiek atak za pomoca wloczni. Najwieksze nadzieje pokladala w kwiecie.

Nie chce cie skrzywdzic... - Nie wiedziala, czemu mowi do tego stworzenia; slowa wymykaly sie jej tak jak tamte, kierowane do drzewa. - Ja tylko chce tedy przejsc, poniewaz zostalo mi to przeznaczone, poniewaz musze. Badz spokojny, luskoskory, nic zlego ci nie zrobie.

Jezyk przestal trzepotac. Zamiast tego waska glowa przegiela sie na jedna strone, a paciorki oczu znieruchomialy utkwione w dziewczynne, co przypominalo sposob, w jaki zazwyczaj mierzyla Briksje wzrokiem Uta.

-Nie jestem wrogiem twoim ani twego rodu. Na ten podarek Zielonej Matki - rzekla pochylajac sie nizej i zblizajac kwiat do jaszczurowatego stworzenia - przekonaj sie, ze nie mam zamiaru wyrzadzic ci krzywdy.

Jezyk, tak dlugi, ze chyba paszcza zwierzecia nie mogla pomiescic go w calosci, smignal do przodu, przez chwile zawisl zaledwie o wlos od kwiatu, a potem cofnal sie gwaltownie i schowal. Wciaz kolebiac sie na dwoch parach tylnych konczyn, stworzenie odeszlo pod lewa sciane przejscia, ustepujac Briksji z drogi. Dziewczyna pojela ten gest.

-Piekne dzieki, luskoskory - powiedziala cicho. - Zycze ci spelnienia twoich pragnien.

Minela stojace ciagle stworzenie, dobrze sie pilnujac, by nie okazac leku. Musi dac mu do zrozumienia, ze bez wahan

przyjmuje zaofiarowane jej bezpieczne przejście.

Nie pozwoliła sobie również na przyspieszenie kroku. Jeśli stwor należał do świata Mroku, kwiat po raz kolejny dowiodł, jak cennym jest strażnikiem. Jeżeli zaś jaszczurka sprzymierzona była ze Światłością, kwiat najwyraźniej stanowił dla Briksji gwałt.

Droga biegła dalej i Briksja zastanawiała się, jak duże jest przecinane przez nią wzniesienie, ponieważ ścieżka ani nie schodziła w dół, ani nie podnosiła się, tylko wiodła na wprost. Choć nie było tu zwirów, którymi by ciężkie strzępki owinięte wokół jej stop, podszwy piekły ją i bolały, a przy tym ślaniała się ze zmęczenia. Gdyby tak odpocząć chwilę w tej ciemnej niszy... Nie, to niemożliwe.

W końcu, powłócząc nogami, dziewczyna wydostała się na świeże powietrze. Ujrzała przed sobą kotlinę przypominającą kształtem ogromną misę, której obrzeża wytyczały wyniosłości terenu o łagodnie spływających zboczach. Z miejsca, gdzie przystanęła, nie mogła natomiast wypatrzeć żadnej wyraźnej przerwy w pasmie wzgórz.

Teraz najważniejszy był jednak dla niej środek kotliny i widoczne w zagłębieniu lustro wody. Na tym odcinku skarpy, który znajdował się najbliżej Briksji, płonęło ognisko, z którego cienka smuzka unosił się dym. Znad skraju wody podchodził pod gorę młodzieniec. Nie dostrzegła natomiast lorda Marbona. Może leżał w wysokiej, bujnej trawie?

Szła potykając się, przy czym bardziej niż do towarzystwa ciągnęło ją do wody. W pewnej chwili przystanęła, żeby w zakamarek pod koszulą wsunąć zamykający się kwiat. Potem

znow ruszyła, podpierając się włocznia; nieco ulgi sprawiła jej wyczuwana pod stopami miękka trawa.

Gdy była w połowie drogi do jeziora, z trawy obok niej wynurzyła się Uta. Kotka najpierw zamiauczała głośno na powitanie, a później, obrociwszy się, zrownała krok z krokiem Briksji eskortując ją ku niewielkiemu obozowisku. Jednak młodzieniec nie podzielał zyczliwości Uty.

-Po co przychodzisz? - Jego wrogość była równie jawna, jak przy ich pierwszym spotkaniu.

Słowa, którymi Briksja mu odpowiedziała, nie wynikały z jakiegokolwiek świadomej myśli. Odniosła wrażenie, jakby były jej dyktowane.

-Musi być troje... troje, żeby szukać... a jeden... jeden, żeby znaleźć i stracić.

W tym momencie z trawy nie opodal, gdzie rzeczywiście leżał ukryty, podniósł się lord Marbon. W ogóle na Briksję nie patrząc, odpowiedział jej, jak gdyby słowa dziewczyny pobudziły w nim albo pamięć, albo logiczne myślenie.

-Musi być troje... i ktoś czwarty... Otoż to. Trojgu pisane jest iść... jeden dotrze na drugą stronę... Taka jest prawda.

8

Młodzieniec zachnął się.-Śmiesz jeszcze potęgować w nim te zapelnione duchami rojenia? - parsknął. - Odkąd przeszedł przez tajny korytarz, nie dotarła do niego żadna moja rozsądna

uwaga. Obchodzi go jedynie Przekleństwo i w końcu doprowadzi się przez to do śmierci.

Może i nie docierały do niego żadne rozsadne uwagi, a jednak twarz lorda Marbona przestała być obojętna i pozbawiona wyrazu. Tylko że nie ku towarzyszom wędrowki zwracały się jego oczy, ale ku jezioru, któremu mężczyzna przyglądał się z ożywieniem - niemal jakby czegoś się od niego domagając. W zakłopotaniu zmarszczył ciemne brwi.

-To tu... a jednak nie... - W jego głosie zabrzmiała płaczliwa nuta.
- Jak może coś być i nie być zarazem? Przecież to nie wzięło się z czarnej legendy, przecież stoję na ziemi Zarsthora!

Młodzieniec wciąż patrzył na Briksje wilkiem.

-Widzisz? - rzucił natarczywie. - Siedział tu dniem i nocą, jakby pamiętał te okolice równie dobrze, jak kiedyś Eggarsdale. Teraz wygląda na to, że szuka jakiegoś dobrze sobie znanego miejsca - ale nie powie mi jakiego!

Uta, opuściwszy dziewczynę, pomknęła w stronę jeziora. Jego brzegi pozbawione były roślinności. Rysowała się jedynie wyrazista linia piasku, jak okiem sięgnąć otaczająca tafle pierscieniem; przypominało to owalny zielononiebieski klejnot osadzony w nienaturalnie odznaczającej się oprawie ze zmatowiałego srebra.

Kotka obróciła głowę i spojrzała na całą trójkę. Wykwintna w ruchach, jak gdyby nalegając, żeby obserwowano jej poczynania, wysunawszy łapę, zamoczyła ją z widoczną niechęcią w jeziorze, marszcząc przy tym jego spokojną powierzchnię. Nic bowiem

dotad nie burzyło zwierciadła wody. Nie było slizgajacych się owadów ani wydobywajacych się z głebiny pecherzyków powietrza.

Briksja kustykając okrzyła młodzienca i podeszła z boku do kotki. Upuściła wlocznie i przykleknęła, żeby się przejrzeć w wodnym lustrze. Nie było tam jednak żadnego odbicia.

Na pierwszy rzut oka jezioro wydawało się wezbrane, a woda w nim - nieprzejrzysta. Nie było zamulone, ponieważ nie miało ani brązowego, ani żółtego koloru. Briksja ostrożnie wyciągnęła rękę i poczuła, jak lekko ciepła woda obmywa jej palce. Szybko je cofnęła i przyjrzała się im. Na ogorzalej skórze nie było żadnych plam. Co więcej, kiedy dziewczyna przytknęła dłoń do nosa, nie wyczuła żadnego zapachu.

Jednak wedle pojęć mieszkańca Krainy Dolin, jezioro, choć było gładkie, nie wyglądało zwyczajnie. Kiedy dziewczyna ponownie się nachyliła próbując zobaczyć, co właściwie znajduje się pod powierzchnią, zza koszuli wypadł jej pak. Mimo że błyskawicznie wyciągnęła ręce, zdarzył odpłynąć poza ich zasięg.

Z trudem podniosła wlocznie, żeby go do siebie z powrotem przysunąć. Wtedy młodzieniec krzyknął:

-Co... co się dzieje?

Albowiem wyglądało na to, że unoszący się na wodzie pak nie dryfował na ślepo. Przeciwnie, trzymając się jednego kierunku niezmiennym tempem oddalał się od brzegu, płynąc po spirali. Zaraz za nim woda stawała się przejrzysta. Jej barwa pozostawała ta sama, ale była teraz widoczna głebia.

Pod przezroczysta powierzchnia wznosiły się mury i budowle. W zagłębieniu jeziora leżało, jakby schwytane w pułapkę, jakieś osiedle albo może jedynie pojedynczy, rozległy gmach o dziwnych kształtach.

Pak, wirując tu i tam, odsłaniał coraz to nowe rzeczy. Na zatopionych murach widniały rzeźby, a ponadto, przytłumione przez barwę wody, przeblyskiwały rozmaite kolory. Dalej w stronę środka jeziora budowla rozszerzała się. Co więcej, nie widać było żadnych śladów ruin albo niszczycielskiego działania wody.

-An-Yak!

Briksja, przestraszona tym okrzykiem, uniknęła upadku w objęcia jeziora tylko dlatego, że chwyciła się wysokiej trawy.

-Panie!

Marbon przesunął się obok niej dając jeden wielki krok i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy woda doszła mu do pasa. Wyciągnął ręce ku czemuś, co było poza ich zasięgiem. Młodzieniec skoczył za nim rozbryzgując wodę i usiłując wywlec go z powrotem na brzeg.

-Nie, panie!

Marbon mocował się z nim, chcąc brnąć dalej i głębiej. Nawet nie spojrzał na swojego towarzysza; cała jego uwaga skupiona była na tym, co ujawniał unoszący się na powierzchni pak.

-Puść mnie! - Gwałtownym ruchem odepchnął młodzienca. Ale Briksja, która już odzyskała równowagę, zdołała zająć mezczyźne

od tyłu i schwycić go za ramiona. Chociaż się wyrwał, nie zwolniła uścisku do chwili, kiedy z pomocą przyszedł jej młodzieniec.

Jakos wyciągnęli Marbona z jeziora. Upadał, więc musieli podtrzymywać go z obu stron za ręce i w ten sposób doprowadzić do ogniska. Stojąc nad leżącym teraz bezwładnie mężczyzną, Briksja zwróciła się do młodzieńca:

-Dalismy mu rade tylko dlatego, że jest osłabiony - zauważyła. -
Watpie, czy zdołamy zmusić go, żeby stąd odszedł.

Młodzieniec przykleknął, żeby dotknąć twarzy swego pana.

-Wiem... On... on jest zaczarowany! Co to było, co wrzuciłaś do wody? To właśnie sprawiło...

Briksja odsunęła się.

-Niczego nie wrzucalam. To mi wypadło zza koszuli. Co to było? Kwiat. Dobrze mi służył. - Opowiedziała mu zwięźle, jaka pomoc okazało jej drzewo, a później jeden z jego kwiatów.

-Nie sposób przewidzieć, z czym człowiek może się zetknąć na Odlogach - zakończyła. - Większość dóbr i budowli Dawnego Ludu nadal tutaj pozostaje. Twój pan nazwał jakos to osiedle - machnęła ręką w stronę wody. - Czy w takim razie jego właśnie szukał? Może to rzeczywiście miejsce związane z Przekleństwem?

-Skąd mogę wiedzieć? Opetalo go, a ja nie miałem wyboru, musiałem podać się za nim. Szedł bez chwili wytchnienia, a jeśli

probowałbym go zatrzymać, gotów był odmówić jedzenia i picia. Żyje w świecie własnych myśli; ktoż mógłby je odgadnąć?

Briksja spojrzała za siebie na jezioro.

-To jasne, że nie przyjdzie łatwo go od tego odciągnąć. Nie sądzę również, że nam obojgu uda się go stąd zabrać korzystając, że leży bez zmysłów.

Młodzienczak zacisnął dłonie w piasku i walił nimi w ziemię, a jego twarz wykrzywił grymas obawy i zaniepokojenia.

-To prawda... - rzekł bardzo cicho, jakby nie miał ochoty przyznawać jej racji, a jednak zmuszał się do wypowiedzenia tych słów. - Nie wiem, co mogę uczynić. Kiedy zrobił się taki jak dziecko, ja przewodziłem, nie mój pan. Przyprowadziłem go do Eggarsdale, gdyż pomyślałem, że może tam wróci mu rozum. Teraz on przywiódł mnie tutaj - i jesteśmy sobie tak dalecy, jakby dzieliło nas morze. Został rzucony na niego czar, a ja nie mam pojęcia, jak skruszyć te okowy. Nie wiem nic, z czego można by zrobić jakiś użytek. Tylko tyle, co on sam powiedział o tym Przekleństwie. Istota rzeczy wciąż jest jego sekretem. - Zakrył twarz dłońmi.

Briksja zagryzła wargi. Niedużo czasu pozostawało do zapadnięcia zmroku. Rozejrzała się bacznie wokół i okiem doświadczonego wędrowca oceniła okolice. Nigdzie w pobliżu nie rosły drzewa i w ogóle nie zauważyła niczego, co mogłoby dać im schronienie. Ognisko płonęło na kawałku zwirowego podłoża, ale nie było tam nawet skal, za którymi dałoby się skryć. Pak zniknął już z pola widzenia - jeśli nadal płynął, musiał być blisko środka jeziora.

Dziewczyni nie zbyt usmiechała się pozostawiać na otwartej przestrzeni, kiedy w końcu zapadła ciemność. Nie dostrzegła jednak lepszego miejsca na obozowisko niż to, w którym się właśnie znajdowali. Nieśpiesznie powróciła nad brzeg.

Pragnienie paliło jej gardło. Mimo że przejmował ją lek przed jeziorem, a może nawet bardziej przed tym, co ono skrywało, przyklekła i zaczerpnęła dłoń wody, po czym ostrożnie przytknęła doń usta. Ciecz nie miała żadnego smaku ani zapachu, które mogłyby wyczuć ludzkie zmysły. Obok dziewczyny przysiadła Uta i zaczęła pracowicie chleptać wodę. Czy może polegać na kotce? Ma wierzyć, że Uta dałaby znać, gdyby czyhało tu jakieś niebezpieczeństwo?

Tych kilka kropli, jakie wypiła z dłoni, nie wystarczyło.

Ze wzruszeniem ramion oznaczającym "będzie, co ma być" dziewczyna zaczerpnęła więcej wody i wypila ją, a potem ochlapała się, żeby zmoczyć splątane na czole włosy; woda kapła jej z podbrodka. To ją odświeżyło i w pewien sposób ożywiło na nowo jej gotowość do stawienia czoła czekającym kłopotom.

Zwróciwszy wzrok ku bezmiarowi jeziora niemal spodziewała się zobaczyć, że woda pociemniała z powrotem, zasłaniając przed spojrzeniami znajdujący się pod powierzchnią gmach. Ale wcale tak się nie stało, nadal widoczny był mur i pietrażca się ku gorze budowała. Niedaleko miejsca, gdzie stała Briksja, przebiegała wybrukowana droga wiodąca na wprost, w kierunku samego środka skupiska ścian.

Do ognia zwałił ją zapach pieczonego mięsa. Młodzieniec

czuwał nad oprawionym, pocwiartowanym i nadzianym na patyk skoczkiem, który skwierczał właśnie w płomieniach.

-Czy wciąż spi? - Briksja pokazała głowa na lorda Marbona.

-Spi... albo pogrążony jest w letargu. Kto to może wiedzieć? Poczestuj się, jeśli masz ochotę - mówił szorstkim tonem, nie patrząc na nią.

-Jestes z jego Domu? - spytała obracając najbliższym ręką z nabitym kawałkiem mięsa, żeby równo się upiekło.

-Wychowałem się w Eggarsdale. - Nie odrywał wzroku od płomieni. - Jestem młodszym synem komendanta Itsford. Nazywam się Dwed. - Wzruszył ramionami. - Możliwe, że nie pozostał przy życiu nikt, kto mógłby mnie tak nazwać. Itsford już dawno temu zostało doszczetnie zniszczone. Widziałas Eggarsdale - to miejsce martwe niczym mężczyzna, który stamtąd wyruszył.

-Jartar...?

Oboje odwrócili głowy. Lord Marbon podniósł się na łokciu. Utkwił w Briksji spojrzenie. Gotowa była natychmiast wyprowadzić go z błędu i powiedzieć, że nie jest ta osoba, która zdawał się w niej widzieć, ale Dwed wysunął błyskawicznie rękę i z miazdząca siłą zacisnął palce na jej nadgarstku. Odgadła, czego od niej chciał: ma grać przed jego panem kogoś innego, niż jest w istocie, a może dzięki temu oszustwu uda się odciągnąć Marbona od pulapki, jaka było jezioro. Albo też uda się namówić go, żeby wyjaśnił, co takiego pochłania jego umysł. Zniżając znacznie głos Briksja odrzekła:

-Moj panie?

-Jest dokładnie tak, jak powiedziałes! - Twarz miał ożywiona, rozjasniona. - An-Yak! Widziałes to tam w jeziorze? - Lord Marbon usiadł wyprostowany. Wstąpił w niego nowy duch i Briksja zauważyła, że bardzo go to podniecenie zmieniło.

-Owszem - starała się odpowiadać najkrócej, jak to tylko było możliwe, żeby jakies nierozsadne słowo nie wprowadziło go z powrotem w stan, w którym się tak długo znajdował.

-Zupełnie jak w legendzie, w legendzie, o której mówiłeś - Marbon pokiwał głową. - Skoro znaleźliśmy An-Yak, znajdziemy tam również Przekleństwo... A kiedy już będziemy je mieli...! - Złączył mocno dłonie. - Co wtedy zrobimy, Jartar? Ściągniemy księżyc, żeby nam przyswiecał? Albo gwiazdy? Będziemy jak sam Dawny Lud? Jedno jest pewne: nie ma żadnych ograniczeń dla tego, kto rozporządza Przekleństwem!

-Nadal dzieli nas od niego jezioro - odparła spokojnie Briksja. - Tu działają czary, panie.

-To prawda - przytaknął. - Ale nie wątpię, że da się coś zrobić. - Spojrzał na stopniowo ciemniejące niebo. - Nic, co ma wartość, nie przychodzi człowiekowi łatwo. Znajdziemy sposób. Kiedy tylko zrobi się jasno, znajdziemy go!

-Panie, słaby człowiek nic nie zdziała. - Dwed zdjął jeden z uginających się pod ciężarem mięsa patyków i podał go Marbonowi. - Jedz i pij. Przygotuj się na jutrzejszy dzień.

-Madre słowa. - Lord Marbon wziął patyk, po czym lekko

zmarszczył brew przyglądając się uważnie twarzy młodzieńca. Nagle oblicze rozjaśniło mu się, jakby za sprawą bijącego od ogniska światła. - Ty jesteś... jesteś... Dwed! - Wykrzyknął to imię z triumfalną emfazą. - Ale... jak... - Z wolna pokręcił głową, w jego oczach ponownie czaiła się pustka. - Nie! - teraz jego głos znowu był zdecydowany. - Jesteś naszym wychowankiem... Dołączyłeś do nas ostatniej jesieni.

Dwed przestał wreszcie mieć nachmurzoną minę - nadzieja ożywiła mu twarz.

-Tak, mój panie. I... - niemal w ostatniej chwili ugryzł się w język. - I... - dało się zauważyć, że próbuje zmienić temat. - Odkąd tu przybyliśmy, panie, nie wyjaśniłeś, co to za "przekleństwo", którego szukamy.

Briksja cieszyła się, że Dwed wykazał tyle sprytu. Uznała, że byłoby dobrze dowiedzieć się ile tylko można, wykorzystując czas, kiedy to Marbon będzie robił wrażenie wyrwanego ze stanu apatii.

-Przekleństwo... - Marbon powtórzył powoli. - To takie podanie... Jartar zna je lepiej. Opowiedz temu zuchowi, bracie... - zwrócił się do Briksji.

Oto i cała ich rzekoma przebiegłość na nic. Usiłowała przypomnieć sobie słowa tamtej nieudolnej piosenki, którą słyszała na dziedzińcu wieży w Eggarsdale.

-Jest taka piosenka, panie, stara piosenka...

-Piosenka, tak. Ale wszystko się sprawdziło. Rzeczywiście leży tutaj

An-Yak, pograzone w wodzie. Znalezlismy je! Opowiedz nam o Przeklenstwie, Jartar. To historia o moim Domu i o twoim, znasz ja najlepiej.

Briksja znalazla sie w pulapce.

-Panie, to rowniez twoja opowiesc. Tak zawsze twierdziles.

Nagle jal pilnie sie jej przypatrywac poprzez plomienie ogniska.

-Jartar - nie odpowiedzial, lecz sam zadal pytanie - dlaczego mowisz do mnie "panie"? Czyz nie jestesmy przybranymi bracmi?

Na to Briksja nie umiala znalezc wyjasnienia.

-Ty nie jestes Jartar! - Marbon rzucil nadzianym na patyk miesem. Zanim zdazyla sie podniesc, mezczyzna, poruszajac sie ze zwinnoscia, preznoscia i szybkościa kota, okrazil juz ognisko. Zlapal ja za ramiona i podniosl brutalnie, zblizajac twarz do jej twarzy.

-Ktos ty? - potrzasnal nia mocno, ale tym razem stawila mu opor. Zacisnela dlonie na nadgarstkach Marbona i wytezyla wszystkie swoje sily, zeby wydobyć sie z jego uscisku. - Ktos ty? - powtorzyl.

-Jestem Briksja... - Kopnela go w golen, po czym sama z trudem chwytala powietrze z powodu bolu stluczonej stopy. Nastepnie wykonala blyskawiczny ruch glowa w bok i zatopila zeby w przegubie jego dloni. Zrobila to z taka sama dzika pasja, jaka objawiala Uta, kiedy ktos niedelikatnie sie z nia obszedl.

Zawyl i odepchnal ja od siebie, az upadla w trawe. Bylo w niej jednak tyle zlosci i oburzenia, ze znalazla jeszcze sily i energicznie przeturlala sie na bok, po czym niezgrabnie wstala. Wlocznia lezala wprawdzie obok ogniska, ale w dloni Briksja miala gotowy noz.

Tylko ze Marbon juz sie za nia nie rzucil. Stal niezdecydowany trzymajac w gorze nadgarstek i przygladajac sie sladom zebow, jakie mu zostawila na skorze. Potem popatrzył na stojacego przy nim Dweda.

-Ja... Gdzie jest Jartar? Byl tutaj... a pozniej... czary! To czary... Gdzie Jartar...? Czemu przybral wyglad tej... tej...

-Panie, spales i snilo ci sie! Chodz cos zjesc.

Briksja zobaczyla, jak Dwed objal go mocno. Pomyslala, ze moze uda sie mlodziencowi udobruchac Marbona. W kazdym razie lepiej, zeby ona trzymala sie od ogniska z daleka, bo inaczej jej obecosc znowu moze przysporzyc klopotow. Pozadliwie spojrzala na mieso.

Dwedowi powiodlo sie, uspokoil Marbona. Namowil go, zeby jeszcze raz usadowil sie przy ognisku, sciagnal z patyka osmalone mieso i je zjadal. Tymczasem ognik swiadomosci w oczach lorda zgasl, usta poruszaly sie leniwie i niedbale - pelen sil mezczyzna byl juz tylko wspomnieniem.

Briksja patrzyla, jak mlodzienciek naklaniał swego pana, zeby ulozyl sie do snu. I kiedy uplynal pewien czas, a lezaca postac trwala w bezruchu, dziewczyna przemknela chylkiem z powrotem do ogniska po zweglone juz mieso. Gdy przelykala je zaledwie

na wpol przezute, dobiegl ja chlodny glos Dweda.

-On nie pogodzi sie z twoja obecnościa. Czemu sobie nie pojdiesz...:?

-Badz pewien, ze to zrobie - rzucila oschle. - Probowalam ci pomoc, chcialam, zeby cos dobrego z tego wyniklo. A ze poszlo zle, to juz nie z mojej winy.

-Wszystko jedno. Lepiej zebysmy trzymali sie od siebie z daleka. Dlaczego za nami szlas? Nie jestes jego poddana.

-Nie wiem dlaczego - odparla szczerze. - Wiem jedynie, ze cos, czego nie pojmuję, tak sobie zazyczylo.

-Czemu kiedy przyszlas, mowilas o jakichs trojgu...? - dopytywal wytrwale.

-Na to tez nie umiem ci odpowiedziec. Te slowa nie byly moje, nie wiedzialam, co mowie, dopoki ich nie wypowiedzialam. W takich miejscach jak to dzialaja czary... - Wstrzasnal nia dreszcz. - Kto wie, jaki to moze miec wplyw na nierozwaznych wedrowcow.

-Zatem nie badz nierozwazna - rzucil sucho. - W ogole sie stad wynos! Nie chcemy cie... a poza tym lepiej, zebym byl w poblizu, kiedy on pomysli, ze w jakis sposob ukrywasz przed nim Jartara.

-Kim jest ten Jartar, ze twoj pan tak wciaz o nim mysli? Albo raczej, kim byl, bo slyszalam, jak mowiles, ze nie zyje.

Dwed obrzucil szybkim spojrzeniem spiacego mezczyzne, jakby zdjela go obawa, ze ten moze sie obudzic, po czym

odpowiedział:

-Jartar był przybranym bratem mego pana; byli ze sobą związani bardziej niż niejedni bracia rodzeni. Nie wiem, z jakiego pochodził Domu - aczkolwiek był to człowiek przyzwyczajony do rozkazywania. Nie umiem znaleźć odpowiednich słów, żeby go zrozumiałe opisać komus, kto go nie znał. Nie władał żadną doliną, jednak ktokolwiek się z nim zetknął, od razu nazywał go szacownym mianem: lord. Myślę, że coś niezwykłego kryło się w jego przeszłości. Także w przeszłości mego pana; mówiono o nim, że jest polkwi, że coś go łączy z "Tamtymi". Jeśli to prawda, w dwójnasób mogła dotyczyć Jartara. On wiedział o różnych rzeczach, niesamowitych rzeczach!

Raz widziałem, jak... - Dwed przełknął ślinę i zrobił chwilę przerwy. - Jeśli powiesz, że to niemożliwe - patrzył teraz na nią z dzikim błyskiem w oku - zadasz mi jawny kłam, ponieważ byłem tego świadkiem. Jartar mówił do nieba... i podniósł się wiatr, który przegonił wrogów spychając ich do rzeki. Kiedy już było po wszystkim, twarz miał blada i trząsał się. Był tak słaby, że mój pan musiał podtrzymać go w siodle.

-Ludzie mówią, że ci, którzy są obznajomieni z Moca, kiedy posługują się nią z dużym nateżeniem, doświadczają takiego właśnie osłabienia - zauważyła Briksja. Nie wątpiła, że Dwed naprawdę widział to, o czym opowiedział. Krazyło wiele pogłosek, czego potrafi dokonać Dawny Lud, kiedy i jeśli chce.

-Tak. I był uzdrowicielem... Lonan miał ranę, która nie chciała się goić. Jartar pojechał gdzieś samotnie i wrócił z liśćmi, które zmiądzzył i przyłożył na żywe ciało. Potem usiadł, położył ręce na liściach i w tej pozycji zastygł na dłuższy czas. Następnego dnia

rana zaczęła się zamykać i już nie cuchnęła. Lonan został uleczony, nie miał nawet blizny. Mój pan także mógł dokonywać takich rzeczy - był to dar, który wyróżniał go spośród innych ludzi.

-Ale Jartar umarł... - powiedziała Briksja.

-Umarł jak inni, od miecza, którym przebito mu gardło. Stał nad moim panem, który wcześniej upadł, i odpierał atak tej hordy, co to zrzuciła kamienie na przejście, żeby nas oślepić. Został ranny, ciekła z niego krew jak z każdego; i umarł, a mój pan nic o tym nie wiedział. Był uderzony w głowę odłamkiem skalnym. Odzyskał przytomność, ale pomieszało mu zmysły - jak sama widzisz. Mówił tylko o Jartarze, i to jako o kims, kto czeka gdzieś na niego, i o tym, że musi odszukać Przekleństwo. Początkowo z jego słów wynikało, że to z powodu Jartara ma tego dokonać. Teraz - słyszałaś sama! Cała moja wiedza na temat tego, czego on szuka, ogranicza się do śpiewanej przezeń pieśni i paru rozproszonych słów.

Kiedy tu szedł, poruszał się jak człowiek do tego stopnia pochłonięty tym, co ma zrobić, że nie patrzył ani na prawo, ani na lewo, tylko parł naprzód, żeby jak najprędzej dotrzeć na miejsce. Teraz wygląda na to, że wbił sobie do głowy, iż to, czego szuka, znajduje się tam... - Dwed wykonał gest w stronę ukrytego w mroku nocy jeziora. - Już nie wiem, jak dalej z nim postępować. Początkowo był słaby z powodu rany głowy i mogłem go prowadzić, sprawować nad nim pieczę. Teraz powróciła mu siła. Czasem jest tak, jak gdyby w ogóle mnie przy nim nie było - myśli wyłącznie o czymś, czego nie znam i czego nie rozumiem.

Dwed wyrzucal z siebie potok slow, jakby ulge przynosilo mu mowienie o brzemieniu, ktore na nim ciazy. Czy oczekiwal od Briksji jakiegos odzewu badz wyrazow ubolewania? Nie. Prawdopodobnie kiedy juz mu ulzy, po tym jak skonczy swa nieopatrzna przemowe, bedzie mial jej za zle, ze dowiedziala sie tak wiele.

-Nie moze... - zaczela.

-Nie potrzebuje pomocy! - Dwed nie zwlekal z odrzuceniem czegos, co mogla mu zaofiarowac. - To moj pan. Jak dlugo bedzie zyl on albo ja, to sie nie zmieni. Jesli zostal na niego rzucony jakis urok - ta przekleta ziemia gotowa juz na zawsze spuscic nan zaslone cienia, przez co bedzie slaby i nieodporny jak jego umysl. Skoro tak, musze sie postarac i znalezc sposob, zeby go uwolnic.

Odwrocil sie do niej plecami i odszedl, zeby usiasc obok Marbona i naciagnac na niego podrozny plaszcz. Briksja ulozyla sie po swojej stronie ogniska. Byla bardzo zmeczona. Dwed mogl chciec, zeby sobie poszla, a jej wlasny instynkt samozachowawczy mogl sie nawet z tym zgadzac. Jednak nie umiala juz wykrzesac z siebie sily, aby ruszyc w dalsza droge.

Tej nocy nie miala uczucia, ze jest strzezona, ze lezy bezpieczna, tak jak to bylo pod drzewem. Skulila sie w trawie i nagle pojawilo sie przy niej cieple pomrukujace cialko. Po raz kolejny Uta przyszla dzielic z nia poslanie. Briksja poglaskala kotke od miejsca na glowie, gdzie sterczaly uszy, az po gladki, puszysty zadek.

-Uta - wyszeptala - w jakiz wir mnie wciagnelas?

Bo przeciez tak naprawde moje pierwsze spotkanie z tymi dwoma to twoja sprawka. Niewykluczone, ze przywiodlas mnie tym do zguby.

Mruczando Uty bylo piesnia, przy ktorej powieki sluchacza robily sie nieznosnie ciezkie. Choc wszystko, czego nauczyla Briksje minione ponure lata, sklaniało do zachowania ostroznosci i czujnosci, tym razem nie potrafila sie otrzasnac z ogarniajacego ja znuzenia. Spala.

-Gdzie on jest?

Z duzym wysilkiem wybijala sie z glebokiego snu, nieco oszolomiona. Wczepily sie w nia czyjes rece, potrzaszaly. Otworzyla oczy. To Dwed ja trzymal. Mial wyraz twarzy wzierajacego zza tarczy podczas bitwy wroga.

-Gdzie on jest, ty nikczemny kocmoluchu!

Podniosl rece i zaczal miazdzyc Briksji szczeke, tarmoszac przy tym jej glowe. Szarpnela sie do tyłu.

-Oszalales... ty oszalales! - z trudem chwykala powietrze, drapala paznokciami ziemie,

Kiedy wreszcie mogla usiasc, zobaczyla jak Dwed, mijajac popiol wypalonego ogniska, biegnie w dol, nad jezioro.

-Panie... Lordzie Marbonie...!

Jego krzyk przypominal wycie rannego. Skoczyl z pluskiem do wody, bijac zapamietale rekami o powierzchnie.

Briksja zaczęła coś pojmować. Była sama z Dwedem, bo zarówno Marbon jak i Uta zniknęli. W tej samej chwili zrozumiała powód leku Dweda. Czy jego pan obudzony wszedł do wody, tak jak próbował to uczynić wieczorem? Czy udał się na spotkanie ze śmiercią, która czekała nań w glebinie?

Podążyła za Dwedem na brzeg jeziora. Woda straciła swoją przejrzystość, jaką poprzednio zyskała za przyczyną paka. To, co znajdowało się pod spodem, było teraz niewidoczne.

Powierzchnia zaś była gładka i spokojna niby lustro, z wyjątkiem miejsca, gdzie wskoczył i usiłował płynąć Dwed. A płynąć nie mógł; zdołał zaledwie wejść do wody. Potem, mimo że wściekle się miotał, nie dał rady pojsc dalej.

Wciąż mocował się tak bez powodzenia, kiedy z trawy wyskoczyła Uta i natychmiast znalazła się na wąskim pasku piaszczystego brzegu. Zamiauczała głośno, jakby się czegoś domagając. Kotka wydawała z siebie ten dźwięk już dawniej i Briksja wiedziała, co to oznacza. Uta zadawała zwrócenia na nią uwagi.

-Dwed... poczekaj...!

Początkowo zapewne jej nie usłyszał, ale po chwili się odwrócił. Briksja pokazała na kotkę.

-Patrz! - nakazała, przy czym miała nadzieję, że powiedziała to z wystarczającą mocą i że jej usłucha.

Uta wykonała obrot i zaczęła biec wielkimi susami. Od czasu do czasu oglądała się sprawdzając, czy rzeczywiście za nią idą. Briksja pusiła się pedem, żeby nadążyć. Pluskanie ucichło.

Spojrzała do tyłu. Dwed wyszedł z jeziora i sadił ciężkimi krokami za nimi.

Wszyscy troje biegiem przemierzali trawiasty teren, aż dotarli do miejsca, gdzie lord Marbon stał w wysuszonym kanale, tak głęboko wrzynającym się w grunt doliny, że zgarbiona postać mężczyzny była dla nich niewidoczna dopóki nie znaleźli się tuż przy nim. Obok leżała zabrudzona ziemia włochnia Briksji, a w dłoniach Marbon trzymał miecz Dweda. Jego sztychem dzgał kamienna ściana, która wyznaczała koniec rowu.

Była to zaporą - zaporą umieszczoną tu, żeby uwięzić jezioro! Marbon popatrzył na przybyłych.

-Bierzcie się do pracy! - rzucił szorstko, niecierpliwie. - Nie widzicie? Musimy puścić wodę. To teraz jedyny sposób, żeby dostać się do An-Yak!

9

-Lordzie Marbonie! Rozejrzył się dokoła. Znowu miał przytomniejsze spojrzenie, przez co trochę jakby odmłodził. Teraz był w stanie ją zrozumieć. Briksja wskazała ścianę, którą szturmował. Jego wysiłki zostały już nagrodzone, gdyż przez kamienie przesaczała się woda tworząc plamy wilgoci.

-Robisz to, panie, bez zastanowienia - zauważyła dziewczyna - a skutek będzie taki jak po wyjęciu korka z wypełnionego bukłaka. Cały strumień wody runie prosto na ciebie.

Marbon spojrzawszy na ścianę podniósł ręce i przeciągnął nimi po twarzy pokrytej smuzkami potu, który wystąpił mu na czoło z

wysiłku. Następnie, mrużąc oczy, zaczął się uważnie przyglądać zaporze. Wyglądał teraz jak człowiek. omotany być może przez czary, ale jednocześnie myślący o pewnych sprawach samodzielnie i mający własne zdanie.

-To prawda, panie - Dwed zeskoczył do długiego suchego kanału i stanął obok mężczyzny. - Przebijesz się przez mur i porwie cię fala.

-Być może... - w odpowiedzi Marbona słychać było mocne tony. Stukał zapamiętałe grubszym końcem włóczni w kamienie.

Tak jak Briksja przypuszczała, było już więcej wilgotnych plam niż parę chwil wcześniej.

-Lordzie Marbonie... Dwed... wyjdźcie stamtąd...! - krzyknęła. - Zaczyna się!

Niezupełnie świadoma tego, co robi, padła na kolana i schyliła się, żeby złapać Marbona za ramię - ponieważ on był bliżej - jednocześnie wrywając mu włócznię. Potem, odrzuciwszy broń za siebie, mocniej chwyciła mężczyznę. Dwed zbliżył się z drugiej strony i wyteżył wszystkie siły, żeby przyspieszyć wejście swego pana na skarpe.

Przez chwilę Marbon opierał się im obojgu. Całą uwagę skupił na ścianie. Potem uwolnił się od Dweda i sam dotarł na górę, gdzie przysiadł obok kłęczącej dziewczyny.

-Dalej, żywo! - teraz Marbon, także na kolanach, dosięgnął ręką Dweda i złapał go za kolczugę tuż przy szyi. Chwyciwszy mocniej, energicznym ruchem przyciągnął go do siebie. Razem

z Briksja wydobył Dweda z rowu w sama pore.

Plam na kamieniach przybywalo i pojawily sie struzki wody. Naraz jedna, a potem druga siknely, zamieniajac sie w strumienie tryskajace z wielka sila daleko poza podstawe muru i mknace w glab kanalu.

-Na bok! - Marbon zamaszystym ruchem ramion zgarnal Briksje i Dweda i wycofal sie z nimi znad krawedzi rowu. Uciekali niezdarnie na kolanach, byle dalej. Nagle rozlegl sie dziwny dzwiek. Briksja, ktora tez jeszcze nie zdazyla sie podniesc z kleczek, zobaczyla fontanne wody wzbijajaca sie ponad brzegami. Cala tama musiala zostac gwaltownie zmyta.

Lord Marbon skoczywszy na rowne nogi zrobil krok do tyłu, w kierunku spienionej rzeki, ktora wlasnie obdarzyl wolnoscia; Dwed go nie odstepowal. Nawet Uta przysiadla w poblizu brzegu kanalu i przygladala sie rwacym masom wody.

Briksja, dolaczywszy do reszty towarzystwa, zobaczyla, ze strumien nie mial dalekiej drogi do przebycia. Uciekajaca woda mogla sie bowiem odbic od stoku doliny i poplynac z powrotem do jeziora. Tymczasem jednak nowo powstaly potok zniknal gdzieś calkiem blisko. Gdy do tego miejsca podszedl lord Marbon i spojrzal w dol, ujrzal sadzawke, w ktorej woda klebila sie i wirowala, az na powierzchni wytworzyla sie warstwa piany.

-Pod ziemia - mruknal. - Podziemna rzeka.

Jednak nie poswiecil sadzawce zbyt wiele uwagi. Pospiesznie wrocil nad jezioro.

Woda uchodziła z nich jednostajnie i szybko. Ponad powierzchnię zaczęły już wyrastać wieżyczki. Jeden po drugim ukazywały się wieżocholki budowli.

-An-Yak! Od tak dawna w ukryciu... - rozległ się nad rwącym potokiem triumfalny okrzyk lorda Marbona. - Troje i jeden... W końcu znaleźliśmy je - tak długo zaginione i bezskutecznie poszukiwane!

Woda wciąż odpływała. Ociekające wilgocią mury wyrastały coraz wyżej. Briksja zauważyła, że wylaniające się gmachy były zupełnie niepodobne do budowli, jakie widziała dotąd w swoim życiu. Wynurzające się teraz przed jej oczami ściany ogradzały przestrzenie różnych rozmiarów i nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek pokrywały je dachy. W sercu tego labiryntu murów widoczne były dwie budowle, a pomiędzy nimi niewielka baszta, niewysoka, może nawet niższa od dworskiej strażnicy. Kiedy wody opadły, odsłaniając coraz więcej i więcej szczegółów, Briksja tylko mrugała oczami i przecierała je.

To, co lord Marbon nazwał An-Yak, okazało się czymś nadzwyczaj osobliwym. Rozmieszczone na dnie jeziora budowle były małe - a mogli je oglądać jedynie z pewnej odległości, więc perspektywa zmniejszała jeszcze rozmiary. Briksja nie umiałaby powiedzieć, na czym polegała ta dziwność. Wiedziała tylko, że czuje się wielka, zbyt wielka, niczym olbrzymka przy budynkach przeznaczonych dla rasy znacznie niższych istot.

Ropusze plemię było małe - no i posazek przedstawiciela tego gatunku pilnował szlaku wodnego do An-Yak. Czyżby to było jakieś ich starodawne siedlisko - może świątynia? Briksja prawie że spodziewała się ujrzeć za chwilę, nad powierzchnią

gwałtownie ubywającej wody, te ich pokryte brodawkami głowy oraz długie wasy.

Budowle były takiego koloru jak woda - zielen łączyła się z błękitem. Barwy te nie w każdym miejscu miały jednakowy odcień. Na wilgotnych powierzchniach dawały się dostrzec smugi: jasne i ciemne, ciemne i jasne.

Gmachy otaczały szerokie, wykonane z jakiegoś ciemnozielonego metalu obrysy, wysadzone kamieniami, które mogły okazać się szlachetne, bowiem chwytając światło słoneczne lśniły one płomiennie. Wyglądało na to, że długotrwałe zatopienie ani nie spowodowało zniszczeń, ani zaskorupienia budowli.

Strumień ostatecznie zaniknął. Pośrodku jeziora, we wgłębieniu, nadal jeszcze stała woda podmywająca podstawy ścian, jednak kanał był już pusty.

-Serce An-Yak! - Marbon zeskoczył z brzegu jeziora. Kiedy zdecydowanym krokiem ruszył naprzód, woda sięgała mu do kostek, kiedy zaś był w połowie drogi, miał ją już do kolan.

Briksja zawołała za nim. Poczuli na ramionach pazury, które przebiwszy koszule zahaczyły o ciało. Chwyciła Ute i wzięła ją na ręce. Dwa już podał za swym panem rozchlapując wodę. Wydawało się, że Uta przynagła dziewczynę, aby poszła jego śladem. Pewnie liczyła na to, że się zabierze i dotrze do niedawno jeszcze zatopionej budowli nie moczac lapek.

Briksja nadal odnosiła wrażenie, że z proporcjami rozciągającej się przed nimi budowli (a doszła w końcu do przekonania, że są

to różne elementy tworzące jedną całość) coś jest nie w porządku. Niewielkie jej rozmiary wydawały się prawidłowe, natomiast sama Briksja w stosunku do niej czuła się zbyt wielka i niezgrabna. Woda obmywała leniwie stopy dziewczyny. Nagle...

O jej nogi uderzyła niewielka falka, podniesiona przez idących przodem wędrowców. A na niej... Sadowiac Ute głębiej w zgięciu lewego ramienia Briksja przystanęła. Nie myliła się! Ujęła w palce zwinięty ciasno pak, który zakreślił poprzednio na jeziorze koło, by odsłonić to, co kryło się pod powierzchnią. Fakt, że trzymała ponownie w dłoni ową zamkniętą kwiat, podniósł ją na duchu. W słonecznym świetle pak był mocno zacisnięty, jak gdyby nigdy wcześniej się nie rozwijał. Zachowywał się, jakby był własnym życiem. Teraz był uspiony. Briksja schowała go za koszulę, rada, że czuje na skórze jego chłodną wilgoc.

Wyglądało na to, że nie ma żadnych wrot ani innego otworu, którym można by się dostać w obręb nagromadzonych murów otaczających dwa gmachy. Wszyscy troje obeszli całość wzdłuż zewnętrznej ściany i nie znaleźli żadnego wejścia. Droga, którą widzieli z brzegu, kończyła się ślepo przy murze. Ściany wznosiły się na wysokość nieco powyżej głowy lorda Marbona, zaś sporo przerastały Dweda. Briksja przypuszczała, że sama do górnej krawędzi mogłaby dosięgnąć ręką stojąc na palcach.

Marbon wcale nie był zbity z tropu. Zrobił pełne koło, po czym zwrócił się twarzą ku najbliższemu odcinkowi muru. Uniosł ręce i zaczepiwszy dłońmi o wierzchołek podciągnął się do góry. Odkąd zeszli na dno jeziora, nie odezwał się ani słowem, ani też w żaden sposób nie okazał, że zdaje sobie sprawę z czyjejs jeszcze obecności.

Choc przestal miec obojetny wyraz twarzy, jego glebokie skupienie w rownym stopniu odgradzalo go od Briksji i Dweda. Widzial jedynie to, co znajdowalo sie tuz przed nim, caly czas dzialajac w wielkim pospiechu.

Juz byl na gorze, przerzucil nogi... i znikl z pola widzenia. - Panie! - Dwed nie mogl sobie nie zdawac sprawy, ze wola nadaremnie. Teraz on z kolei rzucil sie na mur. Pierwszy skok byl zbyt niski i mlodzieniec wyryl jedynie zakrzywionymi palcami linie biegnace w dol wciaz jeszcze wilgotnej powierzchni sciany. Zanim Briksja do niego podeszla, skoczyl ponownie; tym razem zlapal sie i utrzymal, po czym wgramolil na gore z pelnym determinacji

wysilkiem.

Dziewczyna rozluznila chwyt pazurow Uty na swoim ramieniu i podsadzila kotke. Odpowiadalo jej to czy nie, Uta musiala teraz poruszac sie na wlasnych nogach, gdyz Briksja nie mogla wspinac sie uzywajac tylko jednej reki. Kotka zbyttnio sie zreszta nie opierala.

Briksja dolaczyla do Uty i mlodzienia na wierzcholku muru. Stad jeszcze lepiej bylo widac osobliwy uklad architektoniczny tego miejsca. Petle scian zamykaly czesc powierzchni, rozchodzac sie promieniscie od srodka, gdzie staly oba gmachy; wygladalo to jak... jak platki kwiatu. Oslaniane przez mury zbiegajace sie do wnetrza zabudowy, enklawy te mialy w przyblizeniu ksztalt owalny i zwezaly sie przy koncu sasiadujacym z gmachami. Ogrodzone miejsca byly puste, jesli nie liczyc wody, ktora siegala tu wyzej, gdyz zatrzymywaly ja sciany.

Marbon, idąc w wodzie po pas, zbliżał się właśnie do jednego z takich zwozów. Dwa spuścił się z góry podążając wytrwale śladem swego pana. Briksja była w rozterce.

Jedyną ciekawością, tak przynajmniej myślała, przywiodła ją do tego odległego miejsca. Teraz, przycupnawszy na szczycie muru, dziewczyna nie mogła się zdecydować, czy iść dalej. Odzyskała w niej całą dawną nieufność względem czarów i starodawnych mocy. Dwa kierowała niezachwiana wierność swemu panu - w jej przypadku podobne wiezi nie wchodziły w grę. Tymczasem w tym obcym, dziwnym miejscu czuła się coraz bardziej nieswojo.

Uta pobiegła beztrąsko wierzchołkiem muru. Zrownała się z Marbonem, a potem go wyprzedziła, kierując się w stronę podwójnego gmachu. Briksja pokręciła głową. Nie będzie ryzykować. Pozostała na swoim miejscu, nie mając ochoty iść naprzód, a mimo to również z jakiegoś względu niezdolna do powrotu.

Woda poniżej była mętna, ciemna. Różne rzeczy mogły się znajdować pod jej powierzchnią. Marbon i Dwa mieli okryte nogi i obute stopy, ona zaś nie. Powinna chyba wrócić...

Wciąż jednak nie mogła się do tego zmusić. W końcu wstała i ostrożnie, z trudem zachowując równowagę, posuwała się przykładem Uty wzdłuż krawędzi muru. Wilgotna powierzchnia kamienia była śliska, toteż dziewczyna szła wolno, nie mając najmniejszej ochoty się obsunąć.

Lord Marbon dotarł do odległego końca otoczonej ścianą enklawy i pokonał wznoszący się tam mur. Widziała go stojącego

przed bliższa z budowli. W pewnej chwili Uta skoczyła - jednak nie na ramiona Marbona, tylko w górę, daleko, ładując z gracją na najwyższym położonym miejscu gmachu. Wychyliła się i zamiauczała donośnie, jakby z jakimś zadaniem, zwracając się do stojącego poniżej mężczyzny.

Briksja wywijala rękami walczyć o utrzymanie równowagi. Ten głos, jaki wydala z siebie kotka! Zakryła dłońmi uszy. Miała wrażenie, jakby ktoś zatopił w jej głowie noż. Nie...!

Nie słyszała teraz tego swidrującego dźwięku, ale go czuła. Klujący ból dreczył ją niemal z każdym oddechem.

Przed oczami miała mgłę - zielononiebieską. To jakby podmywająca podstawy murów woda uniosła się, by uwiecznić ich w ciężkim obłoku wilgoci.

-Panie!

To głos Dweda... słaby... daleki... rozpaczliwy...

Ból zelzał. Briksja usiłowała przeniknąć wzrokiem mgłę...

Uta na szczycie budowli... Marbon na dole... Dziewczyna odkryła uszy, żeby przetrzeć oczy. Chwiała się na murze, ale - choć bojaźliwie - krok za krokiem szła naprzód. Co się takiego wydarzyło? Gwałtowna fala dźwięku... potem ból...

Stopniowo widziała coraz wyraźniej. Na wprost niej stał gmach. Wzrok Briksji padł na ciemne miejsce na jego zwieńczeniu. Uty już tam nie było. Lord Marbon skakał i wyciągał ręce... Znowu podskoczył, ale zesliznął się z powrotem. Usiłował dosięgnąć

miejsca, gdzie poprzednio znajdowała się Uta.

Briksja była oszolomiona, kreciło jej się w głowie i miała lekkie mdłości. Żeby dotrzeć do celu, była zmuszona przesuwać się po murze na siedząco. Lord Marbon, a kosztowało go to wiele wysiłku, dostał się wreszcie jakos na szczyt budowli. I raptem - zniknął! Zobaczyła, że teraz Dwed, chcąc iść jego tropem, podskakuje bezskutecznie, zsuwając się ciągle w dół.

-Panie! Panie! - rozlegało się jego wołanie, ale tym razem głos młodzieńca nie przyniósł ze sobą bólu tak jak wtedy, gdy odpowiadał na zew Uty.

Po Marbonie i kotce nie było śladu. Briksja doszła do końca muru. U stop budowli stał Dwed z falującą pierścionką. Waląc piścionkami we wznoszącą się przed nim ścianę. Briksja ostrożnie podniosła się i stanęła stopami na murze.

W tym momencie zagadka tajemniczego zniknięcia została rozwiązana. Na szczycie gmachu był otwór! Ale jak do niego dotrzeć...? Zawołała do Dweda:

-Wdrap się tutaj. Na gorze jest wjazd.

Nie potrzebował wiele czasu, żeby do niej dołączyć; wciąż oddychał ciężko po licznych próbach dostania się na wierzchołek budowli.

-Nie ma go...! - Dwed z trudem łapał powietrze. Briksja usiadła z powrotem, zwiesiła nogi i zacisnęła mocno dłonie na krawędzi muru po obu swoich bokach.

-Nie mamy wyjścia, musimy tu na niego poczekać.

Dwed obrócił się gwałtownie w jej stronę.

-Tam, gdzie on poszedł, i ja dojdę - rzucił przez zęby. Tylko najpierw znajdź sposób, pomyślała Briksja. Dwed tracił ją stopa.

-Rusz się - rozkazał. - Weźme rozbieg i skoczę...

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Niech sobie próbuje. Czemu przyszła tak daleko i uwikłała się w jakieś szalenstwo, którego nie pojmuję? Odsunęła się wzdłuż krawędzi lekko zaokrąglonego muru, żeby zrobić Dwedowi miejsce.

Młodzieniec cofnął się. Trzymając ręce na biodrach stał przez dłuższą chwilę i mierzył wzrokiem długość rozbiegu, odległość między murem a budowlą oraz wysokość tej ostatniej. Następnie usiadł i ściągnął buty, po czym wetknął je cholewkami za pas. Idąc bosymi już stopami po murze wycofał się jeszcze dalej. Odwrócił się i zaczął biec.

Briksja obserwując go złapała się na tym, że wbrew sobie żywi nadzieję, iż dopisze mu szczęście. Odbił się, przeskoczył, po czym uderzył z hłasem w bok budowli. Jedną ręką chwycił za to, w co celował, czyli za brzeg otworu.

Pisał się do góry, pracując nogami i drugą dłoń, która w końcu też zdołała zahaczyć. Wtedy wykonał sprężysty ruch i już go nie było - teraz z kolei zniknął on. Briksja została sama.

Utkwiła spojrzenie w budowlę. W porządku, udało im się. Niech sobie pomyślony lord i jego uparty wychowanek szukają tego, co

spodziewali się tam znaleźć. To nie jej sprawa. Nerwowo przejechała dłońmi po kolanach.

Jaka rolę odgrywała w tym wszystkim Uta? To na jej wrzask odpowiedział tamten przeraźliwy dźwięk (a może sam głos Uty nabral takiego nateżenia?). Kotka pierwsza - to pewnie - przeszukała budowlę. Tylko po co...?

-Przekleństwo Zarsthora... - powiedziała Briksja do siebie na głos. Słowa te zabrzmiały, jakby były przytłumione i padły daleko od niej. Tymczasem woda przestała chlupotać u podnoża muru i niemal przeraźliwie wyglądało teraz jej nieruchome lustro. Briksje ogarnęło uczucie... osamotnienia!

Znała je od dawna. Znosiła samotność przyjąwszy ją w końcu za stan nie tylko dający bezpieczeństwo, ale też naturalny. Jednak to odczucie było wyjątkowe. Znowu coś dziwnego doszło do jej świadomości - miała wrażenie, że jest wzywana... zza jakiejś granicy...

Potrzaskała głową starając się wyzwolic od tych pól przeczuć, pól myśli; niech zostawia ją w spokoju, sama. Sama... Briksja spojrzała w górę, na sklepienie niebieskie. Nie przecinał go żaden ptak. Cała ta dolina wyglądała na opuszczoną i zapomnianą. Wokół zalegała cisza.

Wbrew swej woli raz jeszcze spojrzała na budowlę - na otwór, który z tej odległości był dla niej jedynie plamą. To... nie... jest... jej... sprawa... Chwyła się muru po obu swoich bokach, aż zdrewniały jej palce - z tak wielką siłą się go trzymała.

Walczyła. Nie... nic z tego! To... oni... nikt jej do tego nie zmusi!

Zawroci... wycofa sie... nie da sie zapedzic w pulapke.

Pulapka! O czyms jej to przypomnialo.

O zapraszajacych i zniewalajacych zasadzkach, przed ktorymi bronil jej kwiat. Czy nie mogl znow sie przydac? Dziewczyna popuscila uscisk i zeszywnialymi palcami siegnela pod ubranie, zeby wyjac zacisniety pak na swiatlo dzienne.

Wydawal sie nawet jeszcze mocniej zwiniety niz ostatnim razem. Kwiat byl martwy. To musialo sie stac - zaden nie zylby tak dlugo po zerwaniu.

Briksja trzymala tuz ponizej podbrodka kwiat, ktory wygladal na uschly. Nadal wydzielal lekko wyczuwalny zapach. Kiedy go powachala, w jakis niewytlumaczalny sposob przynioslo jej to cien nadziei.

Odetchnela gleboko raz, drugi... Naraz uniosla glowe i spojrzala na budowle i otwor. Potrafilaby sie tam dostac, radzac sobie jak Dwed, moze nawet lepiej. Tak wlasnie robi! Nie jest sama - jest jedna z trojga...

Znow schowala pak i wstala z pewnoscia siebie w ruchach. Jak uczynil to Dwed, cofnela sie po murze, z uwaga ocenila odleglosc... puscila sie biegiem... i skoczyla!

Zlapala rekami krawedz otworu, jak poprzednio wierzcholek muru. Nastepnie dzwignela sie do gory i po chwili byla juz w srodku. Zanurkowala w mrok, co przypominalo skakanie do jeziora. Ale nie upadla daleko i wyladowala w jakis dziwny, nie zaplanowany sposob, turlajac sie po podlodze.

Otoczające ją ciemności nie były całkowite. Jasniał tam niebieskawy blask, do którego jej oczy szybko się przyzwyczaiły. Pomieszczenie było puste, tylko na wprost widniały drzwi, prowadzące w tę stronę, gdzie musiała się znajdować zewnętrzna baszta. Briksja tam właśnie skierowała swe kroki.

Natrafiła na otwarte przejście do drugiej komnaty, gdzie odnalazła tych wszystkich, którzy weszli przed nią. Nagle wydała okrzyk i rzuciła się naprzód.

Na jakiejś kolumnie, z polotwartym pyszczkiem, siedziała Uta, pomiędzy zębami trzymając niewielkie puzderko. Najeżyła sierść na grzbiecie i uniosła przednią łapę w geście groźby lub ostrzeżenia, machając przy tym ze złością ogonem.

Marbon krążył wokół kotki z nożem w dłoni, a z przeciwnej strony skradal się Dwed, również z obnazonym ostrzem. Uta zobaczyła dziewczynę. Dając susa, jakby rzuciła się na zdobycz, ominęła wyciągniętą rękę Dweda i z wystawionymi pazurami wylądowała na Briksji, rozdzierając jej ubranie i drapiąc skórę, kiedy starała się utrzymać na dziewczynie pewniejszym chwytem.

Briksja stała teraz twarzą w twarz z nimi dwoma, jedna ręka ogarniając kotkę, w drugiej sciskając noż. Widok obu przeciwników mroził jej krew w żyłach. Dotąd nie było życia w obliczu Marbona, teraz – paląco ono niepoohamowana złość. Z oczu patrzyło mężczyźnie w tej chwili gorzej niż ze ślepiów żywiących bardzo złe zamiary ropuchopodobnych stworzeń. Te niedobre uczucia stały się oto udziałem człowieka – albo przynajmniej kogoś, kto stwarzał takie pozory. Natomiast rysy twarzy Dweda przestały być napięte. Wyglądał, jakby tracił świadomość, podobnie jak poprzednio jego pan, chociaż wciąż

Jeszcze zbliżał się z jakimś okrutnym zamysłem. Obaj chcieli dostać w swoje ręce Ute.

Kiedy Briksja cofnęła się, Dwed skoczył pomiędzy nią a drzwiami, którymi przyszła. Oparła się plecami o ścianę i przesuwiała wzdłuż niej bokiem - tak jak wtedy, gdy stała przylepiona do skałki naprzeciwko ptaszycy. Z jakiegoś powodu nie rzucali się na nią. Gdyby to zrobili, z całą pewnością zdolaliby ją powalić na podłogę. A jednak - choć była przekonana, że zamierzają ją zabić, gdyby nie oddała im kotki - jeszcze na nią nie nacierali.

Niemal oblakająca furia bijąca z oczu Marbona nadawała jego twarzy wyraz okrucieństwa. Zrobił gwałtowny krok w stronę dziewczyny. Ale z takim skutkiem, jakby próbował przejść przez ścianę. Briksja była zaskoczona, kiedy mężczyzna zatrzymał się z hałasem, nie będąc w stanie pokonać jakiegokolwiek przeszkody, której ona nie mogła dostrzec. Uta zwróciła ku niej głowę. Nadal w kleszczach jej szczęk tkwiło pułderko. Jednak uwaga Uty wciąż skupiona była na Marbonie.

Dwed nie odchodził od drzwi, z nożem w dłoni strzegąc wyjścia i pozostawiając polowanie swemu panu.

Marbon poruszał wargami. Z tego, co mówił, do Briksji nie dochodził żaden dźwięk. Poczula tylko, jak sztywnieją mięśnie kotki. Z kolei do jej głowy wdzierały się igielki zapierającego dech bólu, z każdą chwilą przybierającego na sile. Było tak, jak gdyby wypowiedane bezgłośnie przez mężczyznę zaklęcia przemieniały się w narzędzia jej meki.

Wokół kolumny, na której poprzednio siedziała Uta, zawirowała szara mgielka, spowijająca kamienny słup niczym pnącza roślina.

Marbon nie zaprzestał prób i wciąż starał się dosięgnąć Briksji, napierając raz jednym, raz drugim bokiem. Mgielka otaczająca kolumnę uleciała ponad jej wierzchołek, kierując się w stronę sklepienia komnaty. Dotarłszy tam rozszczepiła się na długie wstęgi, tworząc jakby cien drzewa wypuszczającego galezie. Galezie te rozprzestrzeniały się równomiernie, pozostawiając wszakże wolne miejsce nad głową dziewczyny. Jeśli rzeczywiście miała jakąś ochronę, działała ona i tutaj.

Uta traciła ją ponagłajaco. Puzderko... Czy Uta chciała, żeby wziąć od niej puzderko? Briksja wysunęła po nią rękę... Uta zrobiła unik. O co w takim razie chodzi...?

Kotka otarła się nosem o rozcięcie koszuli. Briksja, nie puszczając noża, rozchyliła je szarpnięciem dłoni. Uta natychmiast wrzuciła tam swój skarb. Następnie zaczęła się wrywać dziewczynie tak bezlitosnie, że kiedy Briksja ją puściła, po podrapanych rękach płynęły strumyczki krwi. W chwili po wylądowaniu na podłodze Uta wykonała kolejny skok - i powtórnie usadowiła się na kolumnie.

Marbon znowu dookoła niej biegał. Kotka wciąż przykuwała jego uwagę. Stałe poruszał wargami, jednak tym razem Briksja słyszała szmer słów.

-Krew, żeby związać; krew, żeby zasiać; krew, żeby wyrównać rachunki. Tak być musi!

Wyciągnął lewą rękę i własnym nożem naciął sobie skóre. Nawet nie mrugnął powieką, kiedy wymachiwał skaleczoną ręką skrapiając krew kolumnę. Dwa ruszył ku niemu od drzwi jak ktoś w transie.

-Krew, zeby wyrownac rachunki...- powtorzyl te slowa przytlumionym, cienkim glosem. Teraz on przecial sobie reke i zrosil podstawe kolumny.

Coraz wiecej bylo nitek mgly, ktore jely snuc sie wokol spadlych kropli. Na oczach Briksji z kazdej plamki wyrastaly w gore ciemne pasemka, jak gdyby mgielka nasycala w ten sposob i odzywiala swoja substancje.

Zmienil sie jej kolor. Pociemniala i stawala sie coraz bardziej nieprzejrzysta. Briksja wziala to za zludzenie, kiedy zobaczyla, ze przylegajace do kolumny grube pnacza wznosza sie, zeby po chwili rozpelznac sie po stropie. Kiedy podniosla wzrok, dostrzegla, ze ma je juz takze nad glowa, wciaz gestniejace i coraz ciemniejsze. Z tych pedow zwisaly ciensze wasy, ktore kolysaly sie tam i z powrotem.

Spojrzala z niepokojem w strone Uty, zdjeta obawa, ze kotka mogla sie juz dostac w siec rozkrzewionej wokol kolumny rosliny. Jednak dokola Uty bylo sporo pustego miejsca.

-My jestesmy niczym, ale Moc trwa wiecznie! - wykrzyknal Marbon. - Naszemu plemieniu - ciagnal - los przeznaczyl odejsc; wiec odeszlo ono za morza. Dotrzemy do ostatnich granic Ziemi i skonczymy jak kurz strzasniety z buta wedrowca. Ale przed nami w niebiosach wciaz znajduje sie Moc, a stanowia ja Panowie Kosmosu!

Sa moce i moce, pomyslala ze zloscia Briksja. To, co wypelnilo komnate, wydzielalo odor - wciaz sie nasilajacy, w miare jak to zle niby-drzewo przybieralo namacalne ksztalty. Ten sam obrzydliwy zapach wypelnial jej nozdrza, kiedy zetknela sie z

ropuchopodobnymi stworami i ptaszyskami. Noz wypadl jej z reki. Jego zbyt czesto ostrzona klinga rozlciala sie na kawalki uderzajac o kamienna podloge. Jednak dziewczyna nie dbala o te zelazne odlamki. Namacala natomiast pak - martwy, brazowy. Kiedy ujela go w dlonie, stala sie wrotami, gardziela, droga dla innego bytu, by mogl wejsc do jej swiata. Teraz przynajmniej wiedziala, jaka jest jej rola: byla sluga i zadano od niej pelnego poswiecenia.

10

Koncem jezyka Briksja zwilzyla wargi. Czula sie dziwnie - jakby pomiedzy nia a przeszloscia opadla zaslonka... Kto lub co wtargnelo w nia i uzylo jej jako tuby... albo narzedzia? Jakakolwiek zawladnela nia potega (Briksja nie umiala odkryc natury przymusu majacego teraz na nia wplyw), nie wziela poczatku ani z jej woli, ani mysli, ani jestestwa.-Nienawisc nie trwa wiecznie, niewazne w jakim stopniu byla zapiekla czy gleboka - takie slowa przyniosla jej z zewnatrz owa obca wola. - Skoro ci, ktorzy ja zrodzili, odchodza, ona tez slabnie i ginie. Ale w swietnym blasku przeszlosci moze lezec nasienie przyszlej chwaly - albowiem te tajemnice spoczywaja ukryte w ludzkich umyslach. - Takimi oto slowy ozwal sie byt.

Marbon uwaznie przypatrywal sie Briksji. Wygladal na calkowicie przytomnego i trzezwo myslacego, ale przeciez w kazdej chwili mogl sie stac taki, jak przedtem, zyjac tylko polzyciem. Rozpierajaca lorda energia zesrodkowala sie w jego spojrzeniu. W oczach Marbona migaly czerwone lakome blyski. Briksja odnosila wrazenie, ze jego natarczywy wzrok przeszywa ja na wskros i penetruje. Przypominalo to troche wydlubywanie mieczaka z muszelki.

-To myśli Jartara? - zasyczał. - Nie wiem, jakim sposobem i dlaczego się tak dzieje, ale przysięgam, że to prawda! Jednak Jartar... - głos zamarł mu na ustach, a na wystających policzkach pojawiły się rumieńce.

To, co zaważadnelo Briksja, przemowilo ponownie. Jej głos brzmiał dla niej inaczej niż zwykle - był głębszy, bardziej szorstki.

-Nienawisc umiera, ale kiedy zyje, potrafi wypaczyc i zadreczyc nieostroznych, ktorzy wezwa ja na pomoc. Jednakze zastarzale nienawisci, nawet te wspierane przez Moc, moga stracic swoja sile...

-Panie!

Jej przemowe przerwal pelen zdumienia i trwogi okrzyk Dweda. Młodzieniec postąpił naprzód, jeden czy dwa kroki od drzwi. Przestał mieć twarz bez wyrazu, a już pewno nie wyglądał na pośrednika potężniejszej woli.

Oplotł go ciemny was wypuszczony przez mgielne pnacze. Dwed szamotał się, żeby go oderwać, walczył zajądło wolną ręką. Nadaremnie, gdyż mgła, która przybierała coraz to bardziej namacalną postać, przygłębła do niego i nie puszczała.

Twarz wykrzywił mu grymas strachu, kiedy wilił się coraz energiczniej w spreżystym uścisku. Mimo że was wydawał się cienki, uwięził młodzieńca skutecznie.

-Panie! - w jego ponownym zawołaniu brzmiała żarliwa prośba.

Marbon nawet nie odwrócił głowy, żeby popatrzeć na swojego

wychowanka. Spojrzenie przymruzonych oczu skupił na Briksji, tak jak człowiek, który tuż przed pojedynkiem na miecze nie zdejmuje wzroku z przeciwnika.

-Eldor, jeśli jesteś tutaj, żeby bronić Przekleństwa - rzucił gniewne wyzwanie - wiedz, że ja także tu jestem! Pochodzę z rodu Zarsthora... Ta wasz jest z dawna nasza sprawa... Jeżeli pozwala ci na to twoja moc, pokaz się!

-Panie! - Mgła jeszcze bardziej obrosła Dweda. Spowijała go całego z wyjątkiem bladej i zastygłej w masce przerażenia twarzy. - Panie, użyj swych mocy. Ratuj mnie!

Ludzka istota, która nadal była Briksja, nie całkiem zawładnięta przez byłego wykorzystującego ją jako naczynie dla obcych jej myśli i uczuć (Jartara lub Eldora - ktoż to mógł wiedzieć), zdawała sobie sprawę, że z tym, co pochwyciło Dweda, młodzieniec z pewnością sobie nie poradzi. Fakt, że na oczach uwielbianego pana jego dzielność nie wytrzymała próby, musiał oznaczać dla Dweda sromotną porażkę.

-Przekleństwo! - Marbon nadal nie zwracał uwagi na swego wychowanka.

Wysunął nogę, uparcie chcąc zbliżyć się do dziewczyny. Walil wściekle ręką w niewidzialną przeszkodę między nimi. Smagał nawet nożem powietrze, jakby miał zamiar je rozpolować niczym mocno naciągniętą tkaninę.

-Daj mi Przekleństwo! - krzyczał.

Teraz z kolei u jego stop gromadziły się wazy mgły, splecione i

gestniejace. Mgla osnuwała go, pelgajac w gore po cieie. Owinela mu kolana, przylgnela do ud, ale on zdawal sie tego nie zauwazac.

Dwed zas zawisl omotany niby zdobycz pajaka w sieci - bezradny, unieruchomiony. Kiedy smuzki mgly dotykaly jego policzkow, przywieraly do podbrodka, na jego twarzy malowala sie bezgraniczna trwoga.

-Przeklenstwo! - powiedzial z naciskiem Marbon. Uta stanela na tylnych lapach. Ze zloscia rzucila sie na dosiegajacy jej jezyk mgly. W tej samej chwili Briksja zostala... opuszczona. Nie miala innego slowa na okreslenie tego uczucia wyzwolenia. Tamto cos sie usunelo. Byla teraz sama, wystawiona na wszelkie ataki mezczyzny. Calkiem bezbronna, bo nawet noz lezal strzaskany u jej stop. Zacisnela kurczowo dlon, jakby wciaz jeszcze miala w niej rekojesc. Ale w istocie trzymala pak. I on drgnal! Kiedy wyprostowala palce, kwiat zaczal sie otwierac.

Matowobrazowe oslonki rozdzielily sie. Z wnetrza promieniowala ta jasnosc, ktora oswietlala jej sciezke i dodawala otuchy podczas nocnej wedrowki przez Odlogi.

Moce i moce, pomyslala przejeta. Druga reka siegnela po powierzone jej przez Ute puzderko, ktore spoczywalo za koszula.

Marbon poruszył się. Jego twarz nie była już ta, która Briksja знаła: raz zgaszona, raz ożywiona przeblyskiem świadomości. Czy to możliwe, żeby rysy mogły wykrzywić się w tak niemilosierny sposób - ukształtować w tak odmienne oblicze? Nawet gdyby ta zmiana miała być tylko złudzeniem, z pewnością nie zaszłyby w nikim zdrowym na umyśle. Briksja zmartwiała z

przerazenia do tego stopnia, że nie umiała się zmusić do wykonania najmniejszego ruchu. A przecież mogła próbować ucieczki, bo Dwed zostawił drzwi otwarte.

Stojący przed nią mężczyzna wyrzucił ręce do góry. Unosił głowę, zwracając twarz ku wijącym się ponad nimi poskrecanym wężom mgły. Zawolał:

-Jartar - sle - frawa - ti!

Mgła zawirowała przyprawiając dziewczynę o zawrót głowy. Briksja - jako że Marbon przestał przykuwać ją władczym spojrzeniem - zamknęła oczy, żeby nie oszaleć. Nagle uniosła się won kwiatu, co podziało na dziewczynę trzeźwiaco.

Nie miała pojęcia, jakie było znaczenie słów, które wykrzyknął Marbon. Coś mu odpowiedziało. Skądś tuż, tuż przy niej. Choć nie otworzyła oczu, była tego pewna. Siegnęła ręką...

Puzderko i kwiat... Nie wiedziała, dlaczego te dwie rzeczy zbiegły się w jej umyśle i dlaczego takie połączenie wydało jej się słuszne, konieczne. Kwiat i puzderko... Nie patrzec! Owo coś pojawiło się, żeby zmącić jej myśli, osłabić obronę. W tych zmaganiach nie wolno jej ustąpić.

Jeszcze raz odwołała się do jedynej chyba istoty, która mogła zapewnić jej bezpieczeństwo w tym niestalym, obcym świecie.

-Zielona Matko, co mam poczwać? Nie mam wpływu na te czary... Przez nie jestem zgubiona!

Czy naprawdę wykrzyczała to wszystko? Czy też jedynie były to

mysli do tego stopnia intensywne, że wydawały się głośną przemową, prośbą, być może bezowocną, skierowaną do mocy, której nie potrafiła zrozumieć? Kim byli bogowie - owe potężne źródła mocy - znani z tego, że czynili z mężczyzn i kobiet swoje narzędzie i zbrojne ramie? I czy ci wykorzystywani mogli się temu jakos oprzeć? Czy skupiona teraz wokół niej walka była potyczka pomiędzy mocami Światłości i Mroku?

Otwórz!

Rozkaz - wydany przez kogo... lub przez co? Przez istotę, która wezwał Marbon? Jeśli tak, Briksja była w prawdziwym niebezpieczeństwie. Nadal miała mocno zamknięte powieki i to samo starała się robić ze swoim umysłem. Mgła uwieczyla już Dweda i teraz wyczuwana przez dziewczynę wola starała się podobnie usidlić ją - jednak nie ciało, lecz mózg.

-Na to, co trzymam w dłoni - zawołała - nie pozwól mi ulec!

Puzderko i kwiat...

Powoli złączyła dwa trzymane w dłoniach przedmioty. Próbowala zgadnąć, czy działa na polecenie Światłości czy Mroku. Wreszcie stało się. I w tej samej chwili otworzyła oczy.

To, co zobaczyła...

Zamiast znajdować się w zasnutej mgli komnacie, stała w sali biesiadnej, w wieży, przed krzesłem z wysokim oparciem. W pierscieniach przymocowanych do kamiennych ścian tkwiły płonące pochodnie. Pośrodku stołu leżał kawał wielobarwnego płótna utkane tak, że przechodzące jeden w drugi kolory były

raz jasniejsze, raz ciemniejsze. Na obrusie stały naczynia na napoje w kształcie rogów z Isniacego kryształu, zielonego malachitu i czerwono-brazowego krwawnika, co świadczyło o takiej zamozności, jakiej dorównać mogliby jedynie najpotężniejsi lordowie dolin.

Przed każdym siedzeniem leżał talerz ze srebra. Ponadto stol zastawiony był wieloma polmiskami i pucharami; niektóre z nich miały ozdobione deseniami brzegi albo wysadzane były oczkami klejnotów.

Początkowo Briksja myślała, że sala, w której stoi, jest opuszczona, ale wkrótce odkryła, że ma tam towarzystwo. Uczający okazali się jednak zaledwie nikłymi cieniami, nic więcej jak tylko rozmytymi sylwetkami, tak słabo widocznymi, że dziewczyna nie była pewna, kto jest mężczyzną, a kto kobietą. Wszelkie przedmioty znajdujące się w tej sali miały wyraźne kształty, ale postacie, w których tliło się życie, musiała uznać za widma. O ich trwaniu w starodawnych, złowroźnych miejscach opowiadali niektórzy Dolinianie. Często - sami żyjąc nieszczęśliwie - z wrogością odnosili się do tych cieni, nie znających co to zazdrość i rozpacz.

Briksja krzyknęła. Pochyliwszy się usiłowała zrobić choćby krok. A stała dokładnie naprzeciwko wysokiego krzesła, gdzie za chwilę mogła się pokazać osoba (on? ona?) przewodząca zgromadzeniu cieni. Dziewczyna nie dała rady uciec; była zmuszona stawic czoło temu, co miało nastąpić.

Czarny błysk - jeśli światło może być ciemne - mignął pomiędzy nią a wysokim krzesłem niczym smuga, która pozostaje w powietrzu, kiedy machnie się mieczem. Pokretna i sama czemus

podporzadkowana wola nie była do cna zła, a jednak nosiła znamiona Mroku. Probując zawładnąć Briksją zadawała jej coś na podobieństwo ciosu. Dziewczyna poczuła jakby smagniecie biczem. W tym momencie cien na wysokim krześle zwrócił na nią wyraźnie dostrzegalne, zarzucił się czerwono oczy.

Widmo stopniowo ciemniało przybierając cielesną postać w sposób, który przypominał zmianę rysów twarzy Marbona. Dziewczyna odnosiła wrażenie, że osoba zajmująca miejsce na krześle nie jest szlachetnym lordem i nie ma tu żadnej władzy. Postać strzelająca w jej kierunku palającymi ogniem oczami - może węgielkami z samego piekła - była raczej zbrojca, na wskroś zepsutym okrutnikiem, najgorszym z najgorszych. W przeszłości przed podobnymi lotrami udawało jej się parę razy uciec lub ukryć; wiedziała dobrze, co ją czekało, gdyby wpadła w ich łapy.

Nagle zbrojca zniknął!

Na wysokim krześle usadowiony był teraz ropuchopodobny stwor z Odlogów - ohydnie nabrzmiały, z rozdziawionymi, pełnymi zębów szczękami i z rozpostartymi, szponiastymi łapami. Olbrzym w swoim gatunku, bez mała równie wielki i groźny jak widmo zbrojcy, które zastąpił. Stwor belkotał, zniekształcając głoski:

-Przekleństwo, Przekleństwo!

Puzderko i kwiat...

Briksją uswiadomiła sobie, że ciągle przyciska do piersi oba te przedmioty, niemal wgniatając je w ciało. Puzderko i kwiat...

Ropuchopodobny stwor zamrugal oczami. Teraz byla to ptaszycyca. Zaklekotala srogim dziobem, wysoko unoszac ramiona-skrzydla zakonczone zakrzywionymi pazurami. Sprawiala wrazenie, jakby miala wlasnie wzbic sie w powietrze, zeby po chwili natrzec na Briksje.

Przywidzenia? Dziewczynyna nie wiedziala. Kazda z pojawiajacych sie postaci wydawala sie nie mniej namacalna i rzeczywista niz krzeslo, na ktorym siedziala.

Puzderko i kwiat...

Teraz... teraz to byl Dwed! Niezmiennie spowity mgla, bardziej lezal bez sil, niz siedzial na wysokim krzesle. Z wyjatkiem czesci twarzy caly byl przesloniety. Z trudem uniosl glowe i popatrzył na Briksje otepialymi z przerazenia oczami, z ktorych bila rozpaczliwa prosba.

-Przeklenstwo... - To jedno slowo wypowiedziane zostalo brzmiacym udreka szeptem, ktory zadudnil echem po calej sali.

Nagle... Dwed zniknal. Na jego miejscu pokazala sie Uta. Jak najbardziej widzialna, ale wijaca sie w uscisku jakiegos widmowego potwora, walczaca zaciekle, by sie wyswobodzic, mimo ze powykrzywiane lapska trzymaly ja mocno za gardlo chcac wycisnac z niej zycie.

-Przeklenstwo! - wycharczala kotka.

Tak jak wszyscy przed nia - Uta tez przepadla. Przez dluzszy czas krzeslo bylo puste. Wtem... To juz nie cien - zobaczyla mezczyzne, tak dobrze widocznego i prawdziwego niczym

Marbon, kiedy stał przed nią w tamtej, jakby wypełnionej pianą, komnacie.

Miał na sobie kolczugę, nie atlasową szatę biesiadnika, i hełm ocieniający twarz.

-Marbon! - Briksja prawie że wypowiedziała na głos to imię i wtedy dopiero spostrzegła, że nie był to wcale dotknięty chorobą umysłową Pan na Eggarsdale, choć z pewnością łączyła ich obu jakas niepokrewienstwa. Na twarzy mężczyzny wycisnęła swe niezatarte piętno surowa i wyniosła duma. Miał lekko skrzywione usta, jakby nadgryzł coś kwasnego i niesmacznego, co zatrulo mu przyjemność ucztowania.

Zebrane przy stole postacie, idąc za przykładem swego pana, stawały się coraz wyraźniej widoczne. Żadna z nich - gdy Briksja sobie to uświadomiła, przebiegł ją dreszcz - nie należała do rodu ludzkiego. Po prawej ręce lorda siedziała dama przyobleczona w szatę zieloną niczym młode wiosenne liście. Jej falujące włosy były tak delikatnie i świeżo zielone jak suknia, która miała na sobie, a jej twarz, doprawdy piękna, nie była twarzą kobiety spośród ludzi. Po drugiej stronie lorda tuż ponad stołem wyrastała głowa kota. Ze względu na ubarwienie można go było wziąć za Ute, ale Briksja przypuszczała, że gdyby mogła przyrzec się mu lepiej, stwierdziłaby, iż ten dziwny zwierzak jest od Uty o połowę większy.

Byli tam jeszcze inni. Młody mężczyzna w hennie (który wienczył kon stojący deba), z twarzą o nieczłowieczych rysach, co może nie było aż tak wyraźne, jak u kobiety w zieleni, ale nie budziło wątpliwości. Była też inna niewiasta, ubrana w prostą szatę koloru stali, obwiedziona metalowymi blaszkami, z których każda

miała w środku mlecznobiały klejnot. Włosy - białe niczym owe drogocenne kamienie - zaplecione nad czołem tworzyły jakby korone. Z jej spokojnego oblicza bila siła i pewność siebie. A jednak odnosiło się wrażenie, że jest na uboczu całego tego towarzystwa - bardziej jako widz niż uczestnik. Na jej piersi spoczywał fantazyjny wisior z tych samych białych klejnotów, co zdobiły suknie. Briksja przeczuwała, że służy on swej właścicielce za potężną broń, nie ustępującą wszelkim klingom używanym w rzemiosle wojennym.

Przy dalekim końcu stołu siedziała para szczególnych biesiadników, od których inni jakby się nieco odsuneli, pozostawiając im więcej miejsca (wyglądało na to, że ta dwójka nie była mile widziana). Briksji, kiedy dobrze im się przyjrzała, zaparło dech.

Groteskowa, eteryczna istota, która miała niedawno na swych usługach ptaki... To nie było jej wierne odbicie. Na polu kobieca sylwetka wydawała się bardziej zaokrąglona, bardziej zbliżona do sylwetki niewiasty z rodu ludzkiego; postać była naga, jeśli nie brać pod uwagę pior. Należące do ptasiej rodziny stworzenie miało na sobie wysadzany klejnotami pas. Więcej kosztownych kamieni skrzyło się w szerokim, przypominającym kołnierzyk, naszyjniku. Mimo wszystko nie mogło być żadnych wątpliwości, że owa istota jest przedstawicielką tego samego plemienia, co ptaszycy z Odlogów.

Obok niej siedziała jedna z ropuch. Czyżby istniał jakiś bliższy, niemal bluznierczy związek tych potworności z człowiekiem? Myśl o tym napelniała Briksję odrazą, jednak nie mogła się od niej uwolnić, gdyż - wbrew wszelkim wysiłkom dziewczyny - stworzenie przyciągało jej spojrzenie.

Złe patrzyło mu z oczu. Briksja zgadywała, że choć na pozór zgadzano się na jego obecność (a może nawet przybył na przyjacielskie zaproszenie), towarzystwo podobało mu się nie bardziej niż on jemu. Nie był pozadany gościem.

Wyglądało na to, że obecność Briksji nie wzbudziła w biesiadnikach żadnego zainteresowania. Nie spoczał na niej niczyj zaciekawiony wzrok. Nikt nie rozpoznał w niej intruza. Nie mogła zrozumieć, po co się wśród nich znalazła. Nagle...

Przestała wreszcie tkwić bezradnie przed krzesłem. Po chwili przerażenia dotarło do niej, że za sprawą jakiejś sztuczki będącej dziełem mocy (lub woli tego bytu, który ją tu przysłał) wisi w powietrzu ponad biesiadnikami - w sposób pozwalający ogarnąć wzrokiem całą salę i wszystkich w niej zgromadzonych.

Tak jak to było nadal w zwyczaju szanujących się rodów w dolinach, wysokie krzesło pana stało zwrócone przodem ku wielkim podwojnym drzwiom. Naraz, z hukiem, który gwałtownie uciszył prowadzone półgłosem rozmowy do ucha Briksji docierające jako nikły szmer, drzwi rozwarły się, a oba ich skrzydła trzasnęły o ścianę. Zabrzmiało to niczym echo grzmotu w czasie letniej burzy.

W szerokim wejściu (pod portalem bez najmniejszego trudu zmieściłaby się niemal cała kompania żołnierzy w szyku marszowym) stał samotnie jeden człowiek. Podobnie jak pan tego dworu, nie miał na sobie paradnego stroju, ale kolczugę i hełm. Spływał mu z ramion odrzucony do tyłu, pofalowany płaszcz; mężczyzna uwolnił spod niego niecierpliwe ręce licząc się zapewne z tym, że spotka na swej drodze skierowane w ten sposób miecze.

A mimo to jego własny orez nadal tkwił w pochwie. Mezczyzna nie trzymał w gotowosci zadnej broni. Zadnej - procz nienawisci malujacej sie na jego obliczu. Briksja, ktora omal nie zawolala "Marbon", gdy po raz pierwszy zobaczyla pana tego dworu, teraz byla prawie przekonana, ze nie popelnilaby bledu nazywajac tym imieniem przybysza.

Nie wszedl od razu do sali, ale czekal, jakby musial byc najpierw zaproszony lub przynajmniej rozpoznany przez mezczyzne siedzacego na krzesle. Kiedy tak stal, spokojnie przypatrujac sie calemu towarzystwu, tuz za nim gromadzil sie jego orszak.

Wygladal jak dorosly posrod czeredy dzieci. Bowiem ci, ktorzy postapili o krok, zeby stanac po jego bokach, i ci, ktorzy zebrali sie za jego plecami, byli takiego wzrostu, iz przy nich wydawal sie wielkoludem. W rzeczywistosci nie byli dziecmi, ale jak najbardziej dojrzalymi ludzmi, choc w trudnym do okreslenia wieku.

Nie mieli krepych sylwetek jak karly; byli smukli i zgrabni. Jedynie drobne dlonie i twarze o delikatnych rysach pozostawaly niczym nie osloniete. Bowiem reszte ciala okrywaly kolczugi, ktorych niewielkie, zachodzace na siebie luskowate plytki zrobiono z muszli. Helmy byly najwyrazniej albo olbrzymimi muszlami, albo wykonano je w tym ksztalcie z innego materialu z duza dbaloscia o szczegoly.

-Witam cie, krewniaku.

To pan dworu przerwal klopotliwa cisze, ktora zapadla gdy umilklo juz echo po halasliwym otwarciu drzwi. Lekko sie usmiechal, ale byl to usmieszek nieprzyjemny, skrywajacy w

kacikach ust jakas zlosliwa intencje.

Mezczyzna stojacy w drzwiach zatopil spojrzenie w jego oczach. Nie mial na twarzy usmiechu, natomiast slabo widoczne linie wokol nozdrzy i ust wskazywaly, ze jedynie ogromnym wysilkiem woli trzyma swoje nerwy na wodzy. Nadal nie wchodzil glebiej do sali.

-Nie dales znac, ze zamierzasz zaszczytic nas swoja obecoscia - ciagnal lord. - Ale w Kathal zawsze znajdzie sie miejsce dla krewniaka...

-Takie miejsce, jakie jest w An-Yak? - po raz pierwszy przybysz przemowil. Glos mial cichy, ale Briksja odniosla niezwykle wrazenie, jakby wyczuwala w sobie samej to napiecie, ktore pozwalalo mu utrzymac w karchach furie.

-Dziwne pytanie, krewniaku. Co takiego chcesz przez to powiedziec? Czy ty i twoi wodni ludzie macie jakies klopoty?

Mezczyzna w drzwiach rozesmial sie.

-Dobre pytanie, Eldorze! Klopoty, powiadasz? A czemu musisz o to pytac? Z pewnoscia dzieki swoim oczom i uszom, dzieki tym, ktorzy czytaja z wiatru i sluchaja trawy, dzieki ptakom i wszystkim innym znoszacych ci wieści i skladajacych meldunki stworzeniom wiesz juz, co sie wydarzylo.

Pan dworu potrzasnal glowa.

-Przypisujesz mi wiele mocy, lordzie Zarsthorze. Gdybym mial z tego choc czastke, nie potrzebowalbym pytac zadnego

czlowieka...

-W takim razie czemu to czynisz? - warknal Zarsthor. - Kłopoty... tak, wiemy, co to kłopoty. To coś takiego, co przychodzi od zła nam zyczących, od mających konszachty z siłami pogrążającymi człowieka w otchłaniach ciemności. Nie mam na swe usługi tylu, ilu ty możesz skrzyknąć, Eldorze, wszelako slyszalem o pewnych wezwaniach, o targach i potajemnych spotkaniach, i o innych dziwnych zdarzeniach. Powiedziano mi o Przekleństwie...

Kiedy wyrzekł to ostatnie słowo, ponownie zaległa cisza - cisza tak wielka, że aż potężniejsza od donosnego bitewnego okrzyku. Nikt spośród zebranego towarzystwa nie uczynił najmniejszego gestu. Jakby każde z nich nagle i na trwałe zamarło w bezruchu.

Milczenie przerwała kobieta w białych klejnotach.

-Przemawia przez ciebie gniew, lordzie Zarsthorze. Z porywczej mowy nie da się cofnąć nawet jednego słowa.

Pierwszy raz oderwał oczy od Eldora, zwrócił je ku niewieście, po czym natychmiast znowu wbił wzrok w lorda, jak gdyby musiał koniecznie mieć go stale na oku z jakiegoś sobie tylko znanego, bardzo ważnego powodu. Odpowiedział niewieście z pełnym szacunkiem, ale nie spojrzał na nią ponownie.

-Laskawa pani, tak, jestem zagniewany. Ale człowiek może się rozzłościć w imię prawdy i tym sposobem uzbroić przeciw niesprawiedliwości oraz nastającemu na niego złu. Moi przyjaciele też posiadają pewne moce. Na mnie... na An-Yak rzucono Przekleństwo... Jestem gotów to przysiąc przed każdym twoim ołtarzem, w pełni blasku twojego księżyca!

Kobieta obrocila glowe i popatrzyła prosto na Eldora.

-Slyszelismy tu skarge, ze na lorda i jego ziemie spadlo Przeklenstwo. To wymaga odpowiedzi...

-Nie klopocz sie, laskawa pani. - Usmiech Eldora zrobil sie drapiezny. - Czyz nie jest tak, ze to, co ma miejsce miedzy krewnymi, to sprawy prywatne, ktore rozstrzygaja oni bez posrednikow?

Do rozmowy wlaczyl sie mlody mezczyzna w szyszaku z koniem. W cieniu wyszukanego helmu jego ciemne brwi zbiegly sie tworzac gleboka bruzde.

-Pomiedzy krewnymi nikt procz zaprzysiezonego wasala nie ma prawa zabrac glosu, taki w istocie panuje obyczaj, lordzie Eldorze. Jednak Przeklenstwo nie jest blaha sprawa, zeby siegac po nie bez nalezytego zastanowienia. Odkad zebralismy sie tutaj, zadaje sobie pytanie, dlaczego niektorzy z obecnych w ogole sie posrod nas znalezli i zazywaja zaszczytow. - Skinal glowa wskazujac wyraznie na ropuche i ptaszyce siedzace przy drugim koncu stolu.

Rozszedl sie gluchy pomruk, ktory Briksja odczytala jako wedrujacy od goscia do goscia szmer potwierdzenia. Jednak ani ptaszycy, ani ropucha - jesli w ogole ich oblicza mogly wyrazic jakiegokolwiek prawdziwe uczucie - nie okazywaly najmniejszego zaskoczenia ani podenerwowania takim wyroznieniem.

W slad za coraz silniejszym pomrukiem wktrotce rozlegl sie glos zielonowlosej niewiasty, slodki i delikatny niczym wietrzyk szumiacy w rzecznej trzcinnie.

-Lordzie Eldorze, gosciom wprowadzie nie przystoi wyglaszanie podobnych uwag, jednak dzis ta ziemia jest tak goraca - sila bowiem mierzy sie z sila - ze moze byloby z twojej strony madrze zapomniec o uchybieniach nakazom grzeczności i odpowiedziec...

11

-Sluszenie, lady Lalano, nie jest uprzejmiem pytac gospodarza o porzadek uczty. Ale skoro mamy byc ze soba szczerzy... No coz, nie pada na mnie zaden cien, niczego, co zrobilem lub zamierzam zrobic nie potrzebuje ukrywac. - Jego pewnosc siebie szla w parze z wyniosloscia.-To prawda, ze istnieja wsrod nas podzialy i ze coraz gwaltowniej przybieraja one w Arvon na sile - glownie dlatego, iz nikogo nie ciekawi, czemu tak sie dzieje. Nie jestesmy jednej krwi ani jednego rodzaju, niemniej przez dlugi czas udawalo nam sie zyc obok siebie zgodnie.

Kobieta w bialych klejnotach powstala. Briksja wyczula, ze pod jej spokojna twarza kryje sie zamiar upomnienia mowcy. Wyciagnela przed siebie reke. Trzymajac ja pomiedzy adwersarzami zaczela poruszac palcami w sposob, ktorego obserwujaca wszystko z gory dziewczyna nie byla w stanie sledzic. Niepojete bylo to, ze owe ruchy pozostawialy jakis nakreslony w powietrzu znak, jak gdyby plonal tam bialy ogien, nie majacy zadnego widocznego zrodla.

Ta biel byla poczatkowo nieskazitelna niczym swiatlo letniego ksiezycyca w pelni. Potem zaczela ciemniec, jakby do znaku przesaczala sie skads krew - zeby go splamic i zepsuc. Z rozowego robil sie wciaz ciemniejszy, choc nadal jego zarysy pozostawaly nienaruszone i wyrazne.

Wreszcie stal sie calkowicie szkarlatny. Ale prawdziwa zmiana jeszcze sie nie dokonala. Ciemnial coraz bardziej, az doszedl do czerni, ktora w koncu osiagnela pelnie... Wowczas poczal sie skrecac, jakby to, co zaszlo, przynioslo jakas niesamowita udreke zyjacym i odczuwajacym bol pierwiastkom.

Tak wiec znak byl teraz czarny i zarazem ulegla przemianie cala jego natura. Postacie otaczajace biesiadny stol patrzyly na to wszystko z ponurymi minami. Byly coraz bardziej wzburzone i zaniepokojone. Jedynie ptaszycy i ropucha sprawialy wrazenie calkowicie spokojnych i obojetnych.

Nawet Eldor zrobil krok do tylu i zastygl z na wpol uniesiona reka - jakby chcial ja wyciagnac przed siebie i wymazac z pola widzenia owa plame, ktora jarzyla sie posepnie w wypelniajacym sale powietrzu. Po chwili wszakze opuscil dlon. Przybral srogi wyraz twarzy.

Wszyscy zgromadzeni w sali zdawali sie wstrzymywac oddech oczekujac na jakas katastrofe. Jednak nie Eldor przerwal te cisze. Zrobila to kobieta, ktora nakreslila znak.

-Niech sie stanie... - Jej trzy slowa zabrzmialy jak wyrok, ktorego ogloszenie moze zmienic losy calych narodow.

Najwyrazniej w odpowiedzi na to haslo wiekszosc towarzystwa wstala z miejsc, zwracajac ku Eldorowi skupione i oskarzycielskie spojrzenia. Ale on trzymal glowe wysoko i patrzyl na nich wyzywajaco, oslaniajac sie w ten sposob przed nimi niczym zbroja, ktora mial na sobie.

-Jestem panem Varr. - On rowniez mowil z emfaza, nadajac

słowom podwójne znaczenie.

Kobieta w białych klejnotach pochyliła nieco głowę.

-Jestes panem Varr - zgodzila sie z nim obojetnym tonem. - Oto potwierdzasz swoje władanie. Ale lord ma rowniez zobowiazania wobec ziemi, na strazy ktorej stoi.

Pokazal zeby w jadowitym uśmiechu.

-Tak, posiadanie dobr to brzemie, za ktore trzeba ponosic odpowiedzialnosc. Nie mysl, laskawa pani, ze nie zastanawialem sie nad tym wczesniej...

-...zanim sie zwiazales z nimi! - Zarsthor postapil kilka krokow w glab sali. Trzymal wzniesione ramie, jakby zamierzal cisnac włoczni, ktorej wcale w reku nie mial. Jednoczesnie wskazujacym palcem wytykal ropuche i ptaszyce.

-Powiedzialem, ze wyrownam z toba rachunki, krewniaku! - odparl opryskliwie Eldor. - Sciagnales na mnie hanbe. Teraz gorsza jeszcze okryje ciebie i twoja ziemie, i to rybie plemie, z ktorym sie kumas! Zjadacze plugastwa, ktorzy gniezdzicie sie w szlamie - uragacie swiatu! - podniosl glos prawie do krzyku. - Znieslawiles imie twego Domu i skalales nasza krew...

Podczas gdy furia Eldora przybierala na sile, twarz Zarsthora stawala sie beznamietna i spokojna. Wojownicy w luskowatych pancerzach, ktorzy weszli za nim do sali, przysuneli sie, otaczajac go ciasniej. Ich prawe dlonie zblizyly sie do rekojesci tkwiacych w pochwie mieczy. Briksja zauwazyla, ze przybysze rozgladaja sie bystro na wszystkie strony, jakby spodziewali sie

wrogow mogacych zaatakowac ze scian.

-Powiedz lepiej - odezwal sie Zarsthor, gdy tamten zrobil przerwe na nabranie oddechu - z kim ty sie zadales. Jaka cene zaplaciles za Przeklenstwo? Moze bylo nia zrzeczenie sie Varr...?

-Aach! - odpowiedzia byl ryk slepej wscieklosci. Uwage Briksji bardziej przyciagnal jednak jakis ledwo zauwazalny ruch na koncu stolu.

To ptaszycy wznioslszy kielich zaczela z napieciem wpatrywac sie w jego wnetrze. To, co tam widziala, musialo byc dla niej w owej chwili znacznie ciekawsze niz wymiana zdan miedzy dwoma lordami. Gwaltownie schylila glowe. Briksja nie umialaby powiedziec, czy odrazajace usta zanurzily sie w cieczy, czy przeciwnie, napluly do niej. Naraz blyskawicznym ruchem ptaszycy odepchnela puchar na srodek stolu - tak aby zatrzymal sie on przed krzeslem Eldora.

Wtedy pojawil sie blysk... Czy plomien moze byc czarny? Buchnal, kiedy kielich rozbil sie o stol, a dokola bryznela jego zawartosc. Podniosly sie krzyki. W zamecie zdazano do drzwi, aby byc jak najdalej od strzelajacych na boki czarnych plomieni.

Nawet Eldor cofnal sie chwiejnym krokiem, oslaniajac reka twarz. Rowniez inni - zielona dama i cala reszta - nie zwlekali z uciezka, gdyz ogien rozpuscil swoje jadowite jezyki, jakby chcac ich nimi wysmagac.

Plomienie byly coraz ciemniejsze i siegaly coraz wyzej. Zaslanialy Briksji widok. Mignelo jej tylko kilkoro czmychajacych przez drzwi gosci, Zarsthor oraz wymieszani z tamtymi czlonkowie jego swity

w muszlowatych helmach.

W pewnej chwili Briksja zauwazyła, że trzymane w dłoni pudełko - to, które dała jej Uta - było teraz ciepłe, nie, gorące i paliło prawie aż do bólu. Wciąż jednak nie mogła rozluźnić palców i upuścić go na ziemię.

Sala zniknęła razem z czarnym ogniem. Dziewczyna tkwiła uwięziona w szarej niczności. Poczula, że robi głębokie wdechy, jakby było tam niewiele powietrza - za mało, żeby wypełnić płuca.

Nagle szarość przemieniła się w splachetek ziemi jałowej, pokrytej bruzdami, ale nie takimi, jakie pozostawia socha oracza. Nie, to jakby raz za razem posiekał rolę jakiś potężny miecz, ostra głownia wypędzając wszelkie pozostałości życia z wysuszonej, ogolocoonej gleby.

Nieco dalej zaczęła unosić się mgła, odsłaniając coraz większą część tej spopielalej, wyniszczzonej ziemi. A jednak Briksja jakimś cudem wiedziała, że niegdyś była to piękna kraina, zanim nie położył się na niej cień. Dostrzegła powywracane kamienne bryły, omszałe ze starości, z niewyraźnymi smugami - śladami pożaru. Domyslała się, że dawnymi czasy stała tutaj potężna wieża, piękna i wyniosła.

Nagle - spoza zasłony mgły, która ustąpiła tylko trochę - wylonili się dwóch mężczyzn. Otaczał ich wyraźny obłok. Briksja rozpoznała w nim nienawistę, która wgryzła się do ich serc i toczyła je, czyniąc spustoszenia, dopóki jeszcze w obu przeciwnikach tliło się życie. Wszelako ziemia ta nie należała do ich świata (Briksje zastanowiło przez chwilę, skąd wie także i o tym), była raczej piekłem, które sami sobie zgotowali. Nieważne,

po czyjej stronie stalo prawo, kiedy to wszystko sie zaczelo. Teraz obaj byli splamieni, skalani wojna, ktora ich spetala; targani desperacja i wsciekloscia zwracali sie w strone Mroku, kiedy Swiatlosc nie dawala im wsparcia. Znalezli sie w matni - skazani na wedrowke po swoim piekle.

Ich kolczugi byly pociete, z rdzawymi plamami krwi. Mimo ze u bokow kolebaly sie pochwy, obaj nie mieli mieczy. Jedyna bronia, jaka im pozostala, byla wlasnie nienawisc.

W pewnej chwili jeden z nich podniosl reke i cisnal w strone swego adwersarza kule przemocy stopiona z furii i nienawisci. Roztrzaskala sie o pancierz na piersi tamtego sypiac deszczem ciemnych iskier. Uderzony zachwial sie i dal krok lub dwa do tyłu, ale nie upadl.

Klasnal w dlonie. Nie towarzyszył temu zaden dzwiek. Jednak czlowiek, ktory rzucil kule, zakolysal sie caly jak mlode drzewo w gwałtownym podmuchu zimowej nawałnicy.

Briksja, wbrew swej woli, ruszyła naprzód, aż znalazła się w polowie drogi między nimi dwoma. Powoli obrocili głowy, toteż mogła zobaczyc ich twarze zacienione poobijanymi szyszakami. Były zwiedle, naznaczone niepohamowanym gniewem, a jednak rozpoznała w nich oblicza Eldora i Zarsthora - zapamiętanych w nienawisci.

Obaj trzymali wyciągnięte przed siebie rece, jednak nie w gescie blagalnym, tylko nakazujacym. Kiedy odezwali sie rownoczesnie, zabrzmialo to dla niej jak pojedynczy ostry rozkaz:

-Przeklenstwo!

Nie rozplyneli sie jak tamci wtedy - zbojca, ropucha... Uta...
Przeciwnie, ich sylwetki byly nawet wyrazistsze i jakby bardziej jaskrawe. Poniewaz Briksja nie zareagowala, Eldor znow sie odezwal:

-Mowie ci, daj mi je! Jest moje, napracowalem sie nad nim.
Zawarlem pakt ze strona, ktorej nie dowierzalem - duzo mnie to kosztowalo! Jesli nie ustapisz dobrowolnie, wysle wezwanie i to, co przybedzie mi na pomoc, postapi z toba wedle twego wyboru, poniewaz wszystko zalezy teraz od ciebie!

Zarsthor mowil rownie napastliwym tonem.

-Jest moje! Powstalo na zgube moja i wszystkich tych, ktorzy stoja u mego boku. Z tytulu samego prawa Mocy musze teraz koniecznie je unicestwic, a jemu... a jemu oddac to, co wywolal, by mnie przeklac. Musze je miec!

Puzderko w reku Briksji znow sie rozgrzalo. W drugiej dloni trzymala kwiat. Odniosla dziwne wrazenie, ze oba przedmioty mialy spory, a przy tym taki sam ciezar, i ze ona zostala wyznaczona, by spelnic role wagi. Nie rozumiala tego rodzaju sadu, nie znala racji stron. Jeden z mezczyzn, Eldor, przerazal ja. Slowa Zarsthora mozna bylo uznac za usprawiedliwianie sie i obrone.

-To moje dzieło!

-A moja walka!

Krzyczeli jeden przez drugiego.

-Dlaczego? - To jej pytanie najwyraźniej ich zaskoczyło. Jak mogła mieć nadzieję, że wyda sprawiedliwy wyrok, skoro tak niewiele wiedziała o sprawie, która rzuciła ich sobie do gardel?

Przez chwile milczeli. Następnie Eldor zbliżył się do niej o krok. Wyciągał ręce, jakby gotów odebrać jej puzderko siła, gdyby zaszła taka konieczność.

-Nie masz wyboru - rzekł do niej zapalczywie. - To, co przywołam, z pewnością odpowie na mój zew. I stanie się twoim przekleństwem!

-Oddaj mu to, skoro jesteś bojaźliwa! Ale w ten sposób nigdy się nie dowiesz, jak cześnie mogą być jego groźby - wtracił się Zarsthor. - Oddaj mu, a będziesz odtąd wędrować w cieniu strachu aż po kres twego życia - a nawet i później! Tak jak teraz my dwaj musimy krążyć tutaj z powodu tego Przekleństwa!

Puzderko i kwiat...

Briksja oswobodziła się wreszcie spod petających ją jeszcze przed chwilą spojrzeń. Opuszcza wzrok na obie dłonie i trzymane w nich, niby na szalkach wagi, przedmioty.

Puzderko było otwarte! W środku leżał wcisnięty między ścianki owalny kamień; na jego powierzchni pulsowało słabe światło. Było szare jak smuzka cienia - gdyby cień i światło mogły być jednością. Kwiat również się otworzył, najszerszej jak tylko mógł; światło, którym promieniał, nie było czysto białe jak zawsze dotąd, ale jarzyło się zielenią, łagodną i kojącą dla oczu.

-Otoż i Przekleństwo - rzekła przeciągając słowa. - Dlaczego

jestes jego sprawca, Eldorze... szczerze, dlaczego?

Mial srogi, zawziety wyraz twarzy.

-Bo musze zalatwic porachunki z moim wrogiem.

-Nie - Briksja pokrecila glowa. - Nie jest tak, ze musisz, tylko to wlasnie wolisz! Czy nie mam racji? A dlaczego on jest twoim wrogiem?

Surowa mina stala sie jeszcze bardziej nieprzyjemna.

-Dlaczego? Bo... bo... - wreszcie ucichl i Briksja zobaczyła, ze przygryzl dolna warge.

-Czyzbys juz nie potrafil sobie przypomniec? - spytala, gdy on ciagle nie znajdowal slow.

Popatrzył na nia groznie spod sciagnietych brwi, ale nie odpowiedzial. Zwrocila sie do Zarsthora.

-Czemu znienawidzil cie do tego stopnia, ze az musial uczynic taka zla rzecz?

-Ja... ja...

-Ty takze nie pamietasz. - Tym razem nie bylo to pytanie. - Ale jesli nie wiecie juz, dlaczego jestescie wrogami, jakie ma wlasciwie znaczenie, w czyich to rekach znajduje sie Przeklenstwo? Przestalo byc wam potrzebne, czy nie taka jest prawda?

-Jestem Eldor. Przeklenstwo nalezy do mnie i wykorzystam je

tak, jak bede uwazal za sluszne!

-Jestem Zarsthor, i Przeklenstwo sciagnelo na mnie to... -
wyciagnal wymownym gestem rece i zaciskajac dlonie w piesci pokazal na rozposcierajaca sie wokol naga ziemie.

-Jestem Briksja - rzekla dziewczyna - ale wypowiadam sie w imieniu czegos, co we mnie zamieszkal; a ow gosc mowi: Niech sie stanie tak oto!

Uniosla kwiat powyzej puzderka sprawiajac, ze blade zielonkawe swiatlo padlo na szary kamien.

-Mocy zniszczenia i ty, mocy rozwoju i zycia. Przekonajmy sie teraz, ktora z was jest gora - chocby tutaj!

Szara smuzka na kamieniu znieruchomiala. Pokryla powierzchnie niczym sztywna skorupka. Powloka ta, wciaz skapana w swietle, nagle pekla i rozpadla sie odslanjajac nowy blask. Tymczasem kwiat z wolna przygasal, a jego platki zblizyly sie do siebie i zaczely wiedzniec. Briksja chciala odsunac go poza zasieg niszczyielskiego dzialania kamienia, ale jej dlon nie okazala posluszenstwa. Kwiat coraz bardziej usychal, a kamien jarzyl sie i pulsowal swiatlem. Smiertelna szarosc - barwa tej ziemi-pulapki - ustapila. Teraz w jadrze kamienia tkwil zielony ognik, ziarno gotowe moze rozbic ochronny pancierz i zapoczatkowac nowe zycie.

Wszystko, co zostalo z kwiatu, to kupka suszu, kruchy szkielecik roslinki. Po chwili nie bylo juz nawet tego. Dlon zostala pusta. Ale spoczywajace w drugiej rece puzderko rowniez rozpadalo sie, przestawalo oslaniac kamien. Stopniowo kruszylo sie w proch.

Kamień tracił ciepło. Jeśli zatrzymała się w nim jeszcze jakakolwiek energia, tkwiła głębiej niż Moc w kwiecie. Jego piękno przejęła Briksje groza. Podniosła wzrok i popatrzyła na Eldora, a potem przeniosła spojrzenie na jego krewniaka.

Wyciągnęła dłoń z kamieniem ku Eldorowi.

-Pragniesz go teraz? Przypuszczam, że to już nie to samo, co swego czasu było twoim dziełem, ale może chciałbys?

Twarz wygładziła mu się, z czoła zniknął mars i wiele surowo wyglądających bruzd, które postarzały go i szpecily. Nadal były z jego oblicza dostojenstwo i siła władzy, ale w ślad za nimi - również poczucie wolności. Zaszpeciły mu się oczy, jednak pośpiesznie cofnął rękę, kiedy Briksja zbliżyła się doń z kamieniem.

-Nie nasyca już go żadna przyznana mi Moc. Nie mam prawa domagać się dłużej jego zwrotu.

-A ty? - Briksja podsunęła teraz kamień Zarsthorowi.

Pochłaniał go wzrokiem i nie odrywając oczu odparł:

-Miał być moim Przekleństwem, ale nie, to nie to. Zielona magia oznacza życie, nie śmierć. Mimo że za sprawą tego, czym niegdys ten przedmiot był, dotknęła mnie śmierć, nie mogę go zniszczyć, jak uczyniłbym to z Przekleństwem, rozpuszczając po świecie całe zamknięte w nim zło. Jest twój, pani. Czyn z nim, co chcesz. Bowiem...- podniósł głowę i rozejrzał się; twarz miał spokojną, zdradzającą ogromne zmęczenie. - Zbroja, która krepowała nas w świecie, jaki sobie stworzyliśmy, popekała. Czas

na odpoczynek.

Obaj odwrócili się od Briksji. Ruszyli razem, ramie przy ramieniu. Tak, jakby od lat byli towarzyszami broni, a nie śmiertelnymi wrogami, pomaszerowali im tylko widoma droga, prosto we mgle.

Briksja trzymała kamień w łodce złożonych dłoni. Rozejrzała się dookoła, jakby przebudzona z jakiegoś zajmującego snu. Narastał w niej nowy niepokój.

Miała bowiem przekonanie, iż znajduje się w strefie, która nie należy ani do czasu, ani do świata, jakie dotąd знаła. Jak mogłaby wrócić na swoje miejsce? Czy to w ogóle wykonalne? Z nasienia niepokoju zrodził się popłoch. Wykrzyknęła:

-Uta! Dwed! - I w końcu: - Marbon!

Potem zaczęła nasłuchiwać, mając nadzieję, wbrew wszelkiej nadziei, że doczeka się odzewu i wskazówki. Krzyknęła ponownie, tym razem donośniej, tylko po to, by - gdy już ucichł jej głos - usłyszeć w odpowiedzi milczenie.

Imiona, jak powszechnie było wiadomo, miały własną moc. Stanowiły cząstki istot, które je nosiły - niczym skóra, włosy albo zęby. Nadawano je w godzinie narodzin i od tej chwili mogło im zagrażać zło, ale i same mogły wspierać dobro. Teraz szukała w nich pomocy. Jednak tych dwóch, których Briksja zawołała, nie przyznało się do żadnych z nią więzi, albo może nie mieli oni ochoty pomagać, zaś trzecie imię należało do zwierzęcia, czyli istoty innego rodzaju niż człowiek. Chyba zatem nie było dla niej ratunku.

Briksja podniosła złączone dłonie i wbiła wzrok w kamień. Był rzeczywiście przedmiotem magicznym. Zgodnie z tym, co oznajmił Eldor (lub obecna tutaj część jego jestestwa) i co potwierdził Zarsthor, powstał, żeby nieść zło. Ale jego zła moc została w jakiś sposób unicestwiona przez kwiat. Czy mogłaby jej teraz służyć, jej, która nie miała władzy nad żadną siłą ani umiejętnością Madrej Kobiety?

-Uta - tym razem nie wołała we mgle, ale imię to wypowiedziała cicho, zwracając się do kamienia. - Uta, jeśli choć trochę cię obchodzi... jeśli chciałabyś dla mnie dobrze... Uta, gdzie jesteś?

Kamień zaczął wydzielac delikatne pulsujące światło. Po chwili bardziej intensywne światło wytrysnęło z jego jądra i rozlało się szeroko. Briksja wciąż nie przestawała myśleć o Ucie.

Z ciemnej plamy wyrosły sterczące uszy, otworzyły się w niej też szparki oczu - stała się lepkiem, który wkrótce oderwał się od powierzchni kamienia. Briksja, prawie niczemu się już nie dziwiąc, przykucnęła i zwiesiła dłonie tuż nad ziemią. Z kamienia powstała filigranowa, trójwymiarowa podobizna kota. Kiedy w pełni się już ukształtował, zeskoczył na ziemię.

Mgła, która - odkąd Eldor i Zarsthor odeszli - klebiła się coraz natrętniej, ustąpiła z miejsca, gdzie stał kot. Figurka Uty podniosła głowę i spojrzała na dziewczynę otworzywszy malutkie pyszczek. Ale jeśli nawet zamiauczała, Briksja nie usłyszała żadnego dźwięku. Po chwili kot zerwał się do biegu i dziewczyna pognęła za nim.

Obłok mgły zawirował, osnuwając Briksję do kolan. Jednak nie ukrył przed jej wzrokiem kota - nadal otaczała go przesuwająca

sie razem z nim wolna przestrzen. Dziewczyna z trudem nadazala za ta pedzaca coraz szybciej sylwetka, ktora najprawdopodobniej byla tylko zluda.

Briksji trudno byloby powiedziec, jak daleko zapuscila sie za kotem w glab spowitej mgla ziemi. Nagle przewodnik zwolnil i - ku jej rozpaczy - zaczal znikac.

-Uta! - wrzasnela. Mogla przejrzec na wskros drobne cialko, ktore szybko rozplywalo sie we mgle.

Briksja padla na kolana. Bez Uty byla zgubiona - a teraz jej podobizna prawie zniknela. Pozostal jedynie zarys we mgle. Gdybyz mogla to jakos cofnac! Przeciez kiedy zawolala jej imie i skupila cala uwage na kamieniu, Uta pojawila sie. Ale moze moce wladajace kotem nie mialy dosc sily, by utrzymac go tu az do spelnienia misji.

A co z Marbonem, z Dwedem? Zanim znalazla sie w tej matni, mezczyzna byl wobec niej nastawiony wrogo, natomiast mlodzieniec zostal usidlony przez czary. Nawet gdyby udalo sie jej dotrzec do nich obu, czy moglaby miec nadzieje na jakakolwiek pomoc z ich strony? Dwed... Marbon... Ktorego z nich wybrac? Kiedy ostatni raz widziala mezczyzne, byl wolny, jesli nie brac pod uwage nie dajacej mu spokoju obsesji. Briksja podniosla kamien do oczu.

-Marbon! - zawolala.

Jadro kamienia nie pociemniadlo ani nie pojawil sie zaden inny znak, ktory swiadczylbym, ze jej wezwanie dotarło do mezczyzny, niezaleznie od tego, czy mial odpowiedziec na jej prosbe, czy

nie.

-Marbon! - Uchwyciła się tej ostatniej nadziei. Coś wprawdzie drgnęło w kamieniu, ale niesmiało. Nic się w nim nie zamajaczyło. Jednak kiedy w rozpaczy opuściła rękę, znowu ujrzała niedaleko od siebie Ute!

Dobrze widoczna, większa niż poprzednio, pozornie cielesna, spoglądała na dziewczynę zniecierpliwiona, otwierając i zamykając pyszczek w bezgłosnych miauknięciach. Briksja skoczyła na równe nogi, gotowa natychmiast za nią podążyć. Czy to Marbon jakimś sposobem tchnął w kota siłę? Nie miała pojęcia, ale fakt, że Uta znowu przy niej była, napelnił ją otuchą.

Uta pusciała się biegiem, a Briksja za nią. Dziewczyna czuła, że kot ją ponagla. Wtem...

Z mgły wynurzył się potężny, ciemny słup, a wyrosł przed nimi tak niespodziewanie, że Briksja nabrała podejrzeń, iż wcale nie stał tam od dawna, tylko pojawił się nagle, by zastąpić jej drogę. Uta stanęła na tylnych łapkach, przednimi drapiąc jego powierzchnię; najwyraźniej naklaniała dziewczynę do wspinaczki.

Briksja schowała kamień za koszulę, a następnie próbowała wyszukać na słupie jakies punkty oparcia dla palców rąk i stóp. Uta przepadła. Nie rozmyślała się powoli we mgle jak poprzednio, tylko po prostu znikła w okamgnieniu.

Briksja wymacała na powierzchni słupa nierówności, których nie zdołała wcześniej wypatrzeć. Z trudem rozpoczęła wspinaczkę. Chwyty okazały się niewielkie i im wyżej się znajdowała, tym mozolniejsza była to droga. A jednak pokonywała wysokość -

wystarczyło, by miała o co oprzeć kilka palców.

Wolała nie patrzeć w dół. Palce bolały ją i zaczynały dretwieć. Przyłgnięte do słupa ciało naprezało się do granic wytrzymałości. Za gardło pochwycił strach. A ona była wciąż wyżej i wyżej.

Jak długo to trwało? W tym miejscu czas się nie liczył - chwile mogły rozciągać się w dni, nawet w miesiące. Ponad jej głową słup ciągle wznosił się ku niebu, a wierzchołek skrywała zasłona mgły - jeśli w ogóle istniał jakiś wierzchołek!

Briksja doznała w końcu uczucia, że nie zdoła już znaleźć kolejnego oparcia dla dłoni. Bol ramion był nie do wytrzymania. Do góry, jeszcze do góry! Nie mogła jednak podnieść ręki, wymagało to zbyt wielkiego wysiłku. Za chwilę odpadnie i runie w dół; pochłonie ją mgła i taki będzie jej koniec.

-Uta! - wydała chrapliwy szept, nie mając nadziei na odpowiedź.

12

Z mgły przesłaniającej to, co znajdowało się powyżej, wysunęła się... ogromna łapa! Tuż nad sobą Briksja ujrzała wystawione długie i przerażająco wykrzywione pazury. Łapa opuszczała się groźnym, kolyszającym ruchem. Briksja z rozpaczą przyłgnęła do słupa. Ale nie miała już dość sił. Pazury zahaczyły o koszulę na karku i oderwały dziewczynę od trzonu kolumny, po czym uniosły ponad pulap mgły. W górę... i w dół... bo zaraz została wypuszczona i upadła, ocierając sobie ramie o kamień. W uszach rozbrzmiewało jej nieprzytomne wycie. Nadal miała koło siebie słup. Ale nie tamten, na który się wspinała. Ten był mały, mogłaby go objąć. Tworzył postument, na którego szczycie

siedziała Uta - właściwych sobie rozmiarów Uta. Kotka spoglądała w dół, a tymczasem Briksja spostrzegła, że jest z powrotem w swoim czasie i w swojej przestrzeni.

Znajdowała się w znanej już komnacie, w zatopionej niegdys budowli. Ale teraz muru i stropu nie dławily mgielne pncza. Zielononiebieskie ściany lśniły jak świeżo wyszorowane. Na podłodze, nie opodal miejsca, gdzie przycupnęła, leżał Dwed, a jego głowę i barki podtrzymywał lord Marbon!

Twarz mężczyzny nie była zgaszona, kiedy oszolomiony patrzył na Briksję znad ciała młodzieńca. Marbon nie znajdował się teraz pod wpływem zadnej mocy. Dziewczyna wyczuła, że wróciła mu pełnia człowieczeństwa. Jego własny umysł otworzył się i pozwolił mu wyjść z cienia, a także uwolnił lorda od obsesji, która była jego jarzmem.

-Dwed... umiera... - Tylko tak ją powitał. Nie zachowywał się jak ktoś, kto miał coś wspólnego z tym, co jej się przydarzyło. Z oczu wycierał mu strach - wiedziała, że nie o siebie, ale o młodzieńca.

To, co powiedział, mogło być prawdą, ale dziewczyna nie była skłonna pogodzić się z tak pełnym desperacji wyrokiem. Nie wstała, tylko podpełzła bliżej na kolanach. Wciąż czuła ogromne zmęczenie po wspinaczce. Kiedy dotarła do tamtych dwu, pogmerała chwilę za koszulą i wyciągnęła kamień.

-To przedmiot magiczny - rzekła z wolna. - Nie wiem, jak go użyć, ale gdy trzymając go zawołałam Ute, kotka odpowiedziała. Wołałam także na ciebie. Słyszales?

Zmarszczył brwi.

-Miałem... to był chyba sen... tak myśle.

-To nie sen. - Jej złączone dłonie drżały, gdy zamknęła w nich kamień. - Może... może jeśli Dwed nie oszczędził zbyt daleko, może jego także da się wezwać. Popatrz na to, panie, i zawołaj swego wychowanka! - Jej słowa zabrzmiały ostro niczym rozkaz. Podsunęła mu kamień przed oczy i trzymała nad ciałem Dweda.

Ponieważ nie pozostawiła mu wyboru, mężczyzna obrócił na kamień skupione spojrzenie. Znowu zrobił się ospały, twarz ściagnęła mu się i zmartwiała, postarzała na podobieństwo oblicza Zarsthora z tamtego świata. Umysł i duch Marbona pewnie również stoczyły długą walkę - tylko oczy wydawały się żyć.

Briksja wahała się. Dwed nie był ani jej przyjacielem, ani poddanym. Czy sformułowane w jej myślach wezwanie zdoła do niego dotrzeć? Czy jest wystarczająco silna, żeby zatrzymać go w pochodzie do cieni, które otaczały Ostatnie Wrota? Ale jeśli taki zew rzucił też Marbon, czy nie mogłaby w jakiś sposób go wspomóc, udzielając dodatkowego wsparcia własnej woli?

-Zawołaj! - nakazała ponownie. Jednocześnie skupiła się jak tylko potrafiła najbardziej i nakierowała swą wolę nie na nieruchome, ledwo oddychające ciało, ale na jądro kamienia, który trzymała tak, że prawie dotykał piersi młodzieńca.

-Zawołaj Dweda!

Być może Marbon to uczynił - niemo. Czy to kamień wciągnął Briksję w taką sferę bytu, gdzie nie dochodził głos? Dziewczyna - albo jej cząstka mieszcząca silną wolę i najskrytszego ducha -

została porwana, zagarnięta. Wcale jednak nie z powrotem tam, gdzie panowały mgły, skąd wyniosła odmienione Przekleństwo. Nie, to miejsce - ciemniejsze, bardziej przerażające, zimne, posepne - było siedliskiem rozpaczy.

"Dwed!" Teraz powiedziała to imię w myślach, nie ustami. Zdawało jej się, że owa bezgłosna myśl zabrzmiała niczym okrzyk rozkazu.

W dol... Briksja odnosiła wrażenie, jakby pograżała się w ten głuchy świat głebiej i głebiej. Naraz wokół niej zawirowało ciemnozielone światło, ale nie uczyniło nic, by złagodzić jej lek.

"Dwed!" Tym razem nie był to twór jej myśli. Ale kiedy zawołanie do niej dotarło, pospiesznie je powtórzyła. Rozciągnęła się przed nią linia głębokiej zieleni, sznur, wzdłuż którego miarowo mieniła się barwa - raz jasna, to znow ciemna. Drugi koniec sznura pozostawał w ukryciu. Briksja słyszała, że ludzie czasem widzą coś oczyma duszy, ale nigdy nie wierzyła, że to rzeczywiście możliwe.

-Dwed!

Naprezony sznur zatrzeszczał. Trzeba było ratować... Ciagnąć... Ale nikt nie mógł go dotknąć. Bowiem tam, gdzie nie istniała cielesność, nie było również reki.

Briksja zanurzyła się w sobie, usiłowała zapanować nad tym nowym uczuciem, nad tą świadomością, o której nie miała pojęcia, że może jej doświadczyć - której nie rozumiała.

"Dwed!" Znow cudzy głos. Albo myśl.

Choc sznur wciaz byl napiety, trwal nieruchomo. Musi istniec jakies wyjscie! W przeszlosci Briksja zaznala chwil, kiedy ciało, kosc i krew wycienczone byly prawie na smierc. Teraz musi doprowadzic do takiego stanu druga polowe siebie.

Przypominalo to uzycie nowego narzedzia lub broni, z ktorymi nie wiadomo jak sie obchodzic, wiec zamiast doswiadczenia musi wystarczyc desperacja i palaca potrzeba.

"Dwed!" Tym razem to ona zawolala. I zdalo sie, ze imie oplotlo sznur, pogrubiajac go i wzmacniajac. Z zewnatrz naplynela fala innej jeszcze, obcej sily. Przez chwile Briksja wzdragala sie przed polaczeniem. Wkrotce jednak poczula, ze tylko wspolne dzialanie moze przyniesc zwyciestwo i ustapila.

Odcignac... Odcignac ten sznur, umozliwic Dwedowi powrot! Byc dla niego nie tylko ostatnia deska ratunku, ale i przygotowac mu droge ucieczki.

Sznur... W zywym obrazie, jaki przedstawial sie oczom jej duszy, zaszla zmiana. Wzdłuż sznura zaczely przebijac sie male, zielonozlote listki, polyskujace niczym szlachetny metal. Teraz bylo to pnacze... Wiedziala juz, co uczynic!

Chwycila mysla pnacze tak mocno, jak zrobilyby to ochocze dlonie. Ciagnac...

"Dwed!"

Pnacze przesuwalo sie listek po listku, stopniowo sie cofajac. Szarpnac!

"Dwed!"

Pnacze zniknelo; chlod i ciemnosc prysly, jakby rozsadzilo od wewnatrz jakas banke. Znow otaczala Briksje jasnosc, znow byl to jej czas i jej miejsce. Dwed nadal spoczywal w ramionach lorda Marbona. Twarz mlodzienca powlekala bladosc. Na jego oblicze padalo zielone swiatlo kamienia, co sprawialo wrazenie, jakby smierc zlozyla juz na nim swoj pocalunek.

-Dwed! - Marbon ujawszy mlodzienca za podbrodek dzwignal jego glowe.

Zatrzepotaly rzesy. Usta rozchylily sie wydajac leniwe westchnienie. Z wolna podniosly sie powieki. Ale oczy byly puste, zamglone.

-Zimno - wyszeptal niewyraźnie. Jego oslablym ciałem wstrzasnal dreszcz. - Tak bardzo zimno...

Rece, w ktorych Briksja wciaz trzymala kamien, drzaly. Pod wplywem odruchu, a takze dlatego, ze tracila juz sily, umiescila Przeklenstwo na piersi Dweda, po czym roztarta jego calkiem miakkie dlonie. Ciało miał wilgotne i lodowate.

-Dwed! - Marbon wykrzyknal jego imie, gdy oczy mlodzienca znow sie zamknely. - Nie opuszczaj nas, Dwed!

Mlodzieniec ponownie westchnal. Obrocil nieco glowe na ramieniu pana i teraz twarz miał na wpol ukryta.

-Dwed! - tym razem byl to jeden wielki okrzyk strachu.

-Spi... nie odszedl. - Briksja bardziej przewrocila sie do tym, niz odsunela. - Naprawde, znowu jest z toba.

Z toba, pomyslala. Nie z nami. Jaka teraz miala odegrac role w ich zyciu?

-Tylko dzięki twojej łasce i życzliwości. Madra Kobieta. - Marbon ostrożnie ułożył młodzieńca na podłodze.

Briksja widziała już różne twarze tego mężczyzny: zobojeźniała, rozwścieczona, ogarnięta obsesją poszukiwania. Ale teraz wyglądał on jakos zupełnie inaczej. Nie potrafiła

rozpoznać, co czai się w jego oczach. Odczuwała zbyt wielkie osłabienie, zanadto strudzony był jej umysł i ciało.

-Nie jestem... Madra Kobieta... - mówiła powoli i dobitnie, cierpiąc przejmujący ból z powodu zmęczenia.

Uta napierała na nią mrużąc i ocierając się głową o jej ramię w jednej ze swoich najczęściej znaczących pieszczot. Dziewczyna wyciągnęła rękę po Przekleństwo, ale znieruchomiała w połę gestu. Napłynęła bowiem fala ciemności i porwała ją ze sobą.

Spoczywała w wonnym gniazdku z kwieciami, które otaczało ją swą obfitością. Inne kwiaty zwisały się z obejmujących ją kłębami galezi. Widziała tylko perłowobiałe płatki i skończoną doskonałość ich rysunku. Pomiedzy nimi wily się jasnozielone pnacze. Briksja pomyślała sennie, że szelest, jaki dociera do jej uszu, to zmieszany szept kwieciami i pnaczy.

Szept ten stawał się coraz głośniejszy, a wraz z nim slychac było dźwięk przypominający łagodne tony lutni. Kwiaty i pnacze spiewały:

Ziemia Zarsthora zdjeta snem

Jalowych pol, strzaskanych bram -

Po latach nikt nie zgadnie, ze

Wladal nia kiedys mozny pan.

Haniebnej pychy oto targ:

Blask luny, szept zsinialych warg.

Gwiazdy migoca w tancu swym.

A znaczy to, ze dojrzal czas.

Z groznym wyrokiem nocy dzis

Ponownie staja twarza w twarz.

Ze wstydem, nie zalujac mestwa

Zlamano moc tego Przeklenstwa.

Pola zielenia sie wsrod wzgorz.

Krzywdy juz dawno postarzaly.

Kto podda ziemie pieczy dnia,

Otrzyma w darze pokoj trwaly.

Byly to same tylko rytmiczne dzwieki, w niczym nie przypominajace wygladzonej ballady barda. Kwiaty kolysaly sie w

ich takt, a listowie pnaczy szelescilo i falowalo. Briksja wreszcie zamknela klejace sie powieki, zadowolona, ze moze odpoczac w tym pachnacym upojnie lozu, oddalonym od mozolu, strachu i bolu. Ale poprzez piesn i tony lutni dobiegl ja przynaglajacy glos:

-Briksja!

Kto podda ziemie pieczy dnia,

Otrzyma w darze pokoj trwaly.

-Briksja!

Otworzyła z powrotem oczy. To nie był jej zakątek spokoju i kwiatów. Leżała pod gołym niebem. Kiedy odruchowo poruszyła rękami, wyczuła, że po bokach i pod palcami ma miękka trawę, ścieta i usypana w posłanie. Nie była sama. Po prawej stronie siedział ze skrzyżowanymi nogami lord Marbon, po lewej zaś zobaczyła nadal bladego Dweda. U jej stop pokazała się Uta, która wyciągnęła się i ziewnęła.

Briksja zmarszczyła czoło. Pamiętała, że ostatnio z całą pewnością była w zupełnie innym miejscu... Tak, w owym nakrytym kopuła gmachu w mieście na dnie jeziora.

-Czy... czy to ty śpiewałaś tę piosenkę? - spytała ociekając, znowu zwracając spojrzenie na Marbona.

-Nie. - Pokręcił głową. Kiedy spostrzegła na jego ustach uśmiech i przyjrzała się temu, co zagłodziło w jego oczach, złagodzący rysy, pomyślała, że teraz rozumie te wieści, która kazała Dwedowi podać za oblakany panem i służyć mu - nawet do granicy

smierci. Jesli ten czlowiek ofiarowal komus swa przyjazn, byl to cenny dar.

-To ty spiewalas, przez sen - odparl. - Albo moze w rzeczywistosci bladzilas po innej krainie, pani, gdzie sny sa prawdziwe, zas nasze zycie zaledwie sennym marzeniem. W twojej piesni brzmi obietnica: "Kto podda ziemie pieczy dnia...", "Kto podda ziemie..." - powtorzyl cicho.

-Jaka ziemie, panie? - wtracil sie Dwed.

-Te, ktora niegdys zniszczyl Przeklenstwo, te, ktora teraz jest znowu wolna. Popatrz, pani, jak spelnia sie twoja piesn!

Zanim Briksja zdazyla sie poruszyc, Marbon juz byl przy niej i wsunal reke pod jej plecy. Podzwignal ja delikatnie i z troska; zapomniala, ze ludzie moga sie tak do siebie odnosic. Potrzebowala mocnej podpory, gdyz czula sie bardzo slaba, jak ktos, kto wstaje po powaznej chorobie...

Wspierajac sie na nim, spojrzala na swiat, ktory rozciagal sie poza jego ramieniem. Uta harcowała wokół jakiejś kielkującej rośliny. Dookoła rosnącego zdźbła, wciąż wyższego, o coraz bardziej zdecydowanej i niespotykanej barwie, kipiała bujna zielen traw. W polowie błyszczącego, czerwono-brazowego pedu Briksja spostrzegła wybrzuszenie.

Nigdy przedtem nie była świadkiem tak szybkiego wzrostu rośliny. Na jej oczach zgrubienie na lodydze popekało i rozlupowało się, by wypuścić straczek, również czerwono-brazowy, może wielkości małego palca. Zdźbło, które zrodziło ten straczek, było coraz wyższe, grubsze, wydało dwa odgalezienia i stale rosło.

Wciaz dalej i dalej od tej rosliny rozprzestrzenialy sie jaskrawozielone fale soczystej trawy, ktora zastepowala sterczace tu wczesniej mizerne kepki. Na obu odgalezieniach pojawily sie kolejne male straczki. To... to bylo drzewo... Drzewo potrzebujace lat, by pogrubic, rozwinac korone, siegnac wysoko, roslo zaledwie pare chwil!

-Co? Gdzie...? - Briksja wbila Marbonowi palce w reke.

-To z ziarna, ktore wynioslas z An-Yak, pani. Zasialismy Przeklenstwo Zarsthora. Ale rozwijajace sie z niego pedy nie sa juz zlem. Zielona Magia, Madra Kobieta.

Pokrecila glowa, muskajac przy tym jego ramie.

-Mowilam ci; nie jestem Madra Kobieta. - Poczula lekka obawe... Obawe przed czyms, czego naprawde nie rozumiala.

-Nie zawsze wybiera sie moc - odrzekl cicho. - Ona czasami sama wybiera czlowieka. Czy sadzisz, ze moglabys zerwac kwiat Bialego Serca, gdybys nie miala w sobie przychylnej ci Zielonej Magii? Ja... ja szukalem Przeklenstwa ze wzgledu na jego moc i tamten mroczny cien pokonal mnie, poniewaz jestem ze skazanego na zaglade Rodu Zarsthora. Jego zlo moglo sie zakorzenic rowniez we mnie. Ty nie szukalas mocy, wiec dano ci ja hojnie, gdy bylas w potrzebie. Czyz nie w twoich rekach wlasnie Przeklenstwo przestalo byc grozne? To, co wtedy uczynilas... to byly czary, o jakich mi sie nawet nie snilo.

Briksja znow potrzasnela glowa.

-Nie moja to zasluga, ale kwiatu. A poza tym w koncu Eldor i

Zarsthor sami dokonali wyboru. Kiedy doszło do spotkania, nawet już nie pamiętali, co łączyło ich wśród cieni węzłem nienawiści.

Przypomniła sobie tych dwóch wyniszczonych mężczyzn, tak jak widziała ich po raz ostatni. Przypomniła sobie, jak odpowiadali na pytania, które zostały jej w tajemniczy sposób podsuniete, może nawet przez samo Przekleństwo.

-Zarsthor? - spytał.

Briksja opowiedziała mu o tych dwu, którzy zadali od niej Przekleństwa, i o tym, jak na koniec odeszli razem, uwolnieni z okowów, jakie nałożyły na nich ich własne uczynki.

-I ty mówisz, że nie posiadasz mocy? - dziwił się Marbon. - Nie ma znaczenia, w jaki sposób ona człowieka nachodzi, ważne natomiast, jak ten ktoś z niej korzysta.

Dziewczyna usiadła prosto, rezygnując z oparcia.

-Nie chce jej! - oznajmiła głośno wszystkim dookoła, bardziej jednak niewidzialnemu światu niż Marbonowi, Dwedowi czy Ucie.

Szybko rosnące drzewo wchodziło w wiek dojrzały. Coraz grubsze galezie opadały nisko pod ciężarem stale przybywających nabrzmiałych paków. Właśnie w chwili, gdy Briksja wydała okrzyk, którym wyrzekała się mocy, u pierwszego i największego z paków puściła osłonka. Kwiat otworzył się - biały i skonczenie piękny. Mimo że był dzień, a nad głowami świeciło słońce, kwiat wciąż był rozwinięty.

Briksja zamrugala pare razy. To, co zobaczyła, nic znikalo. Owoc Przeklenstwa, o którym mowil Marhon, Przygryzła wargi. Czy przekazal mu zycie tamten kwiat, który nosila ze soba i który zwiadl na osnutej mgla ziemi? Skoro przed oczami ma dowod, musi wierzyc, ze to mozliwe.

Budzily sie w niej nowe mysli i wzruszenia; jedno i drugie bylo fascynujace i przerazajace zarazem. Niewykluczone, ze do tego zadania zostala wyznaczona w pewien sposob juz tamtej pierwszej nocy, kiedy Kuniggod przywiodla ja do azylu, jakim byla siedziba Dawnego Ludu, zakatek niezmaconego spokoju.

-Co w takim razie mam robic? - spytala znizonym glosem, wcale nie czekajac na odpowiedz, ale jednoczesnie zdajac sobie sprawe, ze musi jej wysluchac.

-Pogodzic sie z tym. - Marbon wstal, rozpostarl ramiona i wzniosl twarz ku sloncu. - To Przeklenstwo zabilo ziemie Zarsthora. Byc moze zbyt dlugo zalegal ja cien, zeby mogla naprawde sie przebudzic. - Skierowal spojrzenie na mury wyrastajace z dna jeziora. - An-Yak to przeszlosc. Ale ktos moze zbuduje nowe...

Znow odezwal sie Dwed.

-A co z Eggarsdale, moj panie? Marbon powoli pokrecil glowa.

-Nie mozemy sie cofnac, synu. Eggarsdale zostalo za nami - zarowno w przestrzeni, jak i w czasie. Teraz to jest nasze...

Briksja przeniosla wzrok na drzewo. Bylo juz wyzsze od Marbona. W przeciwnienstwie do tamtego, pod którym schronila sie swej pierwszej nocy na Odlogach, galezie tego drzewa nie

były powykrecane ani splatane. Oddalone od siebie, strzelały w gore i jednocześnie rozrastały się na boki, jakby chciały powitać jasne niebo i zarazem utworzyć dach nad kawalkiem ziemi pokrytym gęstą, świeżą trawą.

Ich? Nieswiadoma tego, co robi, wyciągnęła ku drzewu prawą rękę. Kwiat, który pierwszy się rozwinał, oderwał się od galezi. Choć nie czuła na policzkach żadnego wiatru, choć najslabszy powiew nie tknął jej potarganych włosów, kwiat bez zwłoki poszybował ku niej i osiadł na dłoni. Czy zrobił to na nie wypowiedziane życzenie Briksji - tak jak Uta (kiedy oczywiście ma ochotę) przybiega na jej wołanie?

Ich! Briksja ujęła kwiat w obie dłonie i wciągnęła głęboko w płuca jego zapach. Przeszłość opadła z niej niczym znoszona szata. Odeszła bezpowrotnie. Świat się zmienił, podobnie jak Przekleństwo Zarsthora przeistoczyło się w to cudowne zjawisko.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/